

Andrzej Radzikowski:
Najpierw rozmowy, potem ulica

Karolina Gruszka:
Nie da się dłużej żyć w spokoju

Stanisław Kwiatkowski:
Gen. Jaruzelski uprzedził inwazję

Jacek Pałkiewicz: Dubaj
– procesy i szokujące tortury

EKSPERCI
alarmują

RZĄD
różnie głupa

PANDEMIA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



CZAS NA PREZENTY

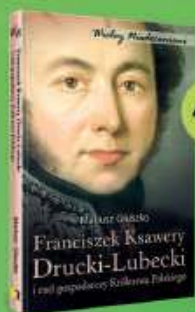
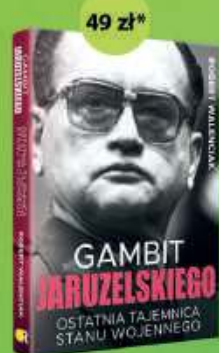
Pora na dobre książki PRZEGLĄDU

Prośby o dedykację można kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111
lub na: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Zamawiając przez sklep.tygodnikprzeglad.pl,
wpisz treść dedykacji w uwagach

**Dodatkowy
prezent!**

*Książka
z autografem
i dedykacją
autora



76 zł

**WYSYLKA
GRATIS****

130 zł
pakiet



150 zł
pakiet



65 zł
pakiet



49 zł



59 zł



29 zł



sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt
wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską**. Istnieje możliwość wysyłki
poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat
InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 22a79add92



2+2 GRATIS

**Przy zakupie
2 dowolnych książek
pakiet PRL w prezencie**

Promocja ważna do 31.12.2021 r.
lub do wyczerpania zapasów



Wojna hybrydowa w PiS

Nie maleje histeria wokół tego, co się dzieje na granicy z Białorusią. Propaganda rządowa ciągle dmie w tę trąbę, bo większość ludzi kupuje brednie o wojnie, wielkim zagrożeniu i bohaterских obrońcach ojczyzny. A czym można skuteczniej straszyć społeczeństwo jak nie wojną hybrydową? Nowym narzędziem budzenia lęku. Tym lepszym, że mało kto wie, co to jest ta nowa wojna. I to się nie zmieni. Bo nawet eksperci nie są zgodni w opisie wojny hybrydowej. Za to efekty tej zmasowanej kampanii propagandowej już są. Obrzydliwe i barbarzyńskie. Coraz powszechniej i bez śladu zażenowania mówi się, że z ciapatymi trzeba zrobić porządek. Łącznie ze strzelaniem do nich jako dopuszczalnym sposobem bronięcia granicy.

A im więcej takich okropnych słów, tym bardziej zacieśnia się różnica między ludźmi po obu stronach granicy. Ci nie nasi są odzierani z godności. Jako ONI nie zasługują na nasze współczucie i choć trochę pomocy. Są bezimiennym wrogiem. I to niezależnie od tego, czy uciekając przed reżimami, ratują życie swoje i rodzin, czy też chcą sobie poprawić byt ekonomiczny. Tak jak to wcześniej zrobili miliony Polaków życzliwie przygarnianych na całym świecie. A nasi współcześni? Wstyd patrzeć i słuchać.

Dobrowolnie, choć pod wpływem propagandy, mówimy o wojnie z każdym, kto puka do naszych bram.

Udajemy, że nie widzimy, jak rządząca prawica żeruje na koszmarnych wspomnieniach Polaków po minionych wojnach.

A przecież to, co się dzieje na granicy z Białorusią, jest wojną tylko w głowach polityków PiS i najgorliwszych propagandystów władzy. Jak porównać mobilizację kilkudziesięciu tysięcy mundurowych z zagrożeniem, jakie może sprawić parę tysięcy migrantów z rodzinami?

Prawdziwe wojny to najtragiczniejsza część historii świata. Najokropniejsze doświadczenie ludzkości. A czas pokoju to tylko krótkie przerwy. Teraz też trwają lokalne wojny. Ginią tysiące ludzi. I jeśli coś się zmienia, to tylko przyczyny, dla których zaczynamy się mordować.

I co? Żadnych wniosków. Znowu zaczynają się konflikty, od których niedaleko do prawdziwych wojen.

A wojna hybrydowa? Jeśli ktoś chce pojąć, jak ona może wyglądać, nie musi jechać na granicę. Wystarczy zobaczyć prawdziwą wojnę hybrydową w PiS. Ileż tam jest grup i interesów. Ile podchodów do ucha prezesa. Ilu złodziei z Matką Boską i ojczyzną na ustach. Ilu głupków, którzy, choć z trudem nauczyli się obsługiwać maszynkę do głosowania w Sejmie, świetnie wiedzą, jak urządzić rodzinę i kumpli. Prawdziwa wojna hybrydowa. Chaos i gra w jedynym.

BAKOWSKI



**Zrób sobie prezent
na zimowe wieczory!**

**Wszystkie e-booki
Biblioteki PRZEGLĄDU**

**JUŻ OD
9,90 zł**



sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY TYGODNIA

EWA LIPSKA, poetka

„Nie pozwolimy na okupację brukselską!”,
woła polityk, a ludowe przysłowie dodaje:
„Polska z Unii, Europie łżej”.
„Kraków”

BYUNG-CHUL HAN, filozof

Smartfon stał się obiektem kultowym.
Ciągłe trzymamy go w ręce, jak kiedyś
rózaniec. A „lajki” są jak „amen”.
„Forum”

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Cena błędów: ćwierć miliona trupów**
Rząd bezradny wobec śmierci Polaków
- 13 Najpierw rozmowy, potem ulica**
– rozmowa z Andrzejem Radzikowskim
- 22 Cienka czerwona linia**
Polskie siły cyberobrony
- 25 Dla jakiej szmaty pracujesz**
Dziennikarzu, bój się obrońców granicy

HISTORIA

- 16 Gambit Jaruzelskiego**
O krok od „bratniej interwencji”

OPINIE

- 18 Stanisław Kwiatkowski**
Gen. Jaruzelski uprzedził inwazję

KOŚCIÓŁ

- 26 Gomora**
Patologie polskiego Kościoła

ZAGRANICA

- 30 Ile Turcji w NATO?**
Gra z Ameryką i Rosją
- 32 Czerwone złoto, czarna historia**
Włoskie rolnictwo bazuje na migrantach
- 36 Dubaj – procesy i szokujące tortury**
Prawdziwe oblicze luksusowej metropolii
- 40 Słodko nie będzie**
Miodowy kryzys w Europie

KULTURA

- 42 Dialog zamiast politycznych sztandarów**
– rozmowa z Karoliną Gruszką
- 45 Culturalia**
- 46 Arytmia**
Tomasz Jastrun: pisarzowi trzeba dramatów
- 66 Malarstwo Anny Güntner**

EKOLOGIA

- 50 Olej palmowy: czy bojkot ma sens?**
– rozmowa z dr Moniką Mętrak
- 53 Pokojowo lub radykalnie dla planety**
Młodzież strajkuje, politycy kombinują

NAUKA

- 56 Mózg jest przereklamowany**
...i zależny od ciała

ZWIERZĘTA

- 58 Kocie ruchy**
Sekrety sprawności kotów

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Wojna hybrydowa w PiS
- 21 Andrzej Romanowski**
O bredzeniu
- 29 Roman Kurkiewicz**
Polska jako pole minowe
- 39 Tomasz Jastrun**
Na czym PiS wisi
- 49 Wojciech Kuczok**
Zmęczone słowa



SŁODKO NIE BĘDZIE

Miodowy kryzys w Europie

40

ZAGRANICA

42

KULTURA

DIALOG ZAMIAST POLITYCZNYCH SZTANDARÓW

– rozmowa
z Karoliną Gruszką



58

ZWIERZĘTA

KOCIE RUCHY

Sekrety
sprawności kotów

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA GAZETA, M. LASZYK/REPORTER





f Konflikt USA-Chiny jest nieunikniony

Wojny toczą się, od kiedy ludzkość uznała, że coś jest warte więcej niż coś innego. Czy to żywność, czy dobra kopalne, określony sektor gospodarki bądź dostęp do tras tranzytowych wiedzy, danych i towarów. Interesy jednych godzą w interesy drugich. Problem w tym, że zmienia się definicja konfliktu interesów, a że ludzie (bardziej mężczyźni, bo poza paroma wyjątkami to oni historycznie dominują w polityce) lubią groźnie brzmieć lub po prostu lubią mieć wojska, wszelkie rywalizacje interesów stają się obecnie „wojnami”. Zimnymi lub gorącymi. Prawda zaś jest taka, że gospodarka USA bez dóbr i kapitału z Chin nie pociągnie, Chińczycy zaś bez tego rynku zbytu i wiedzy też sobie niezbyt poradzą. Toteż pokrzykują sobie w sprawie Tajwanu, jak to robią co jakieś 10 lat, USA zaparkują przy wyspie swoją flotę i wszyscy będą zadowoleni. Twardogłowi z tego, że poszumowali, a zwolennicy pokoju – że nie doszło do wojny. Konfliktu unikną, bo ani jedni, ani drudzy nie mogą sobie na niego pozwolić. Wbrew retoryce interesy wygają.

Bartłomiej Bednarz



f Odkrywca

Biorąc pod uwagę głowy do interesów miłośniczowie nam panujących, obawiam się, że z zasobami, o których mówi prof. Stanisław Speczik, skończy się tak jak z zasobami kołtanu w Kongu. Tam za grosze górnicy go wydobywają, a zagraniczne koncerny zarabiają na rudzie krocie, sprzedając ją na rynkach zachodnich i azjatyckich.

Michał Czarnowski

f Dlaczego PiS wciąż wymyśla kolejnych wrogów i kolejne krucjaty?

To charakterystyczne dla totalitarnych dyktatur. Gdy syją się sprawy wewnętrzne – bo drożyżna, inflacja, rosnące ubóstwo sporej części ludności, problemy z pandemią, totalna porażka w polityce międzynarodowej – trzeba znaleźć kozła ofiarnego i zwalić na niego wszelkie niepowodzenia.

Bogumił Woźniakowski

Dla tego samego powodu, dla którego opozycja wymyśliła w Polsce dyktaturę i dyktatora, którym jest rzekomo Jarosław Kaczyński. To narracja kierowana do własnego elektoratu. Taką ma np. Konfederacja ze swoim przekazem antyszczepionkowym. Żyjemy w świecie postprawdy czy raczej subiektywnych faktów, wygrywa ten, kto potrafi sprawniej dotrzeć do społeczeństwa ze swoim przekazem. To jest cechą demokracji liberalnej – wszystko kupuje się jak towar, również polityków i fakty. Taki trochę Matrix, życie we własnych światach informacyjnych.

Paweł Stawicki

To jest kwintesencja ich istnienia. Zabrać im wroga i krucjatę, a okaże się, że nie mają nic do powiedzenia. Mam na myśli prominentów tego ugrupowania, bo elektorat jest przekonywany o kolejnych zwycięstwach odniesionych dla jego dobra.

Zbigniew Derejski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Migranci w centrum logistycznym w Bruzgu po białoruskiej stronie granicy. Reżim Łukaszenki, zezwalając na dostęp dziennikarzy do strefy przygranicznej, sprawnie kreuje własny przekaz medialny.

Już 13 mln Polaków założyło profil zaufany.

Będzie pomoc dla 1,7 tys. gmin, otrzymają one 4 mld zł na projekty kanalizacyjne. Najbardziej tych środków potrzebują gminy wiejskie, gdzie tylko 40% mieszkańców ma wodociągi i kanalizację.

Danuta Stenka otrzymała od Klubu Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Nagrodę im. Ireny Solskiej za wybitne osiągnięcia aktorskie.

Obraz Ewy Juszkiewicz „Dziewczyny do wzięcia” został sprzedany na aukcji zorganizowanej przez DESA Unicum za ponad 1 mln zł. Wcześniej jej „Girl in blue” sprzedano w Nowym Jorku za ponad 3 mln zł, a „Grove” za prawie 2,4 mln zł.

Krzysztof Fedorowicz został laureatem Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza przyznawanej przez zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich oraz Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”.

Według raportu Water City Index 2021 spośród metropolii najlepiej zarządza wodą Gdańsk, przed Krakowem i Wrocławiem.

Henryk Kotecki, który od 47 lat stoi na czele sołectwa Kozjaty w gminie Topółka w województwie kujawsko-pomorskim, został Sołtysem Roku.

3,1 mln razy wypożyczano w 2021 r. miejskie rowery Veturilo. W systemie odnotowano ponad 132 tys. użytkowników.



7,7% inflacji w listopadzie to rekord Polski nienotowany od 2000 r. W grudniu będzie kolejny. A jak Glapiński zostanie prezesem NBP na drugą kadencję, to będą dwucyfrowki.

Andrzej Duda znowu stanął w rozkroku w sprawie szczepień. Bo jak traktować jego słowa: „by podejść jak najrozsądniej, rozważając wszystkie za i przeciw”? Kieszonkowy prezydent, to i lilipucie myśli.

Sędzia Michał Kowalski z Sądu Rejonowego dla Warszawy Śródmieścia skazał w procesie karnym Ewę Siedlecką z „Polityki”, autorkę tekstów na temat afery hejterskiej w środowisku sędziowskim. Wyrok jest nieprawomocny. Uczciwi dziennikarze protestują.

Michał Dworczyk nie próżnuje w wydawaniu państwowej kasy. Po cichu zorganizował konkurs dla gmin „Rosnąca odporność” z budżetem 540 mln zł. Pieniądze dostały wsie i gminy, w których poziom zaszczepień jest rekordowo niski. Decydowało poparcie wyborcze dla PiS.

W tej branży nie ma granicy bezczelności. Deweloper z Koszalina oferuje pod wynajem mikrokawalerkę. Całe 2,5 m kw. przy ulicy Garncarskiej. Patodeweloperka już pracuje nad lokalem dla stojących.

PRZEBŁYSKI



Bielan – tatuś Mejzy

Coś się z nami porobiło, bo ile razy słyszymy o Łukaszu Mejsie, samochwale, który opowiada, że na nim wisi cały rząd, widzimy Adama Bielana. Cynicznego cyngla Kaczyńskiego, który wyduśił na prezisie posadę wiceministra

sportu dla tegoż Mejszy. Za to, że rozwalili Gowinowi partię, wystawił Kaczyńskiemu mocno cuchnący rachunek. I znowu potwierdziło się to, co o Bielanie mówił Robert Anacki (były wiceprezes Porozumienia). A mówił, że „jest to gnojowy polskiej polityki, który za jedynekę do Parlamentu Europejskiego i utrzymanie wpływów na rozdawanie stanowisk rozbija partie koalicyjne”. A Mejsza? To nie wypadka. U Bielana to norma. Sam przecież ogłosił w tygodniku „Sieci”: „Mamy jeszcze dużo zapasu do rzedzenia”. I niejednego Mejsze.

Bratnia pomoc

Bajcarze z Ministerstwa Spraw Zagranicznych lubią się chwalić każdym poparciem zagranicy dla działań polskich władz na granicy z Białorusią. Zdarza się jednak, że mimo zgłoszenia chęci pomocy MSZ milczy jak słup graniczny. Ciekawi nas, co MSZ odpisało ukraińskiemu Korpusowi Narodowemu, który bardzo chce bronić naszych granic. Neonaziści, odwołujący się do tradycji III Rzeszy i ukraińskich jednostek SS, walczyli już w Donbasie. Polakom zaproponowali „rozważenie możliwości zaangażowania ukraińskich ochotników, członków naszego ruchu, mających doświadczenie w działaniach bojowych, w roli doradców i instruktorów szkolenia bojowego personelu do przeciwdziałania hybrydowej agresji FR na granicy Białorusi i Rzeczypospolitej”.



Jak to mówią – pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem ci, kim jesteś.

Barbara Nowak z brzytwą na „Dziady”

Od wygłupu do wygłupu. Szlak bojowy Barbary Nowak to wiele potyczek. Z rozumem. A nie jest to jej mocna strona. Małopolska kurator oświaty z nominacji PiS woli sięgać po brzytwę niż do głowy. Nawet jeśli pisać o sztuce teatralnej, to językiem korespondenta wojennego. Nowak z Bogiem na ustach, wręcz jako wice-Pan Bóg, w organie Rydzyska tak miłosiernie opisuje „Dziady” Mai Kleczewskiej: „b. prymitywna karykatura i zbezczerzenie Mickiewicza. Konfabulacja i antykultura i antysztuka. Brzydota, prostactwo, bluźnierstwo i zożydanie Polski”. Uf! Po takiej recenzji młodzież wali do Teatru im. Słowackiego jak nigdy.



Mioduski jak Kali

Na tego słonia w składzie porcelany zawsze można liczyć. Kolejny pokaz niezdarności Dariusza Mioduskiego, właściciela Legii Warszawa, to wyciąganie trenera z Rakowa Częstochowa. W trakcie sezonu Mioduski ogłosił, że nowym trenerem Legii będzie Marek Papszun. Władze i piłkarze Rakowa dowiedzieli się o tym z gazety. Jak im się będzie grało, gdy podobno Papszun jest już dogadany z Mioduskim? Z tym Mioduskim, który zwalnia trenerów taśmowo, a klub ma już mocno zadłużony. Czysta paranoja. Z niepanującą nad emocjami pleciugą w roli głównej. Mioduski pewno myśli, że jest jak ten Kali – jak on ukrąś krowę, to dobrze. Myli się. W lidze ma już wszędzie przerabane.





PYTANIE TYGODNIA

Kto powinien ponieść odpowiedzialność za nadmiarowe zgony podczas pandemii?

PROF. JACEK WÓDZ,
socjolog, Uniwersytet Śląski

Na pewno ci, którzy są odpowiedzialni za politykę zdrowotną i bezpieczeństwo kraju. Odpowiedzialność polityczną za nadmiarowe zgony podczas pandemii oczywiście powinien ponieść minister zdrowia. Jeżeli chodzi o ewentualną odpowiedzialność karną, bo i taka by się przydała, trzeba by przeprowadzić dochodzenie i zobaczyć, kto, kiedy i o czym decydował. Postępowanie wobec antyszczepionkowców zależy od polityki rządu, a przede wszystkim od ministra zdrowia. W moim przekonaniu powinno się zrobić podobnie jak w wielu innych krajach Europy Zachodniej – ci, którzy nie są zaszczepieni, nie mają wstępu do określonych miejsc ani prawa do pewnego typu kontaktowania się. Wśród antyszczepionkowców zdecydowaną większość stanowią zwolennicy PiS, a ta partia nie chce stracić elektoratu, dlatego nie wprowadza obostrzeń dla niezaszczepionych. Jest tyle przykładów z Europy Zachodniej, jak postępować w takich sytuacjach, że nie ma co wymyślać szczególnych rozwiązań. Trzeba po prostu powtórzyć te, które sprawdzają

się na świecie. Niestety, u nas polityka dominuje nad dbałością o zdrowie obywateli.

GILBERT KOLBE,
rzecznik prasowy Białego Miasteczka 2.0

Organizatorzy systemu opieki zdrowotnej, a także osoby decydujące na szczeblach województw, które oddziały w szpitalach będą przekształcane w covidowe, jak będzie wyglądała tam opieka zdrowotna, np. pod względem liczby personelu. I trudno nie dostrzec, że pewne decyzje są podejmowane zbyt pochopnie czy bez rozeznania w terenie. Przekwalifikowując kluczowe oddziały na covidowe, pozbawia się pacjentów niecovidowych opieki zdrowotnej.

Po pandemii powinny powstać specjalne komisje śledcze, które wyciągałyby konsekwencje, prawdopodobnie cywilne, wobec osób decydujących o ochronie zdrowia w czasie zagrożenia. Karą mógłby być zakaz sprawowania funkcji publicznych. To dość daleko idąca restrykcja, ale w sytuacji gdy mamy ok. 140 tys. nadmiarowych zgonów, trudno bronić nieprzemyślnych decyzji Ministerstwa Zdrowia i marszałków

oraz ich reakcyjnego działania. Był czas, aby przygotować się na kolejną falę, ale znowu nic nie zostało zrobione.

ŁUKASZ JANKOWSKI,
prezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie

To zły moment na takie pytanie, bo jesteśmy w środku wojny. Teraz ktoś powinien podnieść rękawicę, ale nie dzieje się nic. Rządzący nie tyle udają, że nie ma problemu, ile – w mojej ocenie – podjęli świadomą decyzję, kładąc na jednej szali jakość życia obywateli, czyli kolejny lockdown, a na drugiej nadmiarowe zgony. Ze strony ministerstwa słyszymy, że dokładają łóżek dla zakażonych, a wiceminister Kraska mówi, że nie można narzucić obostrzeń, bo Polacy mają gen buntu. Pomagając w powiatowym szpitalu, widzę, jak na oddział zgłaszają się zakażone całe rodziny. Pytani, dlaczego się nie szczepili, odpowiadają, że nie wierzyli w wirusa albo przeczytali w internecie, że to spisek. Szukając odpowiedzialnych, warto zadać pytanie, co wpłynęło na to, że ludzie się nie szczepili.

Not. Kornel Wawrzyniak

CENA BŁĘDÓW: ćwierć miliona trupów

Rząd pudruje rzeczywistość, wprowadzając pozorne obostrzenia, lekarze z Rady Medycznej chcą radykalnych działań

Beata Igielska

Na początku listopada minister Adam Niedzielski stwierdził: – Ścieżka wzmocnienia restrykcji wydaje się mało skuteczna w Polsce. Powinniśmy egzekwować te obowiązki i tę dyscyplinę, która już w tej chwili powinna obowiązywać, ale nie obowiązuje.

„Panowie z Rady mogą się rozejść. Szkoda ich czasu, i tak rząd ich rad nie słucha”; „Rada to listek figowy pisowskiej władzy”; „Horban (prof. Andrzej Horban, konsultant krajowy w dziedzinie chorób zakaźnych, główny doradca prezesa Rady Ministrów ds. COVID-19, przewodniczący Rady Medycznej – przyp. red.) kieruje się politycznymi interesami rządu i PiS, a nie potrzebami medycznymi”, piszą internauci o Radzie Medycznej przy premierze. Ostro, z przesadą.

Dlatego prof. Krzysztof Simon, członek Rady, ordynator I Oddziału Chorób Zakaźnych w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym we Wrocławiu, nie zgadza się z osądem, że rząd nie ustosunkowuje się do jej rekomendacji. – One się przebijają, jeśli chodzi o zasady prowadzenia szczepień i jeśli chodzi o określone restrykcje. Natomiast od pół roku kompletnie nie przebijają się, jeśli chodzi o ograniczenie aktywności ludzi, szczególnie niezaszczepionych, w miejscach publicznych. Jest dziwna moda: zajmujemy inne oddziały, powiększamy liczbę łóżek, angażujemy wszystkich lekarzy do walki z covidem, natomiast nie zmniejszamy napływu pacjentów. To zupełny absurd. Przy takim podejściu łóżka można sobie ustawić do bieguna północnego. Tylko jak i kim zapewnić opiekę medyczną? Zostaną sami umierający bez pomocy lekarskiej i pielęgniarskiej! – denerwuje się profesor.



Dr Paweł Grzesiowski: Promując szczepienia, trzeba mówić, że osoby zaszczepione mają łagodniejszy przebieg choroby i rzadko umierają.

Uważa, że trzeba pójść w drugą stronę, ale restrykcje muszą być zrozumiałe dla społeczeństwa i akceptowane. Tyle że minister zdrowia i premier mówią publicznie, że to nie ma poparcia politycznego.

– Żeby było jasne: cieszę się, że jakieś ograniczenia są, ale to pudrowanie rzeczywistości, bo w niewielkim stopniu wpłyną na przebieg epidemii, choć wszystko wskazuje, że jesteśmy na szczycie kolejnej fali. Skala zgonów tylko z powodu COVID-19 jest dramatyczna. A jaka jest skala zgonów ludzi z innymi schorzeniami, bo nie ma dla nich miejsc w szpitalach lub jest problem z dostaniem się do lekarza? – punktuje prof. Simon. – Dlatego postulujemy paszport covidowy – problem w tym, że kilkadziesiąt procent

społeczeństwa na to się nie zgadza; ograniczenia, jak w innych krajach, i obowiązek szczepienia przynajmniej pracowników służby zdrowia, opiekunów osób starszych, nauczycieli, policji, wojska, straży miejskiej – konkluduje.

Za ostateczność obowiązków szczepień uważa prof. Andrzej Horban, specjalista chorób zakaźnych i szef Rady Medycznej przy premierze. Ale 25 listopada ostrzegął: – Jeżeli ludzie w Polsce się nie opamiętają i nie zaszczepią, w regionach kraju, w których jest najwięcej zakażeń, trzeba będzie wprowadzić *lockdown*. Przyznał też, że obecnie 20% powiatów kwalifikuje się do wprowadzenia dodatkowych obostrzeń. Jednak, jego zdaniem, wprowadzanie ograniczeń dla osób

niezaszczepionych nie będzie w naszym kraju skuteczne.

Smutny rekord

Eksperci z Rady Medycznej to lekarze praktycy, za uczestnictwo w niej nie pobierają wynagrodzenia. Inna kwestia, czy takie ciało doradcze powinno funkcjonować przy premierze. Raczej nie. Rada rekomendująca szczepienia i obostrzenia powinna się składać z medyków, ale także psychologów i funkcjonować jako gremium niezależne od rządu. Powinna wypracowywać komunikaty, a następnie przekazywać je społeczeństwu w umiejętny sposób.

– Najbardziej poważaną przez społeczeństwo grupą ekspercką są praktycy medyczni na co dzień rekomendujący wykonywanie szczepień, ale również na bieżąco rejestrujący i analizujący kliniczne skutki swoich decyzji. Tak jest np. w Niemczech. U naszych sąsiadów działa Stała Komisja ds. Szczepień (STIKO) – uważa gen. dyw. prof. Grzegorz Gielera, specjalista chorób wewnętrznych i kardiologii, dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, członek Rady ds. Zdrowia Publicznego.

W drugim tygodniu listopada gruchnęła wieść o nowej odmianie koronawirusa. Omikron ma liczne mutacje i prawdopodobnie może szybko się rozprzestrzeniać. Ludzie się boją, bo media pompują temat. Prof. Piotr Kuna, pulmonolog z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Astmy i Alergii Wydziału Lekarskiego w Łodzi, 29 listopada mówił portalowi Gazeta.pl: „Szczepmy się trzecią dawką, nie popadajmy w histerię. Ostatnią rzeczą, którą trzeba robić, to wywoływać w ludziach mających katastrofalne skutki strach”.

Ministerstwo Zdrowia w reakcji na wieści o omikronie ogłosiło nowe obostrzenia. Zmienione zasady w większości będą obowiązywać do 17 grudnia. Dotyczą zaostrzenia kontroli na granicach i zakazu lotów do siedmiu państw afrykańskich oraz zmniejszenia limitów osób w lokalach.

Tymczasem 1 grudnia odnotowano ponad 29 tys. nowych zakażeń, zmarło 570 osób z potwierdzonym covidem. To rekord czwartej fali. Winny temu jest nie tylko niski poziom wyszczepienia społeczeństwa,



Prof. Andrzej Horban: Jeżeli ludzie się nie opamiętają i nie zaszczepią, tam, gdzie jest najwięcej zakażeń, trzeba będzie wprowadzić lockdown.

bo popełnionych zostało parę innych błędów.

Błąd 1: Brak możliwości sprawdzania paszportów covidowych

– Działania prewencyjne na granicach są dobrym krokiem, pod warunkiem że będą dopracowane – ocenia dr Paweł Grzesiowski, pediatra, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. walki z COVID-19. – Musimy uniknąć sytuacji z poprzednich fal, gdy ludzie z krajów, z których przyłot wymagał kwarantanny, lecieli przez Berlin i nie szli na kwarantannę. Musi być szczelność, żeby osoby, które wracają do Polski z zagranicy, były testowane i poddawane kwarantannie (podróżni z krajów spoza strefy Schengen będą objęci kwarantanną wydłużoną do 14 dni. Będą mogli być z niej zwolnieni na podstawie negatywnego wyniku testu PCR wykonanego po upływie ośmiu dni od przekroczenia granicy; osoby wracające z siedmiu krajów afrykańskich mają 14-dniową kwarantannę, z której

nie zwolni negatywny wynik testu – przyp. aut.). Inna sprawa, że ten nowy wirus pewnie już jest w Polsce, bo krąży po świecie od półtora miesiąca. I w tym kontekście ograniczenia są bardzo pozorne. Jaka jest różnica między 150 osobami na weselu a 100 osobami? Statystycznie rzecz biorąc, na każdym weselu w tej chwili dwie, trzy osoby mogą być zakażone. A jeśli ktoś akurat będzie chory na nową wersję, rozprzestrzeni ją. Obostrzenia idą w słusznym kierunku, bo zmniejszają przepełnienie w budynkach i ograniczają kontakty między ludźmi, ale są zbyt płytkie – podsumowuje dr Grzesiowski.

Minister zdrowia Adam Niedzielski: – W projekcie ustawy są zabezpieczone prawa osób, które zamiast szczepienia wolą się testować, bo nie dowierzają osiągnięciom współczesnej nauki. Ich prawo.

Zupełnie inne zdanie ma dr Konstanty Szuldrzyński z Rady Medycznej przy premierze: „Obecne limity w pomieszczeniach zamkniętych nie są egzekwowane i tak będzie z kolejnymi. Te restrykcje są na miarę nie

► potrzeb, tylko politycznych możliwości. Obostrzenia wprowadzono, aby nie można było powiedzieć, że rząd nic nie zrobił”, mówił dla Onetu.

Większość członków Rady Medycznej podpisała się pod apelem Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych do prezydenta i premiera, by podjąć w trybie pilnym prace nad aktami prawnymi umożliwiającymi weryfikację szczepień pracowników czy ograniczającymi dostęp osób niezaszczepionych do miejsc publicznych w zamkniętych przestrzeniach. Tylko tak niepopularne społecznie, radykalne decyzje mogą wpłynąć na obniżenie liczby zakażeń i zgonów. Te według prognoz będą się utrzymywać na bardzo wysokim poziomie przynajmniej jeszcze miesiąc.

– Obostrzenia wprowadzone od 1 grudnia niczego już nie zmieniają w przebiegu pandemii. Opieram się na danych z różnych ośrodków modelowań matematycznych, które były przygotowane na zamówienie rządzących. Szacowana liczba zgonów to 35 tys. Ma na nią wpływ m.in. względnie niski, 54%, odsetek osób zaszczepionych – wskazuje prof. Gielerak.

Dr hab. n. med. Tomasz Dzieciatkowski, adiunkt w Katedrze i Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, na łamach „Gazety Wyborczej” nazywa nowe obostrzenia wielką fikcją. Bo owszem, kawiarnie, kina czy kościoły mogą być maksymalnie w połowie wypełnione osobami niezaszczepionymi, a nie jak dotąd w 75%, tylko kto to sprawdzi? Dyrekcje wprowadzą takie nakazy w regulaminach czy wprowadzone limity będą obowiązywać tylko na papierze?

Tu nieco większym optymistą jest dr Grzesiowski, który uważa, że rozporządzenie jest podstawą prawną



Prof. Grzegorz Gielerak: Państwo powinno monitorować media społecznościowe, by identyfikować wiadomości fałszywe, a zyskujące popularność w sieci.

do ograniczenia do 50%, natomiast nie ma podstawy prawnej, by sprawdzać certyfikat osoby zaszczepionej. – Owszem, niebezpieczeństwem jest, że sprawdzanie certyfikatu przerzucano na organizatora lub właściciela budynku, ale jeśli wpisze on do regulaminu: do limitu wliczamy osoby niezaszczepione oraz te, które nie okazały certyfikatu, jest po problemie – podsumowuje.

Błąd 2: Sposób mówienia o korzyściach szczepień

Rząd od początku źle poprowadził akcję informacyjną o szczepieniach. Pamiętamy krzykliwe hasła „skuteczność i bezpieczeństwo” – i prawie

nieślyszalne: zaszczepieni też mogą się zarażać. No i czy reklamujący szczepienia aktor Cezary Pazura mógł kogokolwiek przekonać? Czy nie lepiej było zaprosić lekarza, który jest uznanym autorytetem w dziedzinie epidemiologii?

– Polityka informacyjna dotycząca zarówno szczepień, jak i zaleceń oraz rekomendacji postępowania w warunkach pandemii wymaga weryfikacji. Dlaczego do tak dużej części społeczeństwa nie udało się dotrzeć z właściwym przekazem na ten temat? Nie przekonują mnie argumenty o polskim genie sprzeciwu czy buntu, bo to by oznaczało, że mamy gen narodowego samounicestwienia. Doświadczenia z początków leczenia chorych z HIV pokazują, że opór, na jaki najczęściej natrafiamy, wdrażając nowoczesne, przełomowe terapie, wynika z faktu, że dochodzi do głośno dezorientacji ludzi o dobrych intencjach, walczących o zrozumienie swoich lęków. Naszą rolę jest rozwiewanie wszelkich wątpliwości – punktuje prof. Gielerak.

Rząd kompletnie nie doszacował siły mediów społecznościowych. Jeśli ktoś nie wie, że jedynie 10% społeczeństwa negatywnie odnosi

TU SĄ EKSPERCI

Rada Medyczna – organ pomocniczy premiera Mateusza Morawieckiego. Jej przewodniczącym jest główny doradca premiera ds. COVID-19, prof. dr hab. n. med. Andrzej Horban, członkami 16 ekspertów medycznych. Zadania: analiza i ocena bieżącej sytuacji w kraju, opracowywanie propozycji działań oraz opiniowanie aktów prawnych – rozporządzeń, które wprowadzają nowe zasady i ograniczenia w kraju.

Naczelna Rada Lekarska – sprawuje m.in. pieczę nad sumiennym wykonywaniem zawodów lekarza i lekarza dentystry, upowszechnia zasady etyki lekarskiej oraz dbanie o ich przestrzeganie. Na jej czele stoi prezes, prof. dr hab. med. Andrzej Matyja. Ekspertem NRL ds. COVID-19 jest dr Paweł Grzesiowski.

się do polityki szczepień, po otwarciu Twittera uznaliby, że jest to 99%.

– Państwo powinno monitorować media społecznościowe, by identyfikować wiadomości fałszywe, a zyskujące popularność w sieci, i przygotować odpowiedzi na nie czy też przeprowadzać regularne badania reakcji na dezinformację. Od początku epidemii brakuje w kraju jednostki wpisanej w porządek instytucjonalny państwa, niezależnej od władz, skupiającej ekspertów odpowiedzialnych za formułowanie spójnego przekazu na temat pandemii i wypracowujących kluczowe rekomendacje, które powinny być jawne, choć niewiążące dla decydentów. Eksperti takich instytucji – mógłby to być np. Państwowy Zakład Higieny – Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – mają mandat do szerzenia wiedzy na temat pandemii, a ludzie z reguły im ufają – uważa prof. Gielerak.

„Najbardziej do szczepień przekonałby ludzi spokój i poczucie bezpieczeństwa osób zaszczepionych”, czytamy w raporcie Wojskowego Instytutu Medycznego i Instytutu Jagiellońskiego „Jak przygotować polską ochronę zdrowia na kolejne epidemie?”. Tyle że ostatnio i niektórzy zaszczepieni zaczynają wątpić w sens paszportów covidowych. Pojawia się sporo dyskusji wokół statystyk, np. z Irlandii, gdzie jest ponad 90% zaszczepionych, a 30 listopada było 4607 przypadków COVID-19, 579 covidowych pacjentów przebywało w szpitalach, z czego 115 na oddziałach intensywnej opieki.

– Przerzucanie się danymi o zakażeniach nic nie wnosi. Promując szczepienia, trzeba mówić, że osoby zaszczepione mają łagodniejszy przebieg choroby i rzadko umierają. W Polsce umarło 97% niezaszczepionych i 3% zaszczepionych. Poza tym komunikację trzeba dostosowywać do warunków. Na początku sam twierdziłem, że zaszczepiony nie musi nosić maseczki, bo szczepionki mają 90% skuteczności. I przyszedł wariant delta. Szkoda, że minister zdrowia nie wyszedł i publicznie nie powiedział: nasze komunikaty o zwolnieniu z testowania i kwarantanny osób szczepionych są nieaktualne. Nie powiedział tego zapewne ze strachu, bo gdyby przyznał, że szczepionki nie są tak skuteczne, jak myślano, ludzie przestaliby się szczepić. Ale nadal siła

szczepionki jest taka, że zaszczepiony nie umiera. Na to trzeba kłaść główny akcent przekazu – podkreśla dr Paweł Grzesiowski.

Błąd 3: Brak masowego testowania

Łukasz Pietrzak, farmaceuta publikujący na Twitterze analizy epidemiologiczne, w tym dane o nadmiarowych zgonach, alarmuje, że od początku pandemii (21 miesięcy) mamy wzrost śmiertelności o 173 tys. w porównaniu do średniej z lat 2015-2019.



Prof. Piotr Kuna: W walce z epidemią pomieszały się działania racjonalne z nieracjonalnymi, a mądre z głupimi.

– Uważam za porażkę to, że przedstawiciele rządu powołują się na dane i analizy zbierane i tworzone przez wolontariuszy. Przecież powinny tym się zajmować instytucje rządowe, nie entuzjaści. Szczególnie teraz rząd powinien wałnąć się w piersi i odpowiedzieć, dlaczego w półtora roku ubyło ćwierć miliona ludzi. Fakt, są to osoby głównie po 60. roku życia. Może dlatego rząd nic nie robi, bo automatycznie rozwiązuje się problem systemu emerytalnego? Nadmiarowa śmiertelność będzie się ciągnęła długo po pandemii – przestrzega Pietrzak.

Farmaceuta nie ma wątpliwości, że kluczem do kontrolowania sytuacji są testy. Gdy w pewnym momencie było 56% pozytywnych, oznaczało

to chaos i brak jakiegokolwiek kontroli nad rozprzestrzenianiem się wirusa. Obecnie, przy ok. 25-30% pozytywnych, kontrola również jest iluzoryczna. O rzeczywistej możemy mówić, gdy jest maksymalnie 5-10% wyników pozytywnych. Ale dziś liczby zakażonych są niedoszacowane. Wiele osób z objawami nie idzie na test, bojąc się izolacji i kwarantanny dla całej rodziny.

– Tak najprawdopodobniej dzieje się na Podkarpaciu. Niby mała liczba zakażeń, druga po Świętokrzyskiem, ale przeszło 30-procentowy wzrost śmiertelności, pełne szpitale i dużo

zajętych respiratorów. W bardziej wyszczepionym Mazowieckiem jest kilkunastoprocentowy wzrost śmiertelności mimo dwukrotnie wyższej oficjalnej liczby potwierdzonych zakażeń – tłumaczy Łukasz Pietrzak.

„W Niemczech po miesiącu przerwy przywrócono testy bez konieczności ich opłacania. W szkołach dzieci są testowane codziennie – nie we wszystkich landach. Kiedy Ministerstwo Zdrowia wprowadzi nieodpłatne testy dla każdego?”, zastanawia się internauta.

Błąd 4: Nieprawidłowe leczenie

– 71% chorych w Polsce dostało przeciwwirusowy remdesivir bez

► sensu, po piątym dniu od pojawienia się objawów, gdy nie miało już w organizmie wirusa. Z kolei rekomendowany przez WHO deksametazon stosowany w okresie aktywności wirusowej szkodzi pacjentom, bo blokuje odpowiedź immunologiczną w fazie, kiedy organizm walczy z wirusem – stwierdził prof. Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku na IV Kongresie „Ekonomia dla Zdrowia”.

Prof. Kuna zaś wskazuje, że podłączenie do respiratora często prowadzi do bakteryjnego szpitalnego zapalenia płuc, sepsy i zgonu. „W pulmonologii wobec pacjentów z niewydolnością oddechową zawsze obowiązywała złota zasada: za wszelką cenę nie intubować i nie podłączać do respiratora. (...) W walce z epidemią COVID-19 pomieszały się zupełnie działania racjonalne z nieracjonalnymi, a mądre z głupimi. (...) Zapalenia płuc od zawsze leczyli interniści, specjaliści od medycyny rodzinnej, pulmonolodzy. Lekarze chorób zakaźnych nie byli do tego przygotowani. Narzucenie oddziałom zakaźnym obowiązku leczenia COVID-19 spowodowało ograniczenie w leczeniu chorych m.in. z WZW. Jestem lekarzem praktykiem i widzę, że dziś COVID-19 leczą często lekarze, którym administracyjnie narzucono taki obowiązek. Są to także dermatolodzy, okuliści, mnóstwo stażystów i rezydentów bez specjalizacji. Chorymi z niewydolnością oddechową zajmują się lekarze bez doświadczenia”, mówił w wywiadzie dla „Pulsu Medycyny”.



Dr hab. Tomasz Dzieciatkowski: Nowe obostrzenia to wielka fikcja.

Błąd 5: Szpitale tymczasowe

Za ogromne pieniądze powstawały szpitale tymczasowe. Coś, co miało być jednostką pośrednią między szpitalem a ambulatorium, stało się lazaretem. – Daję pani skierowanie do szpitala na Stadionie Narodowym. Ale tam pani leczyć nie będą, tylko będą obserwować, czy temperatura skacze – usłyszała mieszkanka Warszawy od lekarza w szpitalu, do którego zgłosiła się na tomografię płuc z powodu duszności.

– Mierzyć temperaturę mogę sama. Podpisałam więc oświadczenie, że jestem świadoma zagrożenia życia i zdrowia i rezygnuję z hospitalizacji. Dochodzę do siebie w domu – opowiada kobieta.

Może więc warto byłoby postuchać prof. Gieleraka, który uważa, że znacznie lepszym rozwiązaniem

byłoby szpitale modułowe przy tradycyjnych szpitalach? Pacjenci covidowi potrzebują przede wszystkim wsparcia oddechowego. Na miejscu jest wyspecjalizowana kadra. Poza tym moduły z 12-15 łózkami gwarantują optymalne wykorzystanie personelu medycznego. Błędem było nakazywanie przez wojewodów zabezpieczenia pięciu łóżek do intensywnej terapii. Do ich obsługi potrzeba bowiem tyle samo personelu, ile do obsługi 15. Czyli ekonomicznie jest budować moduły. Wyprowadza się w ten sposób pacjentów covidowych ze szpitali i leczy chorych onkologicznie, kardiologicznie. Dziś trafiają oni do lekarzy z powikłaniami, gdyż boją się iść do szpitala. Wydaje się więc, że szpitale modułowe mogłyby ograniczyć liczbę nadmiarowych zgonów.

Idą święta...

W Polsce nie panuje odmiana delty bardziej zjadliwa niż w innych krajach, a jednak trup ściele się gęsto. Jak widać, ma to sporo przyczyn. Weźmy na koniec rządowy konkurs „Rosnąca odporność”, w którym nagrody miały trafić do najlepiej wyszczepionych gmin. Trafiły jednak na wschód, gdzie większość głosuje na PiS, ale zaszczepionych jest mniej. Czegoś nie rozumiecie?

No nic. Do 17 grudnia wzmocnimy odporność, nie latając do Zimbabwe oraz nie uczestnicząc w weselu na 101 osób. W rodzinne święta przy suto zastawionym stole i gorzałce jeszcze ją podniesiemy. Czy trup będzie się słał mniej gęsto?

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeklad.pl

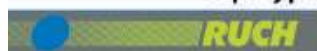
Drogi Czytelniku,
jeśli nie zdążyłeś wykupić prenumeraty PRZEGŁĄDU na 2022 r., to nic straconego.

Prenumeratę możesz zamówić w RUCH-u
prenumerata.ruch.com.pl

Cena za I kwartał – 78,80 zł, I półrocze – 151,20 zł, roczna – 296,80 zł

Możliwość zamówienia do wybranego kiosku gratis

W przypadku zamówień do domu doliczane są koszty dostawy



Szczegółowe informacje pod nr. tel.: 22 635 84 10 wew. 118

Rozmawiają Jerzy Domański
i Robert Walenciak

Równocześnie przewodniczący OPZZ i przewodniczący, rotacyjny, Rady Dialogu Społecznego. Jak pan funkcjonuje w tych dwóch postaciach? Dwóch duszach?

– Jako szef centrali związkowej reprezentuję pracowników zrzeszonych w naszych organizacjach członkowskich. Natomiast jako przewodniczący Rady Dialogu Społecznego muszę wszystkich partnerów traktować jednakowo. Odgrywam rolę organizatora – moim zadaniem jest ustalenie porządku obrad Prezydium RDS, które zatwierdza porządek obrad całej Rady. Pilnuję więc, by wszyscy partnerzy, którzy chcą w ramach RDS swoje sprawy, mieli tę możliwość.

Kim są ci partnerzy?

– Poza nami – dwie inne centra le związkowe, Solidarność i Forum. Oraz sześć organizacji pracodawców i strona rządowa. Związkowcy i pracodawcy w sumie reprezentują wiele milionów ludzi. RDS to jedyne forum trójstronne, w ramach którego związki zawodowe, pracodawcy i rząd siadają przy jednym stole, by rozmawiać o najważniejszych problemach państwa, pracowników i przedsiębiorców.

Rząd podchodzi do spotkań RDS właściwie?

– Wiceprzewodniczącym Rady ze strony rządowej jest zawsze minister od spraw pracy. Przez pewien czas była to pani Marlena Małąg, potem był pan Jarosław Gowin, teraz znów jest pani Małąg. Dwukrotnie w ostatnich latach gościem RDS był premier.

Formuła Rady zakłada, że jest to głównie forum wymiany informacji. A czy w RDS toczą się również negocjacje?

– W ustawach jest zapisane, że niektóre sprawy, np. opiniowanie budżetu państwa czy ustalenie wskaźnika wynagrodzeń w sferze budżetowej lub płacy minimalnej, muszą przejść przez RDS. Negocjacje zatem się odbywają, w zespołach problemowych. Jest ich kilkanaście. W tych zespołach pracują eksperci trzech stron i w wielu przypadkach mają miejsce negocjacje. W ten sposób w sierpniu ub.r. osiągnęliśmy

Najpierw rozmowy, potem ulica

Nasze OPZZ-owskie ekspertyzy i oceny są na ogół bliższe rzeczywistości niż prognozy rządowe



ANDRZEJ RADZIKOWSKI

– przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, od 2 listopada przewodniczący Rady Dialogu Społecznego

porozumienie w sprawie płacy minimalnej w ochronie zdrowia.

Mamy lepszych ekspertów niż rząd

A jaki jest poziom ekspertów? Czy związki mają ekspertów, którzy są partnerami dla ekspertów rządu i pracodawców, stron znacznie od was zasobniejszych?

– OPZZ ma bardzo dobrych ekspertów. Mamy ich niewielu, ale są bardzo kompetentni. Norbert Kusiak, Renata Górna, Paweł Śmigiel, Zygmunt Mierzejewski, Paweł Galec... Dlaczego mam prawo tak twierdzić? Otóż jeśli negocjujemy założenia do budżetu państwa, to nasza ocena wskaźników wzrostu czy inflacji jest z reguły dużo bliższa

prawdy niż wskaźniki ekspertów rządowych. Tak jest od lat! Nasze OPZZ-owskie ekspertyzy, oceny są na ogół bliższe rzeczywistości niż prognozy rządowe. Uważam więc, że mamy dobrych ekspertów i jesteśmy dobrze przygotowani do rozmów.

Czy RDS ma budżet na wsparcie ekspertów?

– Dość symboliczny. Co uderza zwłaszcza w związki zawodowe. Wielokrotnie zwracaliśmy uwagę, że ten budżet powinno się zwiększyć i że Rada powinna mieć własny, wspólny zespół ekspercki. Po to, żeby mieć większe wspólne zaufanie do ekspertów i też, które stawiamy. Gdy każda ze stron podaje swoje dane, zawsze jest doza wątpliwości: czy one są rzetelne, czy koloryzowane?

► Czy eksperci związkowi mówią jednym głosem?

– W większości spraw! W tym roku mieliśmy wspólne zdanie na temat płacy minimalnej, wskaźnika wzrostu wynagrodzeń w sferze budżetowej, waloryzacji rent i emerytur. I wielu innych. W RDS mamy możliwość przyjmowania stanowisk trójstronnych i dwustronnych. Trójstronne, z udziałem rządu, w ostatnim okresie były dwa. Jedno dotyczyło mediatorów, drugie – zmian

publicznych. Jesienią, po naszych protestach, rząd trochę zwiększył finansowanie. Ale w tej chwili bardzo duża inflacja zaczyna to wszystko zżerać i napięcia zaczynają narastać. Parę dni temu związkowcy z ZNP i z Forum zwrócili się do mnie, żeby na najbliższym posiedzeniu Prezydium RDS porozmawiać o sytuacji w oświacie pod kątem i wynagrodzeń, i pewnych reform, które planuje minister, i zagrożenia dialogu przy takim sposobie jego prowadzenia, jaki

– W zasadzie we wszystkich. Mamy też rysujący się kryzys w przemyśle samochodowym, ze względu na przerwy w dostawie elektroniki staje produkcja. Dostajemy sygnały, że jest pilna potrzeba uruchomienia programu wsparcia dla przemysłu motoryzacyjnego, bo może tam dojść do dużych zwolnień pracowników.

W samochodówce jest niestety tak, że to właściciele decydują, który zakład zamknąć, a który ratować. I zamykają ten zagraniczny, czyli w Polsce.

– Tego się obawiamy. Mieliśmy przykład Fiata. Kiedy spółka znalazła się w kryzysie, zamykano najpierw zakłady zagraniczne. Dlatego w związku z Krajowym Planem Odbudowy mieliśmy nadzieję, że będzie okazja do unowocześnienia i odbudowania polskiego przemysłu. Bo tam, gdzie jest spółka nawet z kapitałem zagranicznym, ale mocno oparta na polskiej technologii, pracownikach, polskiej myśli technicznej, koncern nie zlikwiduje tak łatwo produkcji. A tam, gdzie jest bardzo prosta produkcja, typu montownia, to się zamyka i już... Niemało było takich przykładów.

Zanim wyjdziemy na ulice

Z pańskich słów o Radzie Dialogu Społecznego wynika, że aktywność związków zawodowych zaczyna się przenosić z ulic, na których demonstrowano, do sal konferencyjnych, gdzie debatują eksperci.

– Tak do końca nie jest. Utrzymujemy obie formy aktywności. Ale na pewno jest dzisiaj duże zrozumienie

OPZZ ma bardzo dobrych ekspertów.

To Norbert Kusiak, Renata Górna, Paweł Śmigieński, Zygmunta Mierzejewski, Paweł Galec...

legislacyjnych umożliwiających przejście na emeryturę pomostową bez rozwiązywania umowy o pracę. Natomiast porozumień dwustronnych z pracodawcami mamy kilkadziesiąt! Okazuje się, że związki zawodowe i pracodawcy mają dużo wspólnych interesów.

To już nie jest konfrontacja?

– Jedna i druga strona zaczyna dostrzegać wspólne interesy. Związkowcy mają świadomość, że bez firmy nie będzie miejsc pracy, pracodawcy mają coraz większą świadomość, że dobra atmosfera pracy zapewnia wydajność i stabilizację firmy. Zresztą pokazał to kryzys – tam, gdzie był klimat wzajemnego zaufania, łatwiej było osiągać porozumienia, podejmować działania antykryzysowe.

Inflacja zaczyna wszystko zżerać

Jak działa Rada Dialogu

Społecznego w czasie pandemii?

– Początek pandemii wyznaczył wiele dodatkowych zadań, bo budowano programy antykryzysowe i programy wsparcia. W tej chwili również podejmujemy tematy, które wynikają z bieżącej sytuacji w państwie.

Jakie tematy?

– Przede wszystkim to epidemia. Rozmawiamy o sytuacji w ochronie zdrowia, pogarszającej się dostępności do opieki zdrowotnej i nadmiernej liczbie zgonów. Kolejnym tematem jest wdrażanie Zielonego Ładu, przekształcenia energetyczne. Poza tym mamy napiętą sytuację wśród pracowników sfery finansów

prezentuje minister Czarnek. Zwrócili się też do mnie pracownicy administracji skarbowej oraz sądów, żeby podjąć sprawę ich wynagrodzeń. Po wrześniowo-październikowym uspokojeniu, zapowiedziach dodatkowych wypłat w bieżącym roku i wzrostu płac w przyszłym zaczyna przy tej inflacji odżywać sprawa wzrostu wynagrodzeń. Będziemy więc w RDS rozmawiać także o inflacji!

Rząd przedstawił niedawno pakiet antyinflacyjny.

– Nie był on konsultowany z RDS. Trochę nas to dziwi. Inflacja nie spadła z nieba, nie pojawiła się znikąd. Nasi eksperci już wcześniej przestrzegali, że jest takie zagrożenie. Rząd to długo bagatelizował. A w tej chwili w ciągu paru dni opracował pakiet i go ogłosił. W naszej ocenie naruszył zasady dialogu społecznego, bo pakiet kwalifikuje się do rozmowy i debaty na forum RDS.

Nasi eksperci już wcześniej przestrzegali, że jest zagrożenie inflacją. Rząd to bagatelizował.

W sprawie inflacji związkowcy i pracodawcy idą ręką w rękę.

– Pracodawcy sygnalizują kłopoty. Po pierwsze, rosną koszty produkcji, a więc muszą podnosić ceny wyrobów. Inflacja ten zysk zżera. Po drugie, pojawia się nacisk na wzrost wynagrodzeń ze strony pracowników, bo ceny rosną. I kółko się zamyka.

W jakich branżach naciski są największe?

dla negocjacji, zwłaszcza w ramach RDS. Żeby, zanim wyjdziemy na ulicę, spróbować szukać porozumienia. **Miały być we wrześniu wielkie demonstracje budżetówki i ich nie było...**

– W wakacje rząd zapowiedział, że w ogóle nie będzie w przyszłym roku podwyżek w sferze budżetowej. Te zapowiedzi wywołały protesty, więc rząd zaczął po trochu dosypywać. A to powiedział, że da 4%, za chwilę

dodał, że dołoży 3% w ramach funduszu nagród. Potem obiecał kolejne dodatki. Te zapowiedzi przekładały się na negocjacje w zakładach pracy i to trochę uspokoiło atmosferę. Zwłaszcza że latem jeszcze nie było takiego parcia inflacyjnego.

I OPZZ odpuszcilo?

– Naszym celem nie były protesty dla protestów. Chodziło nam o wzrost wynagrodzeń i zmuszenie strony rządowej, żeby poszczególne resorty siadły ze związkowcami do rozmów! Te rozmowy się rozpoczęły, w wielu miejscach podpisano porozumienia. Dlatego trochę to wyhamowało.

A czy w zakładach pracy związkowcy są zainteresowani działaniami RDS?

– Jestem przewodniczącym od początku listopada, a mam już kilka wniosków od różnych organizacji związkowych: a to żeby uruchomić zespół branżowy, a to żeby wnieść daną sprawę pod obrady. W związku z tym wydaje mi się, że rośnie uznanie, że na forum RDS można załatwić ważne sprawy.

A z perspektywy kilkunastu lat, czasów rządów PO i rządów PiS, jak te partie podchodziły do dialogu społecznego?

– Powiem szczerze, że większej różnicy nie widać. Polskie władze generalnie mają duże przekonanie o swojej nieomyślności i o tym, że wystarczy mandat z wyborów, arytmetyka parlamentarna, żeby można było działać, jak się chce.

Spojrzenie z Unii

Stałe rozmowy w trójkącie pracodawcy-pracownicy-rząd to norma europejska. W każdym państwie Unii takie ciała funkcjonują.

– Niedawno byłem w Paryżu na spotkaniu przedstawicieli krajowych rad dialogu. Różnie się one nazywają – Rada Dialogu albo Rada Społeczno-Gospodarcza. W niektórych państwach te ciała są trójstronne, w innych czterostronne – bo włączone do dialogu są organizacje pozarządowe. Generalnie w Unii Europejskiej dominuje przekonanie, że rady dialogu społecznego budują społeczeństwo obywatelskie, społeczeństwo włączające, takie, w którym coraz większe grupy obywateli aktywnie uczestniczą w zarządzaniu państwem. To wiąże się z tym, że im więcej osób

jest zaangażowanych w wypracowanie danych rozwiązań, tym większa później identyfikacja z tym, co państwo robi.

Przybywa w Polsce pracowników zagranicznych. Coraz więcej Ukraińców jest w systemie ZUS-owskim. A jak to wygląda w zakładach pracy? Jak wyglądają wzajemne relacje?

– Nie słyszałem o konfliktach między grupami pracowników polskich i zagranicznych. A są zakłady, w których pracownicy zagraniczni stanowią nawet 40% załogi. Także w zakładach produkcyjnych. Aczkolwiek,

Jest pilna potrzeba uruchomienia programu wsparcia dla przemysłu motoryzacyjnego, bo może tam dojść do dużych zwolnień pracowników.

żeby nie było konfliktów, bardzo mocno ciśniemy, aby zatrudniano tych pracowników na takich samych zasadach jak polskich. Mamy dobrą sytuację, że dzisiaj w Polsce rejestrowane bezrobocie jest niskie, więc nie ma ciśnienia, że ci z zagranicy zabierają pracę. Ale to w każdej chwili może się zmienić, tak było w Europie i wtedy zmieniają się sympatie. Dlatego powinniśmy do takich sytuacji zawnoczyć się przygotować.

Jak?

– Próbuje pracowników z Ukrainy organizować, mają u nas siedzibę, jako Związek Zawodowy Pracowników z Ukrainy. Spraw z prośbą o pomoc jest dużo. Weszliśmy z Lewiatanem we wspólny projekt certyfikowania agencji pracy tymczasowej. Jesteśmy też we wspólnym projekcie z niemiecką centralą DGB dla polskich opiekunek osób starszych wyjeżdżających do Niemiec. Próbuje budować programy wsparcia dla pracowników migrujących. Dodam, że o ile rządy Niemiec czy innych państw Unii wspierają związki zawodowe w tego typu przedsięwzięciach, również finansowo, o tyle polski rząd na takie sprawy nie chce dać ani złotówki.

Jak wyjść z tej spirali?

Jakie zatem są nastroje wśród załóg? Na początku lata były napięte, ale zostały rozmasowane przez rząd obietnicami podwyżek. A teraz,

przy tej inflacji, ciśnienie, jak pan mówił, rośnie?

– Na razie jesteśmy na etapie wniosków o podjęcie dialogu na forum RDS. Zobaczymy, jakie będzie zainteresowanie i reakcja ze strony rządu. Od tego będą zależały nastroje w środowiskach pracowniczych.

Metoda funkcjonowania rządu polega więc na tym, że gdy pojawia się problem, daje trochę pieniędzy. Ale jednocześnie pieniądze zabiera, poprzez inflację czy coraz większe podatki. Efekt jest taki, że ludzie mówią dziś niemal wyłącznie o inflacji, bo każda wizyta w sklepie

to dla nich przykra niespodzianka.

A pracodawcy – że każdy pracownik chce dostać podwyżkę... Jaki może być finał?

– Skala inflacji jest taka, że wymknęła się ona spod kontroli. I uderza w najłabszych. Niedawno cieszyliśmy się, że uposażenie najmniej zarabiających wzrosło od stycznia poprzez obniżenie podatków. A to już dawno zjadła inflacja! I zjada dalej.

I dobrego wyjścia nie ma...

– Nie ma. Mówiliśmy, że programy antyinflacyjne powinny powstać pół roku temu. Im wcześniejszy etap, tym mniejsze koszty. Natomiast w tej chwili to się tak rozbuchało, że koszty wyjścia ze spirali inflacyjnej mogą być naprawdę bardzo duże.

Jerzy Domański, Robert Walenciak
j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



GAMBIT

Jaruzelskiego

Wszystkie cztery armie
gotowe były do walki

Robert Walenciak

[Gen. Jaruzelski jeszcze przed stanem wojennym] część wojsk prowadził z koszar na poligony. Ze sprzętem, by ćwiczyły, by były gotowe do ewentualnych działań. Jakich? Gen. Dachowski¹ odpowiada wprost: jednostki „wychodziły z artylerią i z raketami, a więc na pewno nie po to, aby wjechać do miasta w celu zaprowadzenia w nim porządku”.

Można więc przyjąć, że wojsko, które ćwiczyło i zajmowało poligony, pełniło funkcję prewencyjną. Zniechęcało do pochopnej interwencji. Czyniło ją trudną. I taką, która może przynieść niedobre konsekwencje. (...)

Proklamowanie stanu wojennego tylko tę sytuację spotęgowało. Jednostki wojskowe, by osiągnąć „wyższy stan gotowości bojowej”, zostały przegrupowane w pobliżu dużych aglomeracji miejskich. I – jak podaje gen. Puchała² – „związki taktyczne Wojska Polskiego, w ograniczonych składach etatowych, miały zająć rejon, które w grudniu 1980 r. planowały obsadzić wojska interwencyjne ZSRR, Czechosłowacji i NRD”. Znajdowały się one w pobliżu Warszawy, Gdańska, Bydgoszczy, Poznania, Wrocławia, Katowic i Szczecina. Pojedyncze pułki zajęły rejon w pobliżu mniejszych miast. Ustalono też było, że „porządek” przywracać mają jednostki MSW. Wojsko zaś służy działaniom demonstracyjnym, wspomagającym. (...)

I jeszcze na jeden element warto zwrócić uwagę. Otóż bardzo szczegółowo zaplanowano ochronę najważniejszych obiektów państwowych. Wśród nich znalazł się budynek telewizji. Strzec go mieli żołnierze z wojsk powietrznodesantowych. Czy trzeba było do ochrony gmachu

telewizji, ochrony przed – co najwyżej – demonstrantami z Solidarności, ściągać wojska powietrznodesantowe? Czy może próbowano zabezpieczyć się przed innymi siłami? Batalion 6. Dywizji Powietrznodesantowej zajął też lotnisko Okęcie, blokując pasy startowe. Czyli blokując lotnisko tak, że żadna maszyna nie mogła z niego odlecieć, ale również żadna nie mogła na nim wylądować.

Tytułem przypomnienia: generałowie przygotowujący stan wojenny byli dość dobrze zorientowani, jakie siły zgromadzili Rosjanie i jakie jednostki mają być do Polski wprowadzane. Gen. Wacław Szklarski mówił: „Wiedzieliśmy o tym, że jednostki Północnej Grupy Wojsk są uzupełniane. W grę wchodziły szczególnie wojska lądowe, a więc te dywizje, które stacjonowały w Bornem-Sulinowie i w Świętoszowie. Były one uzupełniane jednostkami powietrznodesantowymi, które prawdopodobnie mogły być wykorzystane do działań specjalnych w czasie ewentualnej interwencji. Później dowiedziałem się, że na skutek wzmocnienia i uzupełniania jednostek garnizonu radzieckie zyskały dwukrotnie wyższą liczebność”.

Szef kontrwywiadu gen. Edward Poradko miał już interwencję sojuszników rozrysowaną w głowie. Mówił: „Chodziło o inwazję. Myślę, że w tym przypadku mielibyśmy do czynienia z wariantem afgańskim, chociaż praski był bardzo podobny. Taki wariant był rozpatrywany i przygotowywany. Zaprzyjaźnione armie opanowały niewralgiczne punkty, blokując podstawowe garnizony wojskowe i uruchamiają siły wewnętrzne, które w owym czasie czy wcześniej były przygotowane do spełniania administracyjnych funkcji wewnętrznych. Wiemy, do czego doprowadziło to w Afganistanie. Myślę, że »polski



Afganistan» byłby jeszcze bardziej tragiczny”.

Ten zwrot „zaprzyjaźnione armie” dotyczył armii ZSRR, CSRS i NRD. Mówienie o „przyjaźni” w takiej sytuacji to trochę jak żart. (...)

Jesienią 1981 r. mieliśmy więc zaskakującą, choć starannie ukrywaną przed światem sytuację. W samej Polsce i wokół Polski zgromadzone były dywizje gotowe do działania, z ostrą amunicją. Były systematycznie wzmocniane, prowadziły ćwiczenia. Rosjanie dokonywali przerzutu wojsk. To były dywizje rosyjskie, czechosłowackie i wschodnioniemieckie. Z drugiej strony jednostki Wojska Polskiego wyprowadzane były na poligony. W pełnej gotowości bojowej.

Dywizje Armii Radzieckiej, czechosłowackiej i NAL NRD miały działać zgodnie z planami interwencji. Te plany częściowo znamy. Znamy np. plany interwencji w Polsce wojsk czechosłowackich – odbywać się to miało w ramach operacji „Karkonosze”. Planu interwencji nie przewidywały współdziałania z wojskami polskimi. Przeciwnie. Co warto zauważyć, w planach czechosłowackich i NRD-owskich pojawia się wspólny element – szpitale polowe. Planiści obu armii założyli taką

sytuację, że będą mieli dużą liczbę rannych. Trudno zakładać, że spodziewali się ich w wyniku starć z bezbronną ludnością... Przewidywali szpitale polowe czy też miejsca na lądowanie dla śmigłowców, które ewakuowałyby rannych.

(...) Wśród dokumentów wywiadu wojskowego NRD w Polsce jest raport oceniający ewentualną reakcję polskiej armii na interwencję. I można w nim przeczytać, że trudno przewidzieć, jak zareaguje polskie wojsko na inwazję, a udział w niej Narodowej Armii Ludowej byłby szczególnie drażliwą sprawą. Nie ma gwarancji – stwierdza się w raporcie – że na wkroczenie Armii Radzieckiej Wojsko Polskie nie odpowie ogniem.

Polskie plany wprowadzenia stanu wojennego również nie przewidywały współdziałania z jednostkami państw sąsiadujących. Ich miało nie być. To dlaczego wojsko szło na poligony z ostrą amunicją, jak do walki? Czy szykowało się do bitwy? Do oporu? Jak uzyskać odpowiedź na tak postawione pytanie?

(...) Gen. Mieczysław Dachowski mówił: „Liczyliśmy się z realną możliwością wkroczenia czterdziestu kilku dywizji. Natomiast strona polska mogła wystawić 19 dywizji wraz z dywizjami rezerwowymi. A więc dawało nam to jakąś szansę w przypadku, gdyby doszło do interwencji”. Z kolei

Wojciech Jaruzelski przypomina polonijnego publicystę i cytuje jego opinię: „Radzieckie konwencjonalne siły zbrojne są bardziej niż wystarczające do zdruzgotania zorganizowanego oporu zbrojnego ze strony Wojska Polskiego. Z tego względu opcja oporu odpada”.

Dodajmy do tego jeszcze jedno – polskie wojsko było odcięte od magazynów, od logistyki. Co prawda, miało zdolność bojową, ale nie na długo. Jak szacował płk Yvan Duyon, *attaché* wojskowy Francji w Warszawie, polskie wojska miały zapasów na osiem dni. Więc jak? A może było tak, że Jaruzelski myślał trochę w podobny sposób, jak myśłano na Kremlu? Tam myślenie było takie: nie chcemy interweniować, ale jak będziemy musieli – zrobimy to. Na razie straszmy Polaków, poganiamy... Generał mógł zaś kalkulować w ten sposób: nie chcemy przeciwstawiać się Rosji, wiemy, że to militarny błąd, ale im bardziej twardo będziemy się prezentować, tym skuteczniej będziemy ich do interwencji zniechęcać. Poza tym, im mocniejszą mam pozycję w siłach zbrojnych, tym większe szanse, że Rosjanie nie zaczną montować swojej ekipy, rozglądać się za „prawdziwymi komunistami”. Tę filozofię mogliśmy przecież usłyszeć, gdy generał komentował inwazję z roku 1968 na Czechosłowację.

Polskie wojsko było więc swoistą *force de frappe* Jaruzelskiego. Czynnikiem, który służy odstraszeniu. To była więc swoista gra – Rosjanie grozili mu interwencją, pokazywali mu swoje dywizje, swoje możliwości, a on też im pokazywał, że ma do dyspozycji siłę. Że różnie być może, ale na pewno nie będzie łatwo.

Oczywiście wszyscy wiedzieli, że tak duża dysproporcja sił przesądza wynik starcia. Ale – starcia regularnego wojska. A co dalej? (...) Mówił zresztą o tym Wojciech Jaruzelski. „Wejście armii Układu Warszawskiego oznaczałoby wojnę, nie stan wojenny, ale stan wojny – tłumaczył w roku 1994. – Mieliśmy tego świadomość. Nastąpiłby podział w armii. Jestem przekonany, że większość musiałaby się temu przeciwstawić”.

¹ Gen. dyw. Mieczysław Dachowski – w latach 1979–1983 zastępca szefa Sztabu Generalnego WP ds. systemów kierowania.

² Gen. dyw. Franciszek Puchała – w czasie stanu wojennego pułkownik. Od 1980 r. w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego WP: szef Oddziału Gotowości Bojowej, zastępca szefa Zarządu Operacyjnego, od 1983 r. szef Zarządu Operacyjnego. Był planistą stanu wojennego.

Fragment wydanej przez PRZEGŁĄD książki Roberta Walenciaka *Gambit Jaruzelskiego. Ostatnia tajemnica stanu wojennego*

Kto szuka prawdy, znajdzie ją u Walenciaka



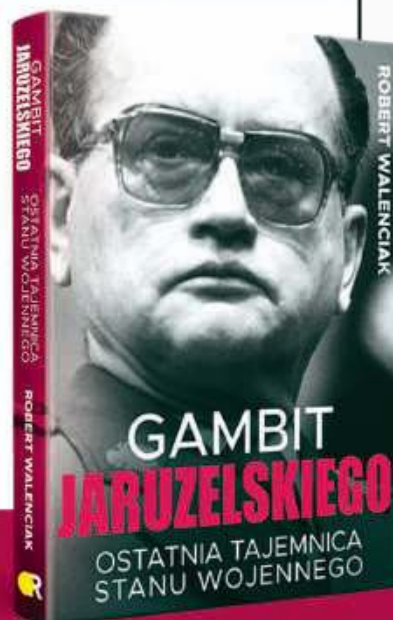
Dodatkowy prezent!

Książka z autografem i dedykacją autora

Prośby o dedykacje prosimy kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111
lub na: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Zamawiając przez sklep internetowy,
wpisz treść dedykacji w uwagach

49 zł



sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 49 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Zło mogło być większe

Realia polityczne i militarne w 1981 r. były takie:
albo rządząca partia sama rozprawi się z rewoltą,
albo będzie musiała to zrobić Moskwa

Stanisław Kwiatkowski

W sprawie stanu nadzwyczajnego, który wprowadzony został w Polsce w grudniu 1981 r., obie strony tamtego konfliktu przedstawiły już wszystkie argumenty – zarówno oskarżenia, jak i obrony. Wielokrotnie, w różnej formie, wypowiadał się na ten temat Wojciech Jaruzelski (zwłaszcza w książce „Pod prąd”). Wszystko już zostało powiedziane, ewentualnych uzupełnień trzeba szukać w rosyjskich archiwach wojskowych, niestety utajnionych (a w tych dostępnych, zdarzało się, podmieniano strony). Wiadomo, co się wydarzyło i dlaczego. W dyskusjach o tamtych wydarzeniach nie brakuje wariacji historycznych wokół tego, „co by było, gdyby...”. Snującym rozważania w tym stylu powtórzę za Jerzym Holzerem: „Z całą pewnością wiemy, co się stało (choć i to zmienia kształt w różnych interpretacjach). Nigdy nie będziemy z całą pewnością wiedzieć, co się stać mogło”.

Solidarność – „ruch aktywnych tłumów, jakiego nie znała historia” (Karol Modzelewski) – miała tak duże poczucie własnej siły i pewności swego, przekonanie o władzy leżącej na ulicy, że nie zamierzała w niczym ustępować, liczono na zwycięską konfrontację ze słabnącą PZPR. Ten potężny ruch moralnego protestu, *de facto* silniejszy od partii, żądał rozmów o reformach politycznych, realnego pluralizmu i podzielenia się władzą. Związek ciągle szantażujący strajkiem generalnym stał się zagrożeniem dla organizacji i instytucji państwa.

Ogólnopolski Zjazd Solidarności zakończony 7 października 1981 r. uchwalił program „Samorządnej Rzeczypospolitej”, wersję utopii społecznej podmiotowości w formule rządzenia liberalno-anarchistycznego.



Oficerowie armii Układu Warszawskiego na punkcie obserwacyjnym podczas ćwiczeń Zapad 81, wrzesień 1981 r.

Ten awanturniczy twór samorządowo-związkowy miał na celu wymóc przebudowę struktury społeczno-gospodarczej państwa. Najwyraźniej postanowiono ulepszyć socjalizm, zamienić się z PZPR w odgrywaniu kierowniczej roli w państwie.

Rozważania na temat stanu wojennego w grudniu 1981 r. powinny być poprzedzone pytaniem, czy tego rodzaju radykalny, masowy ruch protestu – niezależny związek, a zarazem partia opozycyjna – mógł przetrwać w tamtych realiach międzynarodowych i w ówczesnej sytuacji wewnętrznej. To było ciało obce naturze tamtego systemu politycznego i radzieckim interesom. Ten przeszczerp nie mógł się przyjąć, groził destrukcją całego organizmu.

Zanim nastał Gorbaczow

Deliberujący o tym, czy Solidarność mogła wywalczyć suwerenność

i czy rzeczywiście groziła nam inwazja sąsiadów, powinni mieć na uwadze realia historyczne. Poza dyskusją: Armia Czerwona, goniąc Niemców, weszła do Polski w 1944 r., a wyszła dopiero po 50 latach. Jednostki Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej stacjonowały w kilkudziesięciu (!) garnizonach rozlokowanych po całej Polsce. Nie musieli Rosjanie do Polski wchodzić! Już tu byli od wojny, na mocy układów jałtańskich, a więc za przyzwoleniem mocarstw zachodnich. W okresach kryzysowych, np. w 1981 r., tylko zwiększali swoje siły i uzbrojenie. Radzieckie dywizje były gwarantem lojalności władz i zobowiązań sojuszniczych PRL, tego, że sytuacja wewnętrzna nie wymknie się spod kontroli, że nie będzie przeszkód w zaopatrzeniu armii stacjonującej na terenie NRD. Interwencyjne operacje mogli prowadzić jednocześnie z zewnątrz i od wewnątrz. To po pierwsze. A po

wtóre – i wtórne – rządzić w wasalnej Polsce mogły tylko władze, które miały „błogosławieństwo” z Moskwy.

Dopóki istniał system jałtański, bez zmian w Związku Radzieckim nie było szans na pokojowe rozwiązanie tamtego konfliktu przez kompromisowe podzielenie się władzą, a nierozważni radykałowie opozycyjni mogli skończyć tylko w więzieniu lub na cmentarzu. Będzie to możliwe dopiero po zmianach w ZSRR, rezygnacji przez Gorbaczowa z doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności.

Na lotnisku w Mińsku Mazowieckim, w największej tajemnicy, doszło do spotkania Jurija Andropowa, szefa KGB, z Mirostawem Milewskim.

Ci sami, którzy rozwodzą się na temat odzyskania przez PRL niepodległości w tamtych realiach ustrojowych i międzynarodowych, nie przyjmują do wiadomości, że rządzący nie mogli oddać władzy opozycji antyustrojowej, nawet gdyby chcieli. W sytuacji bez dobrego wyjścia pozostała dramatyczna alternatywa: jeśli nie uda się dojść do porozumienia, trzeba będzie spacyfikować solidarnościową utopię i wprowadzić stan nadzwyczajny albo ziści się groźba interwencji.

Realia polityczne i militarne w 1981 r. były zatem takie: albo rządząca partia sama rozprawi się z rewoltą, albo będą musiały to zrobić siły zbrojne ZSRR przy wsparciu wojsk sąsiadów. Z naciskiem na słowo musiały – jak zawsze dotąd (w Budapeszcie i Pradze). Nawet gdyby Moskwa nie chciała – a nie chciała, bo prowadziła już wojnę w Afganistanie – musiała zlikwidować rebelię Solidarności. Szczęście w nieszczęściu, że do tego nie doszło.

Andrzej Celiński, socjolog, sekretarz Komisji Krajowej Solidarności, bliski współpracownik Lecha Wałęsy: „Mówiłem, że związek musi być ostrożny, bo są nieprzekraczalne granice, po złamaniu których władza musi zareagować siłą. Oraz że będzie to reakcja ostateczna; jeśli władza sobie z nami nie poradzi, to poradzi sobie ZSRR”.

Po fiasku spotkania trzech (Jaruzelski, Wałęsa, Glemp) 4 listopada 1981 r. na temat powołania Rady

Porozumienia Narodowego, czyli uruchomienia procesu wspólnego dochodzenia do ograniczonego pluralizmu politycznego, za czym opowiadał się Kościół, władze straciły nadzieję na pokojowe przesilenie. Na to, że związek, za sprawą umiarkowanych działaczy i Lecha Wałęsy, mając na względzie geopolityczne realia, zawrze polityczny kompromis z rządzącą partią, wybiere drogę realistyczną, patriotyczną.

Wojciech Jaruzelski z racji kolejnej rocznicy (w 2000 r.) zapewniał: „Moje intencje naprawdę były uczciwe.

(...) Władza była żywotnie zainteresowana tym porozumieniem. Po prostu dlatego, że była słaba, widziała katastrofalną sytuację kraju, ogromne zagrożenia i wewnętrzne, i zewnętrzne. Ratunkiem było znalezienie jakiejś płaszczyzny, na której można się porozumieć, znaleźć, na tamten czas, realną formułę podzielenia się władzą, reformy gospodarczej. Solidarność była w innej sytuacji. (...) Tam coraz bardziej dominował nurt radykalny, ekstremalny”.

Po drugiej stronie, w strukturach państwa i w aparacie partii rządzącej, też nie brakowało przeciwników kompromisu i ustępstw, chętnych do działań bardziej radykalnych, rozwiązań siłowych wobec Solidarności. Grupy ortodoksyjnej lewicy w PZPR,

Sąsiedzi szukali sposobu, by rozpedzić rebelię, mieli tylko kłopot, jak to zrobić, bo wsparcie popleczników ZSRR w Polsce było za słabe.

miłośników Związku Radzieckiego, groziły rozłamek i utworzeniem nowej partii. Już nawet wyznaczono termin zjazdu założycielskiego na 15 grudnia. No i nasilała się presja Moskwy, zarówno jawne pogroźki, jak i zakulisowy szantaż, groźba wewnątrzpartyjnego puczu bądź radzieckiej interwencji. W tej sytuacji, w największej tajemnicy, na lotnisku polowym w Mińsku Mazowieckim doszło do spotkania Jurija Andropowa, szefa KGB, z Mirostawem Milewskim.

Sąsiedzi szukali sposobu, by rozpedzić rebelię, mieli tylko kłopot, jak to zrobić, bo wsparcie popleczników ZSRR w Polsce było za słabe.

Co mógł Generał?

Generał wszystkie groźby traktował bardzo poważnie i bał się ich spełnienia. Nie ze względu na bezpieczeństwo własne, ale w obawie przed wojną domową i jej konsekwencjami międzynarodowymi dla Polski. Powstała sytuacja beznadziejna w wielu wymiarach, w której wszystko nieuchronnie zmierzało do dramatycznego finału.

Rezultaty zjazdu Solidarności potwierdziły obawy i przewidywania Kremla. Pod presją Breżniewa kołem ofiarnym został Stanisław Kania, domagano się jego usunięcia ze stanowiska I sekretarza PZPR przy pomocy „zdrowych sił” w partii. 18 października załamany psychicznie Kania złożył rezygnację.

Wybór Wojciecha Jaruzelskiego na I sekretarza KC PZPR przyjęto w Moskwie pozytywnie, chociaż nie bez obaw. W ocenie Michaiła Susłowa „Jaruzelski, który często przejawia nadmierną ostrożność, nie zawsze jasno prezentuje swoje poglądy na ważne sprawy”.

Co mógł Generał? Uspokajał Moskwę i zapewniał, że kontroluje sytuację (Susłow: „Jaruzelski z nami pogrywa”). Mógł zrezygnować z odpowiedzialności, wyłączyć się jak Kania (ale nie cierpiał alkoholu). Przecież tego nigdy by mu nie wybaczone! Miał także szansę zapisać

się na trwałe w historii ojczystej jako opatrnościowy mąż stanu, zapobiec groźbie wewnętrznej konfrontacji i zewnętrznej interwencji.

Generał przesunął termin siłowego rozwiązania jak najdalej – nie tylko ze względu na naciski zewnętrzne i wewnętrzne, ale także z uwagi na czynniki decydujące o powodzeniu operacji. W rozmowie z Rudolfem Borieckim, rosyjskim dziennikarzem, przyznał w 2008 r., że czasem „trzeba było prowadzić swoistą podwójną grę ▶

► – trudną, a jak tego wymagała sytuacja – nie bez kombinowania. Zresztą gra była obustronna. Badano nas co do wprowadzenia stanu wojennego. My z kolei staraliśmy się dowiedzieć, na ile grozi nam »braterska pomoc«. Szczególnie ciężko było z Susłowem, który testował rozmaite warianty: »A jeśli wy rozpoczniecie, a potem my wejdziemy?«. »Sami sobie damy radę«, odpowiadam. »A jeśli sytuacja się skomplikuje?«. Dobrze pamiętam, co powiedział Breżniew mojemu poprzednikowi, I sekretarzowi KC PZPR Stanisławowi Kani: »Jeśli sytuacja będzie się komplikować, to my wejdziemy«. Było to jeszcze w 1980 r. Ale wątpliwe, czy coś się zmieniło przez rok. Dlatego upierałem się: »Sami damy sobie radę«.

W reakcji na uchwały zjazdu Solidarności, zwłaszcza na „Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”, 17 września 1981 r. – w 42. rocznicę najazdu na Polskę (!) – ambasador Borys Aristow wręczył naszym władzom pisemne oświadczenie KC KPZR i rządu ZSRR, w którym pytano: „Dlaczego na oszczerstwa i zniewagi pod adresem naszego państwa (...) ze strony oficjalnych władz polskich nie przedsięwzięto do tej pory żadnych zdecydowanych kroków (...) w celu przecięcia złośliwej i antyradzieckiej propagandy i wrogich wobec Związku Radzieckiego akcji?”.

Generał wykazał się odwagą i przezornością, nie popełnił błędu zaniechania, uprzedził inwazję.

Do tego zaczęły się różne formy nacisku, nieustanne ostrzeżenia, groźby, pełne oburzenia telefony z Moskwy, butne potajanki ambasadora ZSRR w Polsce, protesty generalicji z dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych; inni też sobie pozwalali. Do Wojciecha Jaruzelskiego przyjechała delegacja Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, skarżyła się na różne antyradzieckie ekscesy, że żołnierze, kadra i jej rodziny czują się zagrożeni. Namolny marsz. Wiktor Kulikow molestował Generała swoimi wizytami.

Bez poczucia triumfu

Generał przez kilka miesięcy, w atmosferze wielkiego napięcia, wbrew

naciskom zewnętrznym i wewnętrznym, grał na czas, kluczył, lawirował, zwodził, byle nie dopuścić do bratobójczej walki ani do starcia z sąsiadami. Robił wszystko, żeby zapobiec kolejnemu przegranemu powstaniu, w którym znów Polska spłynęłaby krwią.

Od Jaruzelskiego zależało wiele, ale nie aż tyle, żeby zapobiec katastrofie mniejszego zła. On także

Armia Radziecka nie musiała do Polski wchodzić. Już tu była na mocy układów jałtańskich, za przyzwoleniem mocarstw zachodnich.

nie chciał, ale musiał, co uzasadnił w dwóch pamiętnych zdaniach: „Przyszłość Polski jest zagrożona” i „Moi obowiązkami jest wziąć odpowiedzialność”.

Wprowadzenie stanu nadzwyczajnego przesądziło sprawę, dało szansę na realistyczną politykę. Zaslugą Generała było to, że wykazał się odwagą i przezornością, nie popełnił błędu zaniechania, uprzedził inwazję. W sumie udało się nam wszystkim uniknąć większego nieszczęścia.

Solidarność przeżyła w stanie wojennym, w warunkach, jak na tę okoliczność, cywilizowanych, co przyznają nawet sami wówczas

roli Solidarności, szanując różnych jej działaczy, rozumiem gorzką pamięć represjonowanych czy w inny sposób dotkniętych dolegliwościami owego czasu. Ale też bardzo pragnę, ażeby lepiej zrozumiane zostały uwarunkowania oraz intencje decyzji i działań w imię mniejszego zła. (...) Prawda, choć bolesna, jest taka, że mniejsze zło zapobiegło wtedy złu, którego skala

mogłaby przybrać katastrofalne dla Polski rozmiary. Krytycy stanu wojennego nie uwzględniają wielu ówczesnych realiów, wychodzą z ahistorycznych przesłanek. Rozumiem ich subiektywne motywacje, ale nie mogę podzielić wniosków”.

Z dystansu, po latach, Jaruzelski powiedział: „Do stanu wojennego mogło nie dojść, gdyby inny był wówczas świat, Europa, a zwłaszcza sąsiedzi”. Żeby nie było wątpliwości, mówił wówczas wprost i otwarcie: „Stan wojenny to nie zwycięstwo, przeciwnie – to największa klęska władzy ludowej. Wprowadzony został nie po to, aby przerwać reformy, lecz przeciwnie – aby stworzyć niezbędne warunki do ich urzeczywistnienia. Nie będzie odwrotu od reformy”.

Wojciech Jaruzelski wygrał stan wojenny dla Polski: opanował stan wrzenia politycznego własnymi siłami, podołał wyzwaniom okresu krańcowej destabilizacji i chaosu – znalazł wyjście z opresji. W tamtej sytuacji był to nie tylko godny szacunku akt odwagi męża stanu, ale również konstytucyjny obowiązek odpowiedzialności.

Obserwowałem te Jego wysiłki z bliska, pamiętam wymowę różnych dokumentów i zdarzenia z tamtego okresu, co obszernie zrelacjonowałem w książce „W stanie wyższej konieczności. Wojsko w sytuacji konfliktu społecznego w Polsce 1981-1983” (2011 r.).

Prof. Stanisław Kwiatkowski był organizatorem i pierwszym dyrektorem CBOS (1982-1990) oraz Instytutu GfK Polonia (1990-1995)



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

O bredzeniu

Czy warto przypominać słowa Mateusza Morawieckiego wypowiedziane w Krakowie w Święto Niepodległości? Wszak tyle odtąd się wydarzyło: podróże europejskie pana premiera, jego kolejne wystąpienia publiczne, jego wywiad dla „Le Figaro”... A jednak o tamtym powinniśmy pamiętać. Nieustannie.

Premier mówił: „Musimy pozbyć się nawyku, który tłoczono nam do głowy prawie 300 lat, także w czasach już III Rzeczypospolitej. To nawyk pewnego rodzaju gorszości, że jesteśmy od innych gorsi”. Ciekawe. Polacy wielokrotnie zauważali u siebie wcale nie kompleks niższości, lecz przeciwnie: megalomanię narodową. A skąd te „prawie 300 lat”? Może chodziło o – dokonaną pod bagnetami rosyjskimi – elekcję króla Augusta III? Lecz przecież nawet wtedy polskiej szlachcie do głowy nie przyszło, by od kogokolwiek miała być gorsza.

A premier czarował dalej: „Nas uczono, abyśmy słuchali innych. My chcemy w Polsce rządzić się po naszemu, po polsku”. To również ciekawe. Wszak (poza zaborcami, a i to nie zawsze) nikt nigdy czegoś takiego Polaków nie uczył. Choć i tak od dawna już słuchamy tych „innych”, to znaczy wsłuchujemy się w otaczający nas świat, bo nikt nie jest samotną wyspą. A i rządzimy się nie po polsku: 1050 lat temu przyjęliśmy chrześcijaństwo – wiarę wcale nie polską, nawet w swej genezie nie europejską. Po polsku tośmy się rządzili za Piasta.

I dalej powiadał premier: „Chcemy pozbyć się tych nawyków odpowiedzialności przed innymi za nasze i nie nasze winy, odpowiadania przed innymi trybunałami. Jest tylko jeden jedyny trybunał, przed którym odpowiadamy. To trybunał naszej historii i naszej przeszłości”. Też ciekawe. I piękne. „Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest honor!”. Tak mówił minister Józef Beck w przededniu II wojny światowej. Dziś, w innym wystąpieniu, parę tygodni przed mową krakowską, premier Mateusz Morawiecki groził Europie III wojną światową. Historia się powtarza. Lecz zawsze jako farsa.

„Elity tamtej Rzeczypospolitej, do 2015 r. – kontynuował – z krótkimi przerwami...”. A gdzież to te przerwy?! I czemu w liczbie mnogiej?! Dla pisowskiego premiera powinna istnieć tylko jedna „przerwa”: czas rządu Jana Olszewskiego! No ale nie darmo jest Morawiecki miękiszonem... Cóż jednak powiadał dalej? „Elity (...) najłatodziej

powiem, że dbały przede wszystkim o siebie. (...) To jest ich główny grzech. Na pewno grzechem części z nich jest agenturalność”. Rozumiem, że elity, w imię dbałości o siebie, wprowadziły Polskę do NATO (bo o wraź Unii Europejskiej taktownie nie wspomnę). Ale agenturalność? Hi, hi, takie oskarżenie akurat w ustach pisowca?

Nie jestem pewien, czy autor wszystkich tych enuncjacji zasługuje na tytułowanie go premierem. Owszem, premierem jest on realnie, ale – jak widać i jak wiemy – niewiele z tego wynika. Może więc lepiej mówić: magister Morawiecki? Wszak jest on magistrem historii. Skoro jednak jego praca magisterska traktowała o działalności ojca, to może nie ma co się dziwić, że jego kompetencje są takie, jakie są. Już raz zresztą te historyczne dywagacje wywołały skandal międzynarodowy. Jak zatem mamy mówić? Przyjmijmy, że pan Mateusz.

Komunistyczni rozmówcy z wydanych przed laty „Onych” Teresy Torańskiej też żyli w swojej bańce. A jednak, choć uważali PRL za zwieńczenie polskich dziejów,

to przynajmniej nie twierdzili, że przedtem „Polski nie było”. Tymczasem pisowcy mówią tak nieustannie, bezpośrednio i pośrednio; w swej mowie krakowskiej pan Mateusz pokazał to raz jeszcze. Bo czy naprawdę można uważać,

że przez „prawie 300 lat” Polacy nie rządzili się swymi prawami? Czy naprawdę nie istniała II Rzeczpospolita (bo o wraź III RP równie taktownie nie wspomnę)? Znakiem rozpoznawczym pisowca jest pogarda dla polskiej państwowości. Nieraz o tym pisałem, podawałem cytaty, jednak gdyby ktoś uważał, że to mało, niech się pochyli nad mową krakowską. A jeśli i tego mało, niech każe któremuś pisowcowi wyrecytować hymn narodowy. Ten patriota utknie na pierwszej zwrotce.

Pan Mateusz przegrał już kilka procesów o zniesławienie. Kto go dziś pozwie za „agenturalne elity”? Pan Mateusz przed półtora rokiem deklamował, że „już nie trzeba się bać wirusa, trzeba pójść na wybory, tłumnie”. Kto go pozwie za ludzkie tragedie? Ale bredzenie nie jest bezkarne. 300 lat? Może raczej 400 i powstałe w tym czasie powiedzenie „bredzi jak Piekarski na mękach”? Tymczasem już kilka lat temu suweren ukuł powiedzenie inne. Krótsze, prostsze i bardziej zrozumiałe: „kłamie jak Morawiecki”.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Cienka czerwona linia

Czy Polska jest gotowa na wojnę w cyberprzestrzeni?

Marek Czarkowski

W ostatnich tygodniach wraz ze wzrostem napięcia na granicy polsko-białoruskiej nasze służby odnotowały niepokojący wzrost liczby incydentów w sferze cyberbezpieczeństwa. Zagrożenie jest realne i poważne, a potencjalne straty spowodowane atakiem hakerów mogłyby sięgać setek milionów złotych.

Dlatego w stan gotowości postawiono także specjalistów odpowiedzialnych za zapewnienie bezpieczeństwa w sieci. Bardzo dobry zespół cyberkontrwywiadu ma Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Działa powołane w 2013 r. Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni im. Jerzego Witolda Różyckiego. Jednostką podległą MON dowodzi gen. bryg. Karol Molenda, będący jednocześnie pełnomocnikiem rządu ds. utworzenia Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni. Centrum podlega 10 jednostek rozmieszczonych na terenie kraju, w których pracuje ok. 5,5 tys. żołnierzy i cywilów.

Wojsko Polskie dysponuje też elitarnym Centrum Operacji Cybernetycznych – wyspecjalizowanym zespołem, którego zadaniem jest prowadzenie operacji militarnych w cyberprzestrzeni w sytuacjach, gdy użycie sił konwencjonalnych nie jest możliwe z przyczyn politycznych, operacyjnych lub technicznych.

Dziś nie wiemy nic o prowadzonych przeciw naszemu krajowi groźnych atakach na infrastrukturę telekomunikacyjną, energetyczną



Sprawy cyberbezpieczeństwa są coraz ważniejsze dla wojska. Nz. ćwiczenia żołnierzy polskich i amerykańskich.

i administracyjną, podobnych do tych, które miały miejsce w roku 2007 w Estonii czy w roku 2017 na Ukrainie.

Czy możemy czuć się bezpieczni?

Z pewnością nie. Choć sytuacja Polski jest znacznie lepsza niż krajów, z którymi sąsiadujemy. Działający w strukturach NASK – Państwowego Instytutu Badawczego zespół CERT Polska podał w raporcie za rok 2020, że zarejestrował 10 420 incydentów z obszaru cyberbezpieczeństwa, o ponad 60% więcej niż w roku 2019.

Z kolei Zespół Reagowania na Incydenty Bezpieczeństwa Komputerowego Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego odnotował w roku ubiegłym aż 246 107 zgłoszeń dotyczących potencjalnego wystąpienia incydentów teleinformatycznych, z czego 23 309 okazało się faktycznym zagrożeniem.

Wydaje się, że to dużo, lecz większość tych zdarzeń dotyczyła mniej groźnych prób wyłudzenia haseł, danych osobowych lub zainstalowania oprogramowania szpiegowskiego. Jedynie 32 przypadki ataków hakerskich zakwalifikowano jako „poważne, czyli takie, których wystąpienie ma istotny skutek zakłócający świadczenia usługi kluczowej”. Szczegółów nie ujawniono.

Bezpieczeństwa administracji państwowej, instytucji rządowych, sektorów bankowego, łączności, energetycznego, służby zdrowia, państwowych i prywatnych firm strzegą informatycy ABW oraz NASK-PIB. Ściganiem przestępców

DLACZEGO CIENKA CZERWONA LINIA?

Wczesnym rankiem 25 października 1854 r., podczas wojny krymskiej, w pobliżu Bałakławy ustawiona w dwóch liniach garstka szkockich górali z 93. pułku piechoty Sutherland Highlanders powstrzymała szarżę rosyjskiej kawalerii, uniemożliwiając jej zdobycie brytyjskiego obozu. Ich wyczyn rozstawił obraz Roberta Gibba pod nazwą „Cienka czerwona linia” (brytyjscy żołnierze nosili czerwone kurtki). W języku angielskim zwrot ten opisuje sytuację, w której nieliczna grupa staje do walki z potężniejszym przeciwnikiem. Dziś tym mianem określa się zespoły informatyków walczących w sieci z atakami hakerów.

działających w internecie zajmujące się zaś policyjne Biuro do Walki z Cyberprzestępczością Komendy Głównej Policji.

W przyszłym roku ma zostać utworzone policyjne Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości, zatrudniające docelowo 1,8 tys. funkcjonariuszy. Rząd zakłada, że w latach 2022-2031 na ochronę cyberprzestrzeni w Polsce trzeba będzie wydać z budżetu 4,4 mld zł, co nie jest zbyt wielką kwotą, zważywszy na szkody, jakie mogą spowodować ataki na kluczowe dla funkcjonowania państwa systemy.

Co nam grozi?

Straty spowodowane działalnością hakerów w krajach wysoko rozwiniętych liczone są rocznie w setkach miliardów dolarów i wiadomo, że będą rosły. Dlatego rosną wydatki na zapewnienie bezpieczeństwa w sieci, a cyberprzestępcy są bezwzględnie ścigani. Nasz kraj także musi radzić sobie z tym wyzwaniem.

Na początku roku klienci Home.pl otrzymali mejle z informacją: „Automatyczne obciążenie faktur nie powiodło się” i poleceniem, by zalogować się pod wskazanym adresem. Spełnienie żądania mogło oznaczać utratę środków na rachunku bankowym.

Klienci banków otrzymują czasem mejle z żądaniem zalogowania się na stronę internetową i zmiany hasła. Strona oczywiście jest fałszywa.

Na początku listopada pojawiła się informacja, że zaatakowane zostały serwery i sieci grupy Media Markt i Saturn. Przestępcy żądali pieniędzy za „rozwiązanie problemu”.

Ofiarami podobnego ataku padły we wrześniu br. osoby korzystające z usług InPost i DPD, którym wysłano SMS-y z informacją, że „przesyłka posiada błędny adres”. By rozwiązać problem, należało kliknąć na wskazany link. Kryła się pod nim założona przez hakerów strona, bliźniaczo podobna do witryn firm kurierskich. Następnie ofiara była nakłaniana do pobrania i zainstalowania rzekomo niezbędnej aplikacji. Jeśli to zrobiła, mogła się pożegnać z pieniędzmi.

30 września br. hakerzy zaatakowali prowadzącą zakłady bukmacherskie spółkę Totolotek SA (nie mylić ze spółką Totalizator Sportowy SA, która prowadzi zakłady Lotto). Uzyskali dostęp do archiwalnych danych tysięcy klientów Totolotka, obejmujących m.in. imię i nazwisko, datę urodzenia, numer dowodu osobistego, adres zamieszkania,

30 września hakerzy uzyskali dostęp do danych klientów Totolotka SA, prowadzącego zakłady bukmacherskie.

numer PESEL oraz numer rachunku bankowego. By opanować kryzys, spółka musiała odciąć swoje serwery od sieci. Wykradzione dane przestępcy mogą teraz wykorzystywać do zaciągania pożyczek w instytucjach pozabankowych, zakładania pod cudzym nazwiskiem kont na serwisach społecznościowych itp. Mogą też je sprzedać innym podmiotom.

Natomiast na początku listopada br. pojawiła się informacja, że zaatakowane zostały serwery i sieci grupy Media Markt i Saturn. Przestępcy zażądali pieniędzy za „rozwiązanie problemu”. Tym razem informatycy poradzili sobie z wyzwaniem. Sklepy nie zawiesiły działalności, a klienci mogli bezpiecznie dokonywać zakupów.

Rosyłane są także niewinnie wyglądające mejle reklamowe z załącznikiem lub załącznikami, które zawierają złośliwe oprogramowanie – *ransomware*, szyfrujące dane znaj-

w Teksasie, zarządzająca systemem rurociągów transportujących benzynę i paliwo lotnicze na południowy wschód Stanów Zjednoczonych, została zaatakowana przez hakerów, którzy „zaszyfrowali” jej systemy komputerowe. By powstrzymać atak, spółka zmuszona była wstrzymać pracę rurociągów i zapłaciła żadaną kwotę – równowartość 4,4 mln dol.

w bitcoinach. Przestępcy po otrzymaniu okupu przestali firmie aplikację, która przywróciła działanie sieci komputerowej. Po jakimś czasie Departament Sprawiedliwości USA ogłosił, że udało mu się odzyskać ok. 2,3 mln dol. z wypłaconego okupu. Był to najpoważniejszy cyberatak na amerykańską infrastrukturę naftową.

W lipcu br. hakerzy zażądali 50 mln dol. od największego na świecie koncernu naftowego, Saudi Aramco, któremu wykradli 1 terabajt danych dotyczących pracowników oraz lokalizacji należących do Saudyjskich rafinerii ropy naftowej. W sieci pojawiły się doniesienia, że szantaż się opłacił.

Miesiąc później operator sieci telefonii komórkowej T-Mobile ogłosił, że zagrożone zostały pliki ▶

Piłkarze Czarnych Żagań nie przegrali z Putinem ani z Łukaszenką, tylko z prezesem Polskiego Związku Piłki Nożnej. *Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE”.*



► zawierające poufne dane ok. 40 mln byłych lub potencjalnych klientów. Interpretowano to jako skuteczną kradzież danych, choć nikt tego oficjalnie nie potwierdził. Analitycy SonicWall przewidują, że liczba ataków typu *ransomware* na świecie nie zmniejszy się w dającej się przewidzieć przyszłości.

Polska, ze względu na niski PKB, jest w lepszej sytuacji. Okup, na jaki mogliby liczyć przestępcy, byłby skromny i nie pokrywałby kosztów ryzyka. Pewnie też z tego powodu

Inna, NASK CSIRT (Computer Security Incident Response Team), rejestruje płynące z sieci zagrożenia i nie bez sukcesów stara się im przeciwdziałać.

W Polsce raz zdarzyło się, że z powodu ataku hakerskiego w trybie alarmowym zebrał się Rządowy Zespół Zarządzania Kryzysowego. Było to 28 czerwca 2017 r. Powodem był groźny program o nazwie Petya lub NotPetya, jak później podawały media. Pierwotnie zaatakował on ukraińskie firmy i instytucje

z kolei ABW – Mariuszowi Kamińskiemu. Dlatego premier Morawiecki (morawiecki@gmail.com) czy wiceminister finansów Piotr Patkowski (piotr.a.patkowski@gmail.com) bardziej ufali Google, a Michał Dworczyk (m.dworczyk@wp.pl) Wirtualnej Polsce i dziś mają problem.

Internet rzeczy i nowe zagrożenia

Dzisiaj dostęp do internetu traktujemy jak coś naturalnego i nie zastanawiamy się, co grozi nam, jeśli zostaniemy zaatakowani. Namiastką tego, co nas czeka, była niedawna największa w historii awaria Facebooka, która na początku października dotknęła 3,5 mld użytkowników na całym świecie. W mediach pokazywano i opisywano reakcje młodych ludzi, przerażonych z powodu odcięcia od mediów społecznościowych. Pracownicy Marka Zuckerberga szybko uporali się z awarią, lecz straty wizerunkowe Facebooka były tak potężne, że firma będąca właścicielem serwisu zmieniła nazwę i dziś jest to Meta Platforms.

A to nie koniec. W przyszłości rozwinię się internet rzeczy, w którym wszystkie urządzenia: roboty kuchenne, pralki, lodówki, smartfony, samochody, rozruszniki serca itd., zostaną połączone w jedną wielką sieć. Szacunki mówią, że znajdzie się w niej 50-70 mld urządzeń, co oznacza przepływ ogromnych ilości danych, którym trzeba będzie zapewnić bezpieczeństwo.

Z jednej strony, świat stanie się inteligentniejszy, bardziej wydajny, łatwiejszy i przyjemniejszy do życia. Z drugiej, będzie to spełnienie marzeń hakerów, gdyż o ile protokoły bezpieczeństwa i wdrożone już praktyki dla serwerów, komputerów osobistych i smartfonów są dobrze rozumiane, szeroko przyjęte i zapewniające względne bezpieczeństwo, o tyle standardy zabezpieczeń dla urządzeń tworzących internet rzeczy dopiero powstają i – jak się wydaje – nie są dziś wystarczająco pewne. W niezbyt odległej przyszłości może się okazać, że od informatycznego chaosu dzieli nas cienka czerwona linia.

W październiku hakerzy zaatakowali serwery urzędu miasta w Otwocku i zażądali okupu za ich odblokowanie.

strony internetowe i dane zgromadzone przez nasze ministerstwa oraz urzędy centralne są względnie bezpieczne.

Za to sytuacja administracji samorządowej mogłaby być lepsza. Eksperci NASK-PIB są przekonani, że liczba ataków hakerskich na należące do tych instytucji systemy komputerowe będzie rosła. Głównie z powodu słabości zabezpieczeń.

W październiku br. hakerzy, korzystając ze złośliwego oprogramowania, zaatakowali serwery urzędu miasta w Otwocku i zażądali okupu za ich odblokowanie. Urzędnicy zawiadomili policję i ABW, lecz mieszkańcy przez jakiś czas nie mogli załatwić najprostszych spraw.

Cywilnym odpowiednikiem należącego do wojska Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni im. Jerzego Witolda Różyckiego jest wspomniana już Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa. Jedną ze spółek zależnych NASK zajmuje się prowadzeniem *data center* dla ministerstw i urzędów państwowych.

państwowe, lecz wymknął się spod kontroli i zaczął infekować komputery na całym świecie.

W Polsce pierwszy podniósł alarm koncern Raben. Potem okazało się, że Petya unieruchomił komputery firm InterCars i Kronospan. Na szczęście, dzięki pracy rządowych specjalistów, systemy komputerowe administracji publicznej okazały się bezpieczne.

Jeśli w latach późniejszych zdarzały się podobne ataki, to nic o nich nie wiemy. Natomiast były włamania na prywatne skrzynki polityków, a to dlatego, że nie korzystali z rządowych systemów. Rządowe skrzynki są podwójnie zabezpieczone; by z nich korzystać, należy użyć kodu wysłanego na wskazany numer telefonu komórkowego. Rzecz w tym, że politycy PiS najwyższego szczebla nie ufają takiemu rozwiązaniu. Wskazują, że Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni im. Jerzego Witolda Różyckiego i Centrum Operacji Cybernetycznych podlegają ministrowi obrony Mariuszowi Błaszczakowi,

SPROSTOWANIE

W artykule „Czy nie zabraknie leków w aptekach” opublikowanym w tygodniku Przegląd, Nr 46 (1140) 8-14.11.2021 ukazała się nieprawdziwa informacja, iż „insuliny były produkowane w Polsce, a kilka lat temu Bioton trafił w ręce chińskie, bo ktoś nie dostrzegł niebezpieczeństwa”, podczas gdy insuliny są produkowane w Polsce przez Bioton, zarówno substancja czynna API, jak i postać gotowa, przy czym jednym z pośrednich akcjonariuszy spółki jest spółka chińska, jednak nie jest to jedyny akcjonariusz.

Zarząd Bioton S.A., Jeremy Launder – Prezes Zarządu,
Adam Polonek – Członek Zarządu

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Dla jakiej szmaty pracujesz

Media w zderzeniu z machiną wojskową



Arkadiusz Panasiuk

Mariusz Błaszczak publicznie pochwalił soldateskę, która 16 listopada w Wiejkach napadła i sponiewierała trzech fotoreporterów pracujących dla zachodnich mediów poza strefą stanu wyjątkowego. 23 października sam przekonałem się, jaki jest stosunek wojska do osób z legitymacją dziennikarską.

Jest poranek, wybieram się pieszo w stronę cmentarza w Hajnówce, który styka się prawie ze strefą stanu wyjątkowego. Leży przy drodze w kierunku Białowieży, która od 1 września została zamknięta.

Wcześniej, spacerując z psem po osiedlu, zobaczyłem na parkingu przed własnym blokiem honkera z wojskową rejestracją. W środku kilka osób po cywilnemu plus kierowca w wojskowym polarze. Psa zostawiłem w domu, wziąłem plecak i wychodząc z klatki schodowej, zrobiłem odruchowo zdjęcie honkerowi. Reakcja była natychmiastowa. Z samochodu wyskoczyło dwóch wojaków w cywilnych ciuchach:

– Skasuj, k... te zdjęcia! – rzucił niższy.

– Nie zrobię tego, jesteście poza strefą stanu wyjątkowego. Hajnówka w niej nie leży.

– Nic nas to nie obchodzi, k...! Kasuj zdjęcia, bo wezwiemy policję! – dodał wyższy.

– Możecie wzywać.

– W takim razie nigdzie się nie ruszasz i poczekasz z nami na patrol!

Ten niższy dzwoni na policję. Przedstawia się, o ile dobrze pamiętam, jako Kownacki. Przez cały czas jeden stoi po jednej mojej stronie, drugi po drugiej. Co prawda, nie stosują siły fizycznej, ale faktycznie nie pozwalają ruszyć się z miejsca.

– Jestem dziennikarzem – stanowczo protestuję.

– To dla jakiej szmaty pracujesz? – kpi wyższy.

Wyjmuję z plecaka legitymację PRZEGLĄDU i podtykam pod nos niższemu. Ten robi mi zdjęcie twarzy i legitymacji. Patrolu policji nie widać.

Niższy się niecierpliwi, idzie do honkera i prosi kolegę, żeby stanął przy mnie. Sam rusza w stronę ulicy Batorego, w celu, jak mówi, „poczekania na patrol policji”.

Ten wyższy: – Może pan jeszcze aktywistów z lasu wezwie na pomoc? – to złośliwość wobec osób pomagających migrantom błakającym się po puszczy. Ale widać zmianę tonu – już jestem pan, nie ty.

– Państwo to pewnie z WOT? (w samochodzie na parkingu widzę kobietę) – pytam.

– Tak.

Mija 20 minut. Policji nie widać. Przy garażach za parkingiem pojawia się znajomy. Pozdrawiam go głośno i decyduję się do niego dołączyć, tym bardziej że zmierza w moim kierunku.

– To ja sobie pójdę – informuję wojaków, schodząc z chodnika, na którym mnie przetrzymują.

– Proszę się nie oddalać, proszę czekać na policję!

– Do widzenia!

– Nie ma pan prawa publikować tych zdjęć!

– To się jeszcze zobaczy!

Całą historię opowiedziałem Maćkowi Chołódowskiemu z białostockiej „Gazety Wyborczej”. Ten w dobrej wierze napisał w internetowym wydaniu gazety, że zatrzymały mnie Wojska Obrony Terytorialnej, bo do głowy mi nie przyszło, że polska armia tak kłamie. Mnie i Maćkowi zagrożono zaraz pozwem, więc w mediach społecznościowych przeprosiłem „oczko w głowie” Antoniego Macierewicza, kilkudniowy hejt przeżyłem, ale postanowiłem ustalić, kogo spotkałem 23 października

W sukurs przyszli znajomi mundurowi: – To były wojska operacyjne z 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej, która działa w tej chwili na Podlasiu. Wkręcili cię złośliwie, bo w armii WOT się nie lubi. Zazdrości się im sprzętu i wynagrodzeń.

Swoją historię z udziałem żołnierzy tej dywizji próbuję zainteresować jej rzecznika – mjr. Marka Nabzdzyjaka. Ten jednak ani nie odbiera telefonu, ani nie odpowiada na mejle. Mimo to szybko udaje mi się zawęzić pole poszukiwań.

Za to korespondencja z Martą Hajkownic, cywilną rzeczniczką 9. Brygady Kawalerii Pancernej z Braniewa, ma już kilkutygodniową historię. Wysłałem do niej nie tylko dokładny opis tego, co się wydarzyło, ale też zdjęcie honkera z parkingu, wprawdzie niewyraźne, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że to mundurowi.

Początkowo 29 października Hajkownic pisała, że żołnierze 9. BKPanc nie działają w Hajnówce, poprosiła jednak o przesłanie zdjęć żołnierzy i pojazdu. Kiedy je dostarczyłem, odpisała, że ich jakość jest za słaba, żeby rozpoznać osoby, a tablicy rejestracyjnej honkera nie widać. Dodała, że jeśli mam jeszcze jakieś inne zdjęcia, to mogę je przysłać. Dorzuciłem więc w kolejnym mejlu fotografię sprzed hajnowskiego dyskontu, zrobioną kilka dni później. Widać na niej doskonale „mojego” kierowcę obok honkera. I od tego czasu cisza.

Natomiast od rzeczniczki prasowej Komendy Powiatowej Policji w Hajnówce, sierż. Pauliny Pawluczuk-Kośko, dowiedziałem się, że policja i tak by nie przyjechała, bo dyżurny KPP uznał, że nie ma podstaw do interwencji policji, i nie wysłał patrolu. ■

Artur Nowak, Stanisław Obirek

GOMORA

W Kościele stworzono patologiczny system, w którym karierę robią cwaniacy i mierni, choć posłuszni przełożonym akolici

Finanse Kościoła katolickiego w Polsce i sposób sprawowania w nim władzy to sfera pozostająca poza wszelką kontrolą. Awanse i stanowiska rozdawane są tu po uważaniu. Kompetencje i pobożność funkcyjnego duchowieństwa nie mają w tej przestrzeni żadnego znaczenia. To świat postawiony na głowie.

Jak na razie państwo, ale i sam Kościół nie mają żadnej kontroli nad finansami największej organizacji religijnej w Polsce. Ta rzeczywistość dotyczy zarówno szeregowych księży, jak i diecezji, i parafii. W Kościele obrót bezgotówkowy się nie przyjął. Jakie więc środki gromadzą parafie i diecezje? Tego nie wie nikt. Bo Kościół to inny świat i przykładanie doń jakiegokolwiek kalki nie ma najmniejszego sensu. Kościół jest odporny na wypracowywane od lat chociażby w korporacjach zasady kompetencji, przejrzystości i kontroli.

Hierarchia kościelna nie kwapi się, by w jej strukturze zapanowała transparentność. Nikomu na tym nie zależy. Efekt jest taki, że stworzono patologiczny system, w którym karierę robią cwaniacy i mierni, choć

przeszkadzało. System lenna działał doskonale i nikogo nie raził. Pomimo że sprawę upubliczniono, nie wynikły z tego powodu żadne konsekwencje. Według świadectw księży – niektórzy z nich to nasi znajomi – bogata parafia w archidiecezji gdańskiej miała swoją cenę. Abp Sławoj Leszek Głódź dośtawał za probostwo kopertę, najlepiej stojącą. Zdecydowana większość duchownych zaakceptowała te reguły. Kiedy w 2019 r. doszło do buntu przeciwko arcybiskupowi, ze skargą do nuncjusza dotyczącą nadużyć wystąpiło zaledwie 16 sprawiedliwych.

Owych 16 duchownych to garstka w grupie 700 duchownych pełniących posługę w diecezji. Jak to świadczy o reszcie duchowieństwa? Czyżby zadowalało ich bycie trybikami w bezdusznej maszynie? A może

o sukcesie pracowników, ich rozwoju zawodowym i awansach decydować wydajność, fachowość, oddanie i gorliwość, w przestrzeni Kościoła rzecz wygląda inaczej.

I tak poznajemy jedną z zasad gomory: na sukces w tym systemie mogą liczyć przede wszystkim dworzanie hierarchów. Nie ma najmniejszego znaczenia, że ten model awansu wypacza misję Kościoła. Biskup ma posłuch, a otaczający go klakierzy mają powód, by nigdy nie szczepić mu pochwał. Naruszenie reguł tej transakcji nie ma sensu. Żeby ją uzasadnić, Kościół w ciągu wieków podkreślał wagę zasady posłuszeństwa, które ślubuje biskupowi każdy z podległych mu duchownych.

Przykład z Gdańska doskonale ukazuje ten mechanizm. Jeśli ktoś się wyłamywał, nie miał szans na awans. Wydawałoby się, że to niemożliwe. Że setki diecezjalnych duchownych, ludzi, których według ich przekonania do służby w Kościele powołał sam Pan, nie da się zastraszyć i narzucić sobie reguł satrapy. Nic podobnego! Mówiąc o patologii gdańskiego Kościoła, należy pamiętać, że zdecydowana większość księży w tym systemie się odnalazła. Ci, którzy się wyłamali, wypadali z gry.

W machinie korporacji kościelnej liczą się też sympatie. Można protektor jest w stanie pociągnąć na wyżyny kościelnej kariery miernoty. Buduje ich pozycję, czasem gwarantuje bezkarność. Zamiast kształcić cnoty, wystarczy się podczepić pod kogoś, kto dużo może.

Weźmy choćby *casus* Stanisława Dziwisza. Oto mierny, niemający żadnych sukcesów duszpasterskich ani naukowych ksiądz wybił się na kardynała. Co stało u zarania tej niebywałej kariery? Nigdy się tego nie dowiemy. Jego przypadek to flagowy przykład

Państwo, ale i sam Kościół nie mają żadnej kontroli nad finansami największej organizacji religijnej w Polsce.

posłuszni przełożonym akolici. Gdy już raz rozsiądą się na urządach, są nie do ruszenia i ani myślą wpuszczać do gremiów decyzyjnych jakiegokolwiek reformatorów. Swoi, sprawdzeni na poligonie kurialnych synekur dworzanie pną się do góry.

Co istotne, nie ma też zewnętrznych warunków, które prowokowałyby jakiegokolwiek zmiany. Skoro ludzie uczestniczący w praktykach religijnych dają na tacę, bez gadania uiszczają opłaty za sakramenty oraz całują biskupów w pierścień, wszystko doskonale się kręci. Co prawda, od czasu do czasu wybuchają skandale, które sieją pewien zamęt, jednak w gruncie rzeczy hierarchia nic sobie z tego nie robi.

Na przykład o tym, że w Gdańsku, żeby dostać bogatą parafię, tzw. Kuwejt, trzeba zapłacić, mówiło się od lat. Nikomu, poza jednostkami, to nie

strach przed konfrontacją z biskupem ich sparaliżował?

Co istotne, po upublicznieniu skandalu niemal nikt z grona świeckich w archidiecezji gdańskiej nie pisał słowem. Protestowała garstka zaangażowanych, na których czele stała Justyna Zorn.

W jednym z wywiadów mówiła: – Mam takie marzenie, aby na czele naszego lokalnego Kościoła był biskup, którego mogłabym spotkać w SKM-ce, bo nie woziłby się limuzynami po mieście. Który raz w tygodniu odwiedzałby chorych w hospicjum. Biskup, który pamiętałby, że życie nie toczy się tylko w pałacach i urządach. (...)

Dobrze opisany w mediach *casus* archidiecezji gdańskiej jak w soczewce pokazuje, że w Kościele katolickim działa przedziwna reguła. O ile w korporacjach, przynajmniej z założenia,



Stanisław Dziwisz jest wierny przyjaźniom, czego wyraz stanowi osobliwa kariera Andrei Nardotta, diakona stałego w bliskim otoczeniu emerytowanego dziś kardynała.

tezy, że Karol Wojtyła nie miał ręki do ludzi, którymi się otoczył. Pomimo że o Dziwiszu powstało tysiące artykułów w kontekście rozmaitych nadużyć, po kardynale spływają one jak po kaczce.

Kard. Dziwisz też jest wierny przyjaźniom, czego wyraz stanowi osobliwa kariera Andrei Nardotta, diakona stałego w bliskim otoczeniu emerytowanego dziś kardynała. To rzutki młodzieniec. Z jednej strony kierowca i odzwierciedlenie Dziwisza, a z drugiej prężny przedsiębiorca. Indywidualne święcenia diakona Nardotta odbyły się w prywatnej kaplicy kard. Kazimierza Nycza w Warszawie. Udzielił ich sam kard. Dziwisz w asyście gospodarza oraz nuncjusza papieskiego abp. Salvatore Pennacchia. Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który ujawnił w sieci zdjęcia z tej „pompa magna”, zauważył w mediach społecznościowych: „Takiej plejady kardynałów i biskupów, wzbogaconej przez nuncjusza papieskiego i innych bardzo ważnych duchownych” na święceniach diakona nikt nigdy nie widział. No ale przyjaciel kard. Dziwisza nie jest zwykłym diakonem. Następca Dziwisza, abp Marek Jędraszewski, który zastąpił z gorliwej lojalności wobec abp. Paetza, też potrafi być wierny przyjaźniom. Oto do Krakowa przywiózł ze sobą z Łodzi ks. Karola

Litawę. Nie jest wykluczone, że to właśnie ten ksiądz będzie następcą bp. Jana Szkodonia. Jak pisała „Gazeta Krakowska” w styczniu 2020 r. o relacjach młodego księdza z Jędraszewskim, „to ks. Litawa towarzyszył mu w drodze do Krakowa, pomagając w przeprowadzce. To on stoi u jego boku w czasie nabożeństw. W Polsce i za granicą. Zarówno w Krakowie, jak i w Łodzi panuje opinia, że jest to kapłan najbardziej oddany metropolicii”.

O tym, że w Gdańsku, żeby dostać bogatą parafię, tzw. Kuwejt, trzeba zapłacić, mówiło się od lat.

Ks. Litawa miał pozostać w Krakowie tylko kilka tygodni. Jednak nowy biskup krakowski zlecił zatrudnienie go na Uniwersytecie Papieskim JPPII, co było pretekstem do zatrzymania go również jako osobistego sekretarza.

Jędraszewski ten schemat zna. Wszak w czasach, gdy pilnie studiował w Rzymie, zakwitła jego przyjaźń z Juliuszem Paetzem. Wiele nam mówiono o wspólnych wypadach Marka i Julka za miasto oraz „szczególnej relacji” łączącej przyszłych metropolitów poznańskiego i krakowskiego.

Przykłady wielkich przyjaźni, które prowadziły podopiecznych możnych protektorów do zaszczytów i urzędów, można mnożyć bez końca. Gdyby dobrze prześledzić kariery polskich biskupów, da się je zwizualizować jako misternie utkaną sieć rozmaitych powiązań. (...)

Wielką karierę przy nuncjuszu abp. Józefie Kowalczyku zrobił Piotr Libera. Ten nikomu nieznany kapłan sekretarzem nuncjusza apostolskiego w Polsce został w 1989 r. Sposób sprawowania urzędu przez nuncjusza Kowalczyka był jednym wielkim skandalem polegającym na zamiataniu pod dywan brudów polskiego Kościoła. No ale przecież taka była rola nuncjusza Kowalczyka. Nie kto inny jak polscy biskupi poprosili Jana Pawła II, żeby nuncjuszem w Polsce został Polak, co, jak pamiętamy, uzasadniali tym, że tylko rodak zrozumie specyfikę nadwiślańskiego Kościoła.

Brzmi to nedorzecznie i absurdalnie, ale gdy Kowalczyk został pierwszym po przełomie 1989 r. nuncjuszem, nikt się nad tym nie zastanawiał. Nikt nie stawiał pytań, jaki ma sens powierzenie kontroli nad polskimi biskupami koledze.

Przy okazji 80. rocznicy urodzin Kowalczyka zgotowano mu prawdziwą fetę. W rodzinnych Jadownikach Mokrych została odprawiona uroczysta msza z tej okazji. W homilii podczas obchodów kard. Dziwisz powiedział, że jubilat podejmował liczne inicjatywy i działania służące jedności

Kościoła. „Nikt nie zliczy, ile spotkał osób, z iloma rozmawiał, ile napisał listów, ile sporządził dokumentów, ile podjął zadań, a to wszystko po to, aby umacniać Kościół wewnątrz i jednocześnie przybliżyć Kościół do świata, ale także świat do Kościoła”. Dziwisz dobrze wie, co mówi. Polscy biskupi mają za co dziękować Kowalczykowi. Zwłaszcza za listy ze skargami pokrzywdzonych, które chował do szuflady albo przekazywał hierarchom oskarżonym o nadużycia i tuszowanie pedofilii. Dziś już wiemy, że tak się działo chociażby przy okazji sprawy Paetza.

► „Kościół w Polsce pragnie wtączyć się w *Te Deum*, dziękując za dar Twojego życia” – pisał z zachwytu nad Kowalczykiem prymas Polski abp. Wojciech Polak. „Dziękujemy za Twoją odpowiedź na dar życia. Przez te wszystkie lata była to odpowiedź odważna, radosna, pełna nadziei. Jest to także dziękczynienie za to, że to życie przyniosło tak błogosławione owoce”. Wracając do Libery, już sam fakt, że współpracował z Kowalczykiem, wydawać się mógł wiecznym stygmatem. Ale w polskich warunkach okazał się dozgonną zasługą. Tylko nieliczni jednak to rozumieją.

W 1996 r. Libera został biskupem pomocniczym w diecezji katowickiej. Święcenia biskupie, których udzielił mu sam Jan Paweł II, były dla niego przepustką do innych urzędów. Być może abp Kowalczyk chciał przejąć kontrolę nad episkopatem, którego

Jacek D. i Tomasz D., ślącscy biznesmeni z listy najbogatszych Polaków, którym gliwicka prokuratura zarzuciła pranie brudnych pieniędzy oraz wyłudzenie na podstawie fikcyjnego meldunku prawa do pierwokupu kościelnych gruntów. Chodzi o blisko 1000 ha, które parafiom i zakonowi przekazała Komisja Majątkowa działająca przy MSWiA.

Co ciekawe, pięć miesięcy po zakupie ziemi bratanica biskupa Libery sprzedała grunt w okolicach lotniska za 430 tys. zł. (...)

Co do pokuty, którą rzekomo czynił od lipca 2019 r. w klasztorze kamedulskim bp Libera, reakcje duchownych z Płocka są znamienne. Jakoś to im nie pasuje do Libery, zapalonego myśliwego, hodowcy psów, miłośnika koni, który lubi wygodę i cygara. Przekonało to jednak

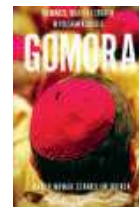
oczywiście nie zapytał. Relacje duchownych z hierarchią w diecezji Milewskiego nie wyglądają tymczasem dobrze. (...)

Przy okazji głośnej afery związanej z bp. Edwardem Janiakem w diecezji kaliskiej, o czym opowiedzieli bracia Sekielscy w „Zabawie w chowanego”, grzmiał: „To, co tam się działo, to jest klasyczny przykład działania lawendowej mafii w Kościele. Homoseksualiści kryją homoseksualistów, tuszują afery i udają, że nic się nie dzieje. Żyją w innym świecie – nie jest to świat Kościoła”.

Odważna wypowiedź młodego biskupa poszła w świat. I znów duchowni z diecezji płockiej mieli z tego ubaw. – Cóż za hipokryzja? – nie dowierzali nasi znajomi z tej diecezji. Okazuje się bowiem, że sam Milewski jeszcze niedawno miał spore kłopoty, które sam na siebie sprowadził. W trakcie pobytu w Anglii, gdzie miał szlifować angielski, zamiast na plebanii zamieszkał w małym mieszkaniu korepetytorki i jej matki, tyle że matka nauczycielki przebywała wtedy w Polsce.

Biskup nie potrzebował luksusów. Pomieścił się z korepetytorką w apartamencie *one bad room flat*. W Kościele się nie pojawiał, nie meldował się też w parafii. Sprawą zajmował się nawet Watykan. Milewski spowodował zgorzelenie, tym bardziej że na czas korepetycji z biskupem kobieta odwołała lekcje dla parafian. Ta sprawa nas nie gorszy, bo wiemy, że w historii diecezji, z której wywodzi się zarówno bp Milewski, jak i bp Libera, nie takie rzeczy się działy, i to w czasach nie aż tak odległych. Matka na myśli bp. Bogdana Sikorskiego, który był włodarzem tej diecezji w latach 1964-1984. W Wikipedii znajdziemy na jego temat skromną, ale pełną uznania notatkę. Jednak z przecieku historyków, którzy od lat pracują nad jego biografią, dowiadujemy się, że nie tylko przez lata żył w konkubinacie, lecz także urządził synowi w kościele katedralnym ślub z wielką pompą. (...)

Fragmenty książki Artura Nowaka i Stanisława Obirka, *Gomora. Pieniądze, władza i strach w polskim Kościele*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2021



Wiele mówiono o wypadach Marka i Julka za miasto oraz „szczególnej relacji” łączącej przyszłych metropolitów poznańskiego i krakowskiego.

tworząc był w tym czasie niepokorny biskup Tadeusz Pieronek. Młody duchowny, którego ukształtował pod swoimi skrzydłami nuncjusz, okazał się doskonałym wyborem. Już w 1998 r. to właśnie Libera zastąpił bp. Pieronka na stanowisku sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski. (...)

W 2007 r. następca świętego papieża uczynił Liberę ordynariuszem w diecezji płockiej. (...) Wiemy, że według ustaleń dziennikarzy śledczych przy okazji prac Komisji Majątkowej wzbogaciła się bliska rodzina biskupa, konkretnie jego bratanica. (...)

Dziennikarze „Gazety Wyborczej” dotarli do akt, z których wynika, że CBA odkryło także, że owa bratanica w grudniu 2006 r. za 110 tys. zł kupiła działkę w Bobrownikach w pobliżu lotniska w podkatowickich Pyrzowicach. Nie miała na to środków ani nawet zdolności kredytowej. Z pomocą przyszła jej przygodnie poznana w kościele Beata Z., która zgodziła się wziąć na siebie połowę kredytu na zakup tej ziemi. Już to było dziwne. Jeszcze dziwniejsze było to, że owa przygodnie spotkana kobieta okazała się pracownicą Famuru. To nazwa grupy kapitałowej, którą stworzyli

zapatrzonemu w swojego biskupa Mirosława Milewskiego. Młody biskup pomocniczy ogłosił w entuzjastycznym tweecie w maju 2019 r.: „Mój biskup Piotr Libera idzie na pół roku, od 1 VII, do kamedułów. Spełnia się jego wielkie życiowe pragnienie!”.

Milewski to naśladowca Libery. Jego znajomi twierdzą, że ten młody, obiecujący duchowny w pewnym momencie zmienił front. Spróbował cygar, podobnie jak jego mentor nabył sobie nawet psa. No i oto niczym filip z konopi objawił się jako jeden z najmłodszych biskupów w historii polskiego Kościoła.

Milewskiego lubią media, a młody biskup potrafi się w nich znaleźć. Polacy są przyzwyczajeni do tego, że rozmowa z hierarchami na żywo to wielka łaska. Media zresztą wiele od biskupów nie oczekują, nie dociskają trudnymi pytaniami. Zadowolą ich sama obecność biskupa i to, że raczy odpowiadać na ugrzecznione pytania. Bp Milewski lubi się pokazywać w RMF FM u red. Mazurka. Widzowie pokochali go, gdy zwierzył się, że jeździ samochodem średniej klasy i zarabia co miesiąc zaledwie 3 tys. zł. O to, jaka jest jego stawka za bierzmowania oraz odpusty, red. Mazurek

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Polska jako pole minowe

Nie rzucam się, jak tonący ku brzytwie, na każdy nowy wynik sondaży opinii publicznej, który pozwala widzieć koniec rządów obecnej pisowskiej formacji. Daje się zauważyć tendencja słabnącego poparcia, wielu komentujących zachłystuje się pozorem, cieniem szansy na to, że już widać na horyzoncie zarys ładu – bez PiS u steru władzy. Wahania opinii są naturalne, ale niejednoznaczne. Poparcie polityczne nie trwa wiecznie, zmęczenie konkretną partią zawsze nadchodzi, drobne pęknięcie do osłabiania monolitu władzy dokładają takie zjawiska jak zauważalna gołym okiem drożyzna, inflacja oraz kolejne afery w obozie rządzącym (bardziej nawet one niż blamaż polityki zagranicznej, przemoc na granicy, demontaż sądownictwa, ręczne sterowanie prokuraturą, ustawodawstwo stanu wyjątkowego). Polityka machania czerwoną płachtą ograniczania praw kobiet może być dla tej władzy kroplą przepełniającą czarę niechęci i przeważać szalę dotychczasowego poparcia.

Zaczyna być obserwowany chaos decyzji (przy braku spójnej wizji oferty politycznej na przyszłość), opisywane, niemożliwe do ukrycia napięcia wewnętrzne w samym obozie władzy też nie pracują na jego korzyść. Postać groźnego, nieomylnego i sprawczego wodza zaczyna się chwiać i jest podawana w wątpliwość. To jeszcze nie ten moment, kiedy padnie baśniowe „król jest nagi”, ale już słabości intelektualne i fizjologiczne Jarosława Kaczyńskiego nie dają się skryć za propagandowym przekazem o geniuszu skuteczności, wcieleniu Marszałka itd. I nie chodzi tu o małostkowe złośliwości o braku prawa jazdy jako legitymacji do prawdziwego rządzenia (w tym sensie symbolicznie ważne i mocne jest odebranie tego dokumentu przywódcy opozycji), dwóch różnych butach na nogach czy ogólnej niesamodzielności życiowej Kaczyńskiego. Wciąż radosne okrzyki opozycji: „Mają z kim przegrać!” są raczej pompowaniem sztucznego optymizmu, który nie bierze się z wykonanej przez nią pracy – bo jej po prostu przez te sześć lat nie wykonała. Sama wizja zjednoczonej pod skrzydłami Tuska i Platformy opozycji pokonującej PiS nie jest dla wystarczającej większości Polaków i Polek porywająca, nie jest dostateczną motywacją.

A tymczasem PiS, czujnie zauważając nadchodzące zagrożenie, wykonuje dziesiątki poczynąń, działań i mianowań, żeby zaminować po sobie teren. Tak widzę dzisiejszą taktykę Zjednoczonej Prawicy: Polska jako wielkie pole minowe, na które trudno będzie wkroczyć, po którym nie sposób poruszać się szybko i sprawnie. PiS do perfekcji opanowało sztukę przejmowania rządów w wielkich państwowych firmach, o instytucjach władzy – tych symbolicznych (stadnina w Janowie) i tych ważnych, pierwszoplanowych instytucjach kultury, pamięci – nie wspominając. Nie ma w tej kwestii żadnych skrupułów ani wątpliwości; wręcz przeciwnie, do im większych szpasmów wściekłości może

doprowadzić kolejnymi nominacjami „dawne elity”, tym bardziej jest z siebie zadowolone.

To nie są zmiany akcentów, kosmetyka kadrowa – to jest HR robiony siekierą, walnięcie obuchem w całe środowiska, na których wsparcie PiS nigdy liczyć nie mogło i żadną miarą nie będzie mogło liczyć w przyszłości. Patrząc na personalia, są tam takie osoby jak minister kultury Gliński, odszczepieniec swojego środowiska, który, napędzany paliwem niedoceny w przeszłości i narcystycznego niespełnienia, z niemal sadystyczną antyśrodowiskową przyjemnością wsadza kolejnych ludzi „bez właściwości” (oprócz mierny, ale wierny) na kierownicze stanowiska w prestiżowych instytucjach. To los ważnych instytucji kultury, muzeów, centrów dystrybucji publicznych pieniędzy, mediów przejmowanych przez władzę.

To w końcu styl zarządzania nauką i edukacją. Minister Czarnek ogłosił właśnie nowe regulacje i punktację pism uznanych za naukowe. Z jednej strony, mamy światowy fenomen ważności i uznania takich dziedzin „nauki” jak teologia i prawo kanoniczne oraz pisma środowisk katolickich. Z drugiej, podwyższono

Kiedy polityka sprzątanina uprawiana jest wyłącznie brudnymi szmatami, nie da się ukryć smrodu.

wskaźniki rankingowe także wielu ważnym pismom. Trudniej będzie protestować. Trudniej będzie rozminowywać te niepoliczone, zawłaszczone przestrzenie.

Ten proces tworzenia pól minowych to jednak operacja defensywna. Ale jak szybko nadejdzie czas kompetentnych politycznych saperów? Sam nie nadejdzie.

Nietrudno zresztą zauważyć, że w kwestii budowania kadrowego wsparcia, które zagwarantuje choćby minimalną, ale stabilną większość w Sejmie, PiS jest mistrzem i nie boi się żadnego ryzykownego ruchu personalnego. Inaczej nie da się wytłumaczyć kariery takich person jak niejaki Mejza. Miał kiedyś bonmotować Kaczyński, że do sprzątanina nadaje się także brudna szmata. Ale kiedy polityka sprzątanina uprawiana jest wyłącznie brudnymi szmatami, nie da się ukryć jej smrodu, smug i wtórnie nanoszonego brudu. Ale tym wódz jakby się nie martwi. A opozycja nie jest zdolna przyjąć karnie na kolejne głosowanie i dzięki temu mamy na lata następny przyczółek o sile rażenia min przeciwzołgowych: Polski Instytut Rodziny i Demografii skrajnie konserwatywnego pośła Bartłomieja Wróblewskiego. Mój osobisty wskaźnik zwątpienia niestety rośnie.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Marcin Ogdowski

Kiedy wiosną 2019 r. Amerykanie ogłosili, że nie sprzedadzą Turcji najnowszych samolotów wielozadaniowych F-35, turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan nie krył złości. Jego kraj dysponuje drugą co do wielkości armią NATO i stanowi najbardziej wysuniętą na wschód flankę Sojuszu. Ów status przez dekady gwarantował transfer zachodnich technologii wojskowych, za sprawą których Turcja urosła do rangi regionalnej potęgi. Co więcej, Turcy nie byli zwyczajnym kupcem – jeszcze w 2002 r. włączyli się w program budowy myśliwców, wydając na ten cel kilka miliardów dolarów. W pierwszej turze złożyli zamówienie na 30 maszyn, ale planowali pozyskać ponad setkę F-35. Dlaczego ostatecznie zostali z niczym? Turecki rząd postanowił wyposażać armię w rosyjskie zestawy obrony powietrznej S-400 Triumf, wcześniej odrzucając ofertę droższych amerykańskich wyrzutni Patriot. W ocenie Amerykanów wdrożenie do służby systemów rosyjskich przy jednoczesnej eksploatacji amerykańskich myśliwców oznaczałoby ryzyko ujawnienia wielu technicznych sekretów samolotów. Przekazanie Turkom gotowych F-35 stworzyłoby zagrożenie dla bezpieczeństwa całego NATO – zgodnie wnioskowali republikanie i demokraci. Donald Trump podpisał stosowny dekret.

Sukcesy w inżynierii odwrotnej

– Turcy nie docenili determinacji Amerykanów – twierdzi Dawid Kamizela, dziennikarz „Nowej Techniki Wojskowej”. – Nie byli gotowi na utratę F-35 i nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Przeszarżowali.

Po co? Zdaniem Kamizeli najpewniej chodziło o podkreślenie własnej podmiotowości wobec Waszyngtonu. Wskazywać na to może *de facto* „wyspowy” charakter zakupu rosyjskiej technologii. Pierwotnie Ankara nabyła dwie baterie S-400, rok temu kolejne dwie. To symboliczny potencjał, zwłaszcza że nie został wpięty w oparty na zachodnich i rodzimych rozwiązaniach turecki system obronny.

– Trzeba też rozważyć inne możliwości – zastrzega mój rozmówca.

Ile Turcji w NATO?

Ankara od dawna prowadzi politykę balansowania między Waszyngtonem a Moskwą



Turecki prezydent przy eksportowej wersji Su-57 podczas wizyty w Rosji, 27 sierpnia 2019 r.

– Po pierwsze, możemy mieć do czynienia z początkiem większych zakupów. Wówczas do Turcji dotrą nie tylko kolejne S-400 Triumf, ale również zapewniające im ochronę zestawy Pancyr czy Buk. Druga opcja ma związek z coraz większymi tureckimi sukcesami w inżynierii odwrotnej (kupując sprzęt, rozkładam go na czynniki pierwsze, kopiuję rozwiązania i patenty i buduję własny odpowiednik – przyp. aut.). Niewykluczone, że Turkom chodzi o zbudowanie własnej broni tego typu na bazie skopiowanych patentów. Z USA ryzykownie byłoby tak pogrywać, z Rosją już mniej.

Niezależnie od intencji tureckich władz amerykańskie obawy dotyczące utraty tajemnic F-35 były formułowane na wyrost bądź pod zamówienie polityczne, służąc jako pretekst do strofowania Ankary. – Przecież nie wymyślono S-400 do skrytego pozyskiwania informacji – mówi Dawid Kamizela. – Traktowanie tych zestawów jako swoistego konia trojańskiego jest nieporozumieniem.

Zagrożenie mogliby stanowić rosyjscy instruktorzy obecni przy próbach przechwycenia samolotu czy jakiejś konfiguracji na linii F-35-Triumf. Ale neutralizacją takich zagrożeń z powodzeniem mógłby się zająć turecki kontrwywiad.

Modernizacja pilnie wymagana

Tak czy inaczej, Turcja F-35 ostatecznie nie kupiła. Tymczasem w regionie rozkręcił się lotniczy wyścig zbrojeń. Najsilniejszy rywal, Izrael, ma już w linii 27 „efów” – i bojowe doświadczenie w ich użytkowaniu – w sumie zaś planuje pozyskać 75 maszyn. Jednocześnie nabywa za oceanem kolejne F-15 w najnowszej wersji. Egipt postawił na francuskie rafale, podobnie jak Grecja, która jednocześnie modernizuje część posiadanych F-16 oraz – co Ankarę niepokoi szczególnie – zapowiedziała pozyskanie F-35. Turecko-grecki konflikt ciągnie się od dawna i nie wygasło go nawet wspólne członkostwo w NATO. Świadom animozji

Waszyngton starał się wpływać na oba kraje poprzez równoważenie ich potencjałów. Jeśli jakiś nowoczesny system uzbrojenia trafiał do Grecji, zaraz potem otrzymywała go Turcja – i na odwrót. Ponieważ Amerykanie przychylnie patrzą na greckie plany dotyczące F-35, już za kilka lat, po raz pierwszy w historii NATO, na polu zmagają Aten i Ankary Grecy zdobędą niewątpliwą przewagę.

Będzie ona tym większa, że arsenał lotniczy Turcji wymaga pilnej modernizacji. Na papierze nie jest źle – podstawę Türk Hava Kuvvetleri, Tureckich Sił Powietrznych, stanowi aż 245 samolotów F-16. Większość jednak ma już swoje lata (najmłodsze

wobec tureckiego autokraty liczne zastrzeżenia dotyczące łamania praw człowieka. – Ostatecznie to dla Amerykanów dobry interes, a przy tym sposób na dalszą kontrolę Turcji bez zbytniego jej wzmacniania – zauważa Dawid Kamizela.

Ręka w rękę i na ostro

Podczas niedawnego szczytu G20 w Rzymie Erdoğan spotkał się z amerykańskim prezydentem. Rozmowa trwała ponad godzinę i dotyczyła m.in. F-16. Jak wynika z komunikatu służb prasowych Białego Domu, Joe Biden przekazał Turkowi, że „procedury związane

Ale Turcja potrafi też ostro zagrać z Moskwą. Kilka tygodni temu ukraińska armia po raz pierwszy wykorzystwała tureckie bezzałogowce Bayraktar TB2. Drony zlikwidowały stanowiska artyleryjskie donbaskich separatystów, co Moskwa odebrała jako policzek. Wymierzony zarówno przez Ukraińców, jak i Turków, których prezydent do niedawna zarzekał się, że bayraktary nie trafią na front. Ich wystąpienie w rejon walk wymagało zgody dostawcy systemu – gdyby takiej nie było, Turcja właśnie wycofywałaby się ze współpracy z Ukrainą. Co ciekawe, akcja dronów zbiegła się z innym bojowym debiutem – amerykańskich wyrzutni przeciwpancernych Javelin. One również – tym razem wedle zapewnień Amerykanów – miały nie być używane w Donbasie. Tymczasem zniszczono dzięki nim kilka pojazdów pancernych. Fakt, że armia ukraińska zdecydowała się na wykorzystanie obu zagranicznych systemów przeciwko prorosyjskim separatystom, sugeruje skoordynowaną akcję... NATO (albo przynajmniej Turków i Amerykanów). Rodzaj ostrzeżenia wysłanego Moskwie – że Ukraińcy dysponują bardzo skuteczną bronią, której mogą użyć także podczas pełnoskalowej rosyjskiej inwazji.

Zimą minionego roku bayraktary zdziesiątkowały dozbrajane przez Moskwę syryjskie wojska rządowe w prowincji Idlib. Latem 2020 r. Turcja wsparła Azerbejdżan w wojnie

Kiedy naszą granicę próbowali przekroczyć uchodźcy przylatujący z Ankary i Stambułu, polscy piloci z misji NATO patrolowali tureckie granice.

to odpowiedniki naszych 15-letnich jastrzębi). I właśnie z tego powodu jeszcze w październiku br. władze w Ankarze wysłały do Waszyngtonu zapytanie ofertowe w sprawie możliwości zakupu 40 fabrycznie nowych F-16 i pakietów modernizacyjnych dla 80 posiadanych samolotów. Zapłatę miałyby stanowić środki zainwestowane przez Ankarę w program F-35. Tym sposobem Turcy chcieliby utrzymać względnie wysoki poziom sił powietrznych do czasu wejścia do służby maszyny oznaczonej jako TF-X. Za tą nazwą kryje się turecki wielozadaniowy myśliwiec piątej generacji. W tej chwili jednak trudno ocenić, kiedy prace konstrukcyjne przejdą w produkcję seryjną.

Alternatywą dla kupna i modernizacji szesnastek są kolejne zakupy w Moskwie. Władimir Putin już jakiś czas temu zaproponował Erdoğanowi nabycie rosyjskich Su-35 i Su-57. Te ostatnie, przynajmniej teoretycznie, stanowią odpowiednik amerykańskich F-35. Turecki prezydent podczas wizyty w Rosji zasiadł nawet w kokpicie eksportowej wersji Su-57, lecz brakuje wiarygodnych informacji, by przełożyło się to na zobowiązania handlowe. Transakcja ze Stanami Zjednoczonymi jest za to bardzo prawdopodobna. Niezależnie od tego, że zgodę na sprzedaż F-16 musi wydać Kongres, który ma

ze sprzedaż tych maszyn wymagającą czasu”, i zobowiązał się do „kontynuowania działań w tym zakresie”.

Twarde amerykańskie „nie” zyskałoby poklask wśród tych, którzy mają Turcji za złe „romansowanie” z Rosją. Tymczasem taka ocena działań Ankary jest zbyt jednoznaczna. Turcja od dawna balansuje między Waszyngtonem a Moskwą, prowadząc politykę nie zawsze zgodną z interesem poszczególnych krajów

Amerykanie pobłażają Turcji, bo jest strategicznie położonym regionem, pozwalającym „trzymać Rosję na muszce”.

NATO. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze podczas zamieszek na polsko-białoruskiej granicy. Część migrantów przyleciała na Białoruś z Ankary i Stambułu. Erdoğan wypuścił ich z obozów dla uchodźców rozlokowanych w Turcji mimo ryzyka, że wywoła to u sojusznika kryzys. Zagrał tym samym w orkiestrze z Putinem i Łukaszenką, ale cel miał inny. Chciał przetestować szlak migracyjny, potrzebny m.in. do pozbycia się coraz bardziej ciążących Turcji syryjskich uchodźców. W tym samym czasie polscy piloci z natowskiej misji patrolowali tureckie granice.

z Armenią o Górski Karabach – bez pardonowo miesząc się w konflikt w strefie, do której wyłączne prawo rości sobie Rosja. W obu przypadkach chodziło o pomoc dla tureckojęzycznych społeczności, co jest istotą polityki zagranicznej Ankary. Paradigmatem, w ramach którego NATO jest użytecznym narzędziem, ale nie celem samym w sobie (jak w przypadku Polski, która bez Sojuszu militarnie nie znaczy nic). Amerykanie dobrze o tym wiedzą. Pobłażają Turcji, bo jest tym, czym jest – strategicznie położonym regionem, pozwalającym „trzymać Rosję na muszce”.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Zuzanna Muszyńska

W tym roku do wybrzeży Włoch dotarło 59 tys. migrantów i uchodźców, trzy razy mniej niż w rekordowym pod tym względem 2016 r. Jednak liczba migrantów przedzierających się drogą morską do Europy znów rośnie. Według Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR) w 2020 r. przybyło do Włoch 91% więcej osób niż w roku poprzednim. Większość nie ma szansy na azyl, gdyż uciekają od biedy, nie od wojny. Włochy nie podpisały umów deportacyjnych z afrykańskimi partnerami, skąd pochodzi większość migrantów. *Diniegati*, którym odmówiono azylu, zostają. Wielu trafia na ulicę lub do slamsów, stając się ofiarami współczesnego niewolnictwa.

Miejsce w raju

Mariusz Śmiejek, polski fotograf z Belfastu, jeździ na Sycylię od 15 lat. Dla atmosfery, której nie ma nigdzie indziej we Włoszech. Wyspa od zawsze była mieszkanką światów. Zagęszczenie przybyszów z Afryki Mariusz zauważył ok. 2015 r. Wcześniej pracował na targowisku Ballarò w Palermo, dokumentując przypadki przemytu kobiet do seksbiznesów. Kiedy zaczął spotykać grupy

W 2020 r. przybyło do Włoch 91% więcej migrantów niż w roku poprzednim. Większość nie ma szansy na azyl.

mężczyzn przemieszczające się po mieście, wespie i po całym kraju, postanowił zgłębić ich historie. – Nie chciałem się skupiać na pokazywanych przez media morskich tragediach – mówi. – Próbowałem się dowiedzieć, co się dzieje z tymi ludźmi kilka lat po przybyciu do Europy, czy znajdują tu swoje miejsce.

W październiku 2017 r. Mariusz pojechał do nielegalnego obozu na wschodzie Sycylii. Od końca września do listopada trwa na wyspie sezon na oliwki. W obozie obok wioski Campobello di Mazara przebywało wtedy prawie 2 tys. osób, głównie Afrykanów. Bez prądu, wody, kanalizacji. Nikomu nie zależało, żeby informować, co się tam

dzieje. Zarobki przy zbiorze oliwek to 15-20 euro dziennie. Zbieracze nie mieli dostępu do wody pitnej, nie wspominając już o posiłkach. Wieczorami wracali do namiotów. Nieliczni mieli auta, ledwie na chodzie, ale można było się w nich przespać.

Pod koniec listopada w obozie zostało ok. 200 osób, które nie przemieszczały się poza Katanię, żyły tam przez lata. Mariusz zamieszkał z nimi, chcąc zbliżyć się do ludzi, którzy podjęli się wędrówki przez Afrykę do Europy. – To nieprawda, że większość żyje z zasiłków, że doją kraj, nie płacąc podatków. Oni nie mają prawie nic. Widziałem, jak prowadzą księgowość. Zapisują, kto komu pomógł, ile pieniędzy przestał, jeżeli akurat coś zarobił – opowiada. – Kiedy np. w Hiszpanii ktoś nie ma na jedzenie, prosi o drobną pomoc tych z Niemiec czy z Wielkiej Brytanii.

W marcu 2018 r. lokalne władze zniszczyły obóz, a jego mieszkańców wypędziły. Ale na plantacjach nie mogło zabraknąć rąk do pracy, więc na nowy sezon nielegalni zorganizowali sobie nowe miejsce. Oprócz niego istniał obóz zarządzany przez Czerwony Krzyż. CK pobierał 5 euro za noc – z dniówki 20 euro. Na terenie obozu nie było kuchni. W namiotach przygotowanych dla 120 osób spało ponad dwa razy tyle. 29 września 2021 r. w nielegalnym obozie wybuchł pożar. Jedna osoba zginęła, pozostałe zdążyły uciec. Ogień zniszczył wszystko, nie było do czego wracać. Nazajutrz 50 migrantów zablokowało lokalną drogę. Żądali pomocy. „Mamy swoją

Czerwone złoto, czarna historia

Włoska branża pomidorowa warta jest 2,8 mld euro rocznie. Padłaby bez pracy migrantów

wartość”, mówili. Nikt poza nimi nie zgadza się na zbieranie oliwek za niewolnicze stawki.

Warta miliardy euro produkcja żywności opiera się we Włoszech na niewolniczej pracy zbieraczy pomidorów, cytrusów, oliwek i winogron, które trafiają do sklepów na całym świecie. Według Global Slavery Index ok. 50 tys. osób rocznie wykonuje niewolniczą pracę na włoskich polach. Natomiast według ONZ jest ich kilka razy więcej, a 100 tys. mieszka w „niehumanitarnych warunkach” (dane z 2018 r.).

Przywódca rewolty

Yvan Sagnet przytył do Włoch w 2007 r. Dostał się na politechnikę w Turynie. W 2011 r. oblał egzamin, stracił stypendium i miejsce w akademiku. Nie miał pieniędzy. Pojechał na południe, zarabiać przy zbiorze pomidorów. Wylądował w Apulii. Na plantacji warunki pracy były niewolnicze. Yvan dostawał 3,5 euro za skrzyniopaletę pomidorów. Dziennie zapępiał cztery palety, co dawało mu 14 euro zarobku. Praca trwała 16 godzin. Pracowników pilnował *caporale*, bił ich i groził im. Sagnet wytrzymał pięć dni, po czym zorganizował strajk. Zastraszony przez caporali musiał uciekać, ale wrócił, by kontynuować protesty. Po trzech miesiącach owoce zaczęły gnić na polach. Rolnicy w końcu się ugięli i zaproponowali migrantom wyższe stawki. Kiedy w mediach pojawiły się twarze lidera walki ze współczesnym niewolnictwem oraz jego towarzyszy, rząd nie mógł dłużej udawać, że nie widzi problemu.

W 2016 r. weszło w życie nowe prawo, które – przynajmniej teoretycznie – miało zapewnić bezpieczne warunki pracy setkom tysięcy



Bezdomny Gambijczyk przygotowuje się do wyjścia na ulicę w celu znalezienia pracy przy zbiorze warzyw i owoców niedaleko wioski Campobello di Mazara na Sycylii.

Grupa migrantów czeka na rolników, którzy wybierają ludzi do pracy, Sycylia.



migrantów na plantacjach. Rozpoczęły się procesy sądowe. Ofiar było dużo, ale mafia jest silna – nieliczni zdecydowali się zeznawać. Kary więzienia dla caporali oraz dla rolników, którzy korzystali z ich usług, jak również konfiskata gruntów dotknięty garstką winnych. Włoski system sprawiedliwości kolejny raz nie wytrzymał ciśnienia mafii. Skazano 12 z 16 oskarżonych. To za mało, żeby zastopować przetrzymywanie ludzi w ruinach domów bez wody i elektryczności. Za mało, żeby nakłonić większość rolników do przeciwstawienia się systemowi wyzysku. Ale

dość, by zaczęły pisać o problemie media na całym świecie. Wszyscy jemy pomidory, oliwki, pomarańcze. Boimy się pytać, skąd pochodzą.

Yvan Sagnet skończył studia, napisał dwie książki. W lutym 2017 r. prezydent Sergio Mattarella przyznał mu tytuł kawalera Orderu Zasługi Republiki Włoskiej. Zaszczyc, a zarazem zastrzyk odwagi dla Kameruńczyka, któremu mafia od lat groziła śmiercią. Dziś Sagnet mieszka z rodziną w Rzymie. Założył stowarzyszenie NoCap. Walczy o godziwe warunki życia i pracy dla migrantów na plantacjach. Producentom żywności, którzy

kupują towar od rolników po godziwych cenach, organizacja oferuje nalepki ze swoim logo. Jednak tylko kilkanaście procent Włochów interesuje się pochodzeniem nabywanych warzyw. Sagnet współpracuje z rolniczymi kooperatywami i związkami branżowymi. Razem szukają dróg zbytu w sieciach supermarketów, które zdecydują się zapłacić kilka centów więcej za kilogram pomidorów. Yvan Sagnet uważa, że system niewolniczej pracy na roli jest możliwy dzięki drastycznie niskim cenom skupu. Supermarkety walczące o klienta robią miejsce dla współczesnego niewolnictwa. Problem ma wymiar globalny, a w czołówce winnych są niemieckie dyskonty – największy importer żywności z Włoch.

Mafia od północy do południa

Afrykanie zaczęli przyjeżdżać do zbiorów owoców 40 lat temu. Mieszkali na peryferiach miast i wsi, nie integrowali się ze społeczeństwem. Państwo ich ignorowało, sposób, żeby ich wykorzystać, znalazła mafia. Historia zawłaszczania produkcji rolnej przez mafie sięga tamtych lat. 'Ndrangheta weszła na rynek, zapewniając sobie wyłączność w handlu z producentami owoców. Z czasem przejęła wszystkie elementy tej gałęzi gospodarki rolnej – od zapewniania siły roboczej po produkcję skrzyń na owoce i transport cytrusów. W latach 80. zeszłego stulecia, kiedy wchodził w życie system unijnych dopłat dla rolników, mafia przejęła rolnicze kooperatywy, wystawiając gigantyczne faktury za pomarańcze, które nie istniały (kilkakrotnie ważono ciężarówkę z owocami). Część dopłat powinna być przeznaczana na pielęgnację roślin, nowe ogrodzenia, badania naukowe – ale mafie interesował wyłącznie zysk. Wzbogacona na handlu narkotykami i w branży budowlanej, zaczęła skupować grunty od Neapolu po Mediolan. Kiedy w 2008 r. Unia Europejska wprowadziła dopłaty 1,5 tys. euro do hektara, niezależnie od produkcji, agromafia miała swoje macki wszędzie, od południa po północ Włoch.

W 2018 r. dochód mafii z rolnictwa wyniósł 24,5 mld euro – podwoił się w ciągu siedmiu lat (z 12,5 mld w 2011 r.). Antymafijni farmerzy próbują swoich sił. Niezależni producenci

▶ płącą im więcej za kilogram owoców. Ceną za bunt są jednak podpalenia, zniszczone uprawy, kradzieże sprzętu rolniczego. Nie istnieją agencje pośrednictwa działające poza światem przestępczym, które oferowałyby rolnikom pomoc w znalezieniu pracowników sezonowych. Produkcja żywności to 8,7% PKB. Sama branża pomidorowa warta jest 2,8 mld euro rocznie – czerwone złoto Włoch. Pałaby bez pracy migrantów.

Nasiliły się ataki na tle rasowym. Neofaszystów ośmielał członek rządu powtarzający uparcie frazy „koniec jazdy na gapę” i „nowi niewolnicy”. Spychał całą grupę społeczną na margines, skazując migrantów na getta. Podkreślał wielokrotnie, że dopuszczają się oni 700 przestępstw dziennie i żyją na koszt zwykłych ludzi. Że stoją za nimi „ciemne moce”. Po ogłoszeniu dekretu Salviniiego na porządku dziennym były w mediach

legalnej pracy. Tymczasem w sezonie owocowo-warzywnym mężczyźni wychodzili przed bramy, gdzie odbywało się coś w rodzaju targu niewolników – podjeżdżały furgonetki z *caporali* i farmerami, którzy wybierali z tłumu, i *neri* (czarnych) najzdrowszych, najsilniejszych.

Dyrekcja obozu pobierała za każdego rezydenta 35 euro dziennie. Również za tych, którzy rozpytywali się we mgle. O to, żeby pieniądze nie trafiały w ręce potrzebujących, dbała mafia. Dyrektora obozu, wcześniej zatrudnionego na Lampedusie, oskarżono o korupcję i współpracę z organizacjami przestępczymi.

Mariusz Śmiejek nie dostał pozwolenia na pracę w Cara di Mineo. Skierowano go do prefektury, tam trafił na mur. Fotografował inny, mniejszy obóz na terenie Palermo. – Był opanowany przez mafię – mówi. – Prowadzenie takiego obozu to jedno z bardziej lukratywnych zajęć. Osoby, które tam trafiają, są przetrzymywane latami. Nikomu nie zależy na czasie. Mafia przechwytuje środki unijne, wykazując w dokumentach więcej osób, niż naprawdę mieszka w obozie. Na kilkuset rezydentów jest kilku pracowników. Reszta to wolontariusze. Uczą języka, pomagają wypełniać dokumenty. Organizacje pozarządowe robią, ile mogą. Ale mafii nikt się nie postawi. Profity należą do niej.

Il centro di accoglienza per richiedenti asilo – ośrodek opieki dla osób ubiegających się o azyl, w skrócie CARA, co po włosku znaczy „kochana, droga”. W kalabryjskim Cara Sant’Anna mafia przechwycała

Prowadzenie obozu dla uchodźców to jedno z bardziej lukratywnych zajęć. Ludzie są przetrzymywani latami.

Yvan Sagnet uważa, że przede wszystkim my, konsumenci, możemy się przeciwstawić systemowi niewolniczej pracy na roli. Innego zdania jest Matteo Salvini: to my, biali Europejczycy, ofiary – jak mówi – „nowych niewolników”, cierpimy. Oni są winni wszystkiemu.

Koniec jazdy na gapę

Po objęciu stanowiska wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych w czerwcu 2018 r. Salvini deklaratorycznie, że pozbędzie się z Włoch pół miliona migrantów bez prawa pobytu. Postulował stworzenie tymczasowych ośrodków deportacyjnych oraz przeniesienie części migrantów do innych krajów Europy. Zaprzysiął też walczyć z organizacjami humanitarnymi, które ratowały uchodźców na morzu. Oskarżał je o pomaganie handlarzom ludźmi.

Azylant, którego podanie odrzucono, miał jedną szansę, by się odwołać. Po nieudanej apelacji otrzymywał dokument z pięciodniowym terminem opuszczenia kraju, ale nikt nie kontrolował, kto wyjeżdża, kto zostaje. Według tzw. dekretu Salviniiego wstrzymano pomoc humanitarną dla *diniegati*. Zastopowano też procedury azylowe wobec osób, które uznano za szkodliwe społecznie. Jako wicepremier i minister Salvini tweetował głównie o migrantach. Za jego urzędowania migracja do Włoch zmniejszyła się o 89%. Tysiące policjantów brały udział w nalotach na ośrodki dla migrantów i prywatne mieszkania. Setki ludzi lądowały na ulicy. Tam czekała na nich mafia.

obrazy buldożerów miażdżących nielegalne osady migrantów.

9 lipca 2019 r. Salvini przyjechał na Sycylię, by osobiście „zgasić światło” w obozie Cara di Mineo, który istniał od 2011 r. i przez pewien czas był największym obozem uchodźczym w Europie. Oddalony o godzinę drogi od Katanii, słynął z przemocy, skandali i dużej liczby zgonów. Salvini ogłosił, że zamknięcie obozu przyniesie oszczędności rzędu 100 tys. euro dziennie. W Cara di Mineo przebywało do 4 tys. osób, w momencie zamknięcia – 152 osoby.

Obóz powstał za czasów Silvia Berlusconi. Rząd przejął go podczas arabskiej wiosny od Amerykanów, którzy od 2005 r. dzierżawili 400 luksusowych willi dla oficerów marynarki wojennej i ich rodzin. W parkowym otoczeniu, przy szerokich quasi-hollywoodzkich ulicach zamieszkali migranci. Najpierw Tunezjczycy i Marokańczycy, za drutem

Mafia przechwytuje środki unijne, wykazując w dokumentach więcej osób, niż naprawdę mieszka w obozie.

kolczastym. Później rozluźniono dyscyplinę. Po złożeniu podania o azyl mieszkańcy mogli opuszczać teren obozu. Ale wracać nie bardzo mieli do czego, bo firma deweloperska po wyprowadzce Amerykanów usunęła pralki, zmywarki, wanny, klimatyzatory. Brakowało okien i drzwi, ze ścian sterczały druty. W obozie rządziły szczury, karaluchy i bezdomne psy. Jednak powrót na noc dawał szansę doczekania się papierów, czyli wolności w strefie Schengen i prawa do

w ciągu dekady około jednej trzeciej ze 100 mln euro unijnych funduszy. Ośrodek przejął Czerwony Krzyż.

Na południu Włoch ekonomia oparta na działalności przestępczej funkcjonuje znacznie lepiej niż normalna. Po wydostaniu się z obozu migranci – ci z papierami – i tak trafiają na ulicę. Zdobycie pracy na zmywaku graniczy z cudem. Czasem znajdują kąt u znajomych, mieszkają po kilku w jednym pokoju. Dzielą się tym, co mają. *Diniegati* wybierają



Bezdomni migranci ogrzewają się w zimowe popołudnie w nielegalnym obozie niedaleko Campobello di Mazara.

Nigeryjczyk aresztowany pod zarzutem handlu narkotykami. Palermo, Sycylia.



slamsy i pracę za kilkanaście euro dziennie. Godzą się na wszystko. *Caporali* sprzedają im na polach kanapki (do sklepu daleko), za dowóz do pracy pobierają po 3-5 euro od osoby (transportu publicznego brak). Gdy ktoś zasłabnie podczas pracy, za dojazd do lekarza płaci kilka dniówek.

Integracja

Rok 2016. 11 azylantów przyjeżdża do Corleone, wśród nich krawiec

z Gambii, matematyk z Kaszmiru i elektryk z Mali. Dostają pracę na żyznych polach w królestwie cosa nostry, odebranych mafii po procesach. Nie znają pracy na roli, uczą się. Zarabiają 600 euro miesięcznie. Marzą o sprowadzeniu rodzin. Śpią w domu, który należał do mafii. Tak działa integracja pod skrzydłami rolniczej kooperatywy Libera Terra (Wolna Ziemia).

Rok 1998. Mimmo Lucano, nauczyciel z Riace, przejął się losem 175 Kurdów, którzy przybyli

w okolicy miasteczka. Społeczność małego Riace przyjmuje ich z otwartymi ramionami. Lucano zostaje burmistrzem. Przez 20 lat jego rządów w Riace osiedli się 6 tys. osób z 20 krajów. Miasto okrywa się sławą wyludnionej osady przekształconej w atrakcyjną miejscowość. Jest kolorowo i czysto, imigranci z pomocą osiołków sprzątają śmieci ze stromych ulic. Kwitnie rzemiosło, otwarto warsztaty ceramiki i krawiectwa. Na murach widnieją antymafijne hasła. Magazyn „*Fortune*” ogłasza burmistrza jedną z 50 najbardziej wpływowych osób na świecie. Utopia. Nagle z prawej strony napływają czarne chmury. Ktoś grozi Lucanowi, truje jego psy. Nie docierają na czas środki pomocowe dla imigrantów. Potem rząd wstrzymuje wypłaty, miasto ma dziurę w budżecie w wysokości 650 tys. euro. Burmistrz trafia do aresztu, lista zarzutów jest długa. Pomagał nielegalnym migrantom, ulegał namowom korupcyjnym. Jego następca to człowiek Salvini.

Salvini wiwatuje na wieść o klęsce lewicowego burmistrza. „Jest niczym”, ogłasza. Lucano zostaje skazany na 13 lat i dwa miesiące więzienia. Ale Matteo Salvini czeka następny w kolejce. Szef Ligi Północnej staje przed sądem na Sycylii, oskarżony o blokowanie łodzi z migrantami w sierpniu 2019 r. Salvini zamknął porty dla statków ratujących rozbitków. To kolejna z jego spełnionych obietnic. Dziesiątki migrantów uratowanych z Morza Śródziemnego koczowały tygodniami na pokładzie hiszpańskiego statku „*Open Arms*”.

Od 2014 r. na Morzu Śródziemnym zginęło 22 825 osób. W tym roku utonęło 1225. Płynęli z Libii, Tunezji. Przeprawili się przez pustynię, przeszli przez ręce libijskich służb, których szkolenia kosztowały Unię setki milionów euro. Byli bici, torturowani. Pochodzą z Somalii, Nigerii, Syrii, Gambii, Ghany.

W Ghanie jest teraz Mariusz Śmiejek. Przygotowuje wystawę prac swoich podopiecznych, ghańskich dzieci. Mariusz jeździ od kilku lat do Afryki, poznawać drugi koniec historii czarnoskórych znajomych z Sycylii.

Zuzanna Muszyńska

Jacek Pałkiewicz

Dubaj – procesy i szokujące tortury

Prawdziwe oblicze świątyni luksusu
to brak swobód obywatelskich, represje
i niewolnicza praca najemnych robotników

Niewiele widziałem na świecie miejsc tak pełnych sprzeczności. Petrodolarzy zapewniły monarchii absolutnej pobbżliwość świata, który nie ma odwagi złożyć interesów ekonomicznych na ołtarzu walki o prawa człowieka.

Panuje przekonanie, że Dubaj to sultańskie zbytki, godne raju Allacha. W 1990 r. jego horyzont zdobił tylko jeden wieżowiec, dzisiaj jest ich kilkaset. Dla jednych to miejsce wakacji w stylu „Baśni z tysiąca i jednej nocy”, dla drugih – miasto niewyobrażalnego bogactwa i nowoczesności. Że Dubaj wywołuje zdumienie świata, rozbudza wyobraźnię i oszałamia przepychem każdego turystę, wiedzą wszyscy. Mało kto zna drugą, mroczną stronę tego emiratu. Tak jak kilka tysięcy lat temu faraonowie nadludzkim wysiłkiem niewolników wznosili fantastyczne budowle, a w późniejszych epokach inni rządzący realizowali wielkie projekty architektoniczne należące do światowego dziedzictwa, tak dzisiaj setki tysięcy Hindusów i Pakistańczyków za nędzne wynagrodzenie wybudowało metropolię, synonim niewyobrażalnego rozmachu.

W tym kraju nie toleruje się żadnej formy udziału w życiu politycznym, nie mówiąc już o opozycji. Nie pozwala na cokolwiek, co mogłoby podważyć autorytet rodziny panującej. Raport Amnesty International opisywał klimat strachu, który pojawił się tam 10 lat temu, kiedy władze zaczęły stosować szczególne środki mające na celu zażegnanie wszelkich krytyk antyrządowych i ruchów żądnych reform. Po fali arabskiej wiosny Zjednoczone Emiraty Arabskie podjęły działania represyjne, by zwalczać opozycję. Nowa, zatwierdzona w sierpniu 2014 r., bardziej restrykcyjna ustawa antyterrorystyczna rozszerzyła zakres definicji terroryzmu na wiele innych zagrożeń bezpieczeństwa

instytucji państwowych, zwiększając sankcje do 20 lat pozbawienia wolności, a nawet kary śmierci.

Sąd za petycję

W lipcu 2013 r. w Abu Zabi odbył się proces nazwany Emiraty 94, będący konsekwencją petycji skierowanej dwa lata wcześniej do szejka Chalify ibn Zajida al-Nahajjana, przywódcy wszystkich siedmiu emiratów, w której sygnatariusze domagali się prawa do wolnych wyborów, przekazania władzy ustawodawczej reprezentantom narodu i bardziej sprawiedliwego podziału dochodów z ropy naftowej. Jej zasoby kontroluje rodzina Al-Nahajjan, mająca charakter monarchii absolutnej, i to właśnie ona obsadza większość rządowych stanowisk. Istniejący „parlament”

ma jedynie funkcje doradcze, a jego 40 członków jest mianowanych bezpośrednio przez siedmiu rządzących szejków lub w drodze innych nominacji. Spośród 94 oskarżonych – autorów petycji – 69 zostało skazanych przez federalny Wysoki Trybunał Sprawiedliwości na kary 7-15 lat pozbawienia wolności za popełnienie czynów zagrażających bezpieczeństwu państwa i ładowi publicznemu oraz obrazę prezydenta.

Wśród skazanych znalazł się znany adwokat praw człowieka Mohammed al-Roken, od lat prześladowany przez władze za żądanie demokratycznych reform. Bronił w kilku delikatnych procesach politycznych przeciwko rządowi, kiedy żaden inny prawnik nie chciał się tego podjąć. Razem z nim było wiele znanych osób, takich jak wiceprzewodniczący



Wszelkie protesty robotnicze kończą się aresztowaniem i odesłaniem do rodzinnego kraju.



W Dubaju funkcjonuje 18-tysięczna armia stróżów porządku.

mu piasek do ust, strzelał z karabinu maszynowego obok leżącego, potem kilkakrotnie uderzył w pośladki deską ze sterzącym gwoździem. „Gdzie jest sól? Dajcie mi sól!”, krzyczał do obecnych w pobliżu. Po czym wysypał zawartość pojemnika na krwawiące rany błagającego o litość nieszczęsnika. Dalej można było zobaczyć, jak szejek wylewa mu z zapalniczki benzynę na genitalia i podpala. Potem, wołając do kamerzysty: „Bliżej, podejdź bliżej. Pokaż, jak cierpi”, wsunął do odbytu elektryczny treser dla bydła. „Ty psie!”, wykrzykiwał. Po trzygodzinnym pastwieniu się jeszcze kilkakrotnie przejechał terenowym autem po wijącej się z bólu ofierze.

Taśmę upublicznił Bassam Nabulsi, Amerykanin libańskiego pochodzenia, były partner biznesowy szejka, z którym procesował się z powodu zerwania kontraktu. Po ujawnieniu tych wydarzeń obrońcy praw człowieka nagłośnili temat. Prezydent Chalifa śpiesznie zareagował i obiecał, że jego brat będzie sprawiedliwie sądzony. Prokuratura

Związku Studentów ZEA Mansur al-Ahmadi, sędzia orzekający Mohamed al-Abduli, szejek dr Sultan Kajid Mohammed Al-Kasimi, Hussain Ali al-Najjar, Ali Hussain al-Hammadi, Saleh Mohammed al-Dhufairi, dwóch byłych sędziów Chamis al-Zjudiand i Ahmed al-Za'abi, wybitny prawnik Mohammed al-Mansuri, intelektualści i studenci. Niektórzy należeli do Al-Islah, stowarzyszenia reform i doradztwa socjalnego, które od 1974 r. zajmowało się pokojową debatą polityczną i religijną.

Zjednoczone Emiraty Arabskie, borykając się z niezadowolonym społecznym, zaostriżyły także prawo dotyczące korzystania z internetu. Od listopada 2012 r. przestępstwem jest sztydzenie w sieci z władców czy organizowanie nielegalnych demonstracji. Karane są zachowania „szkodzące reputacji państwa oraz stanowiące zagrożenie dla jego bezpieczeństwa”. Ponadto konsekwencje grożą za brak poszanowania symboli narodowych, flagi, hymnu czy islamu lub innej religii. Na mocy nowego dekretu za kraty mogą trafić twórcy witryn internetowych oraz osoby je odwiedzające.

Sytuacja w ZEA nie umknęła uwadze liderów Unii Europejskiej. 26 października 2012 r. Parlament Europejski uchwalił rezolucję w kwestii praw człowieka w ZEA. Mówi ona o nasileniu represji wobec obrońców praw człowieka i działaczy społeczeństwa obywatelskiego na rzecz demokracji, o arbitralnych aresztowaniach,

stosowaniu tortur i odmowie pomocy prawnej zatrzymanym.

W rezolucji wyrażono zaniepokojenie zastraszaniem społeczeństwa, które w pokojowy sposób korzysta z przysługujących mu praw do swobody wypowiedzi i wolności myśli. Na zakończenie wzywa ona władze ZEA do poszanowania praw człowieka i podstawowych wolności,

Setki tysięcy Hindusów i Pakistańczyków za nędzne wynagrodzenie wybudowało metropolię, synonim niewyobrażalnego rozmachu.

w tym wolności zgromadzeń, równouprawnienia kobiet oraz przestrzegania prawa do sprawiedliwego procesu sądowego.

Wolność dla szejka oprawcy

12 lat temu świat obiegła sensacyjna wiadomość. Amerykański telewizyjny kanał informacyjny ABC News wyemitował szokujące wideo „Torture Tape Implicates UAE Royal Sheikh”, ukazujące tortury w pustynnym miasteczku Al-Ajn. Przekaz był tym bardziej wstrząsający, że egzekutorem okazał się szejek Issa ibn Zajid al-Nahajjan, przyrodni brat przywódcy ZEA. Na 45-minutowym filmie widać było niebywale sadystyczne znęcanie się nad związanym afgańskim sprzedawcą zboża Muhammadem Shahem Poorem, który nie uregulował 5 tys. dol. długu. Oprawca sypał

rzeczywiście wszczęła dochodzenie i wydała oświadczenie, że prawo jest jednakowe w odniesieniu do wszystkich obywateli ZEA.

Proces odbył się wyjątkowo szybko. Po krótkiej sesji sąd oczyścił szejka z wszelkich zarzutów. Sędzia umotywowował to tak: „Owszem, na filmie widać, że oskarżony bierze udział w torturach, ale według opinii lekarza sądowego nie był on świadomy swoich czynów, bo znajdował się pod wpływem silnych leków mogących zwiększyć poziom agresji i spowodować utratę pamięci. To trzeba wziąć pod uwagę”.

Kultura przemocy

W tej samej sprawie sąd uniewinnił policjanta biorącego udział w maltretowaniu, bo ofiara nie była w stanie go zidentyfikować. Pozostali ►



Przy przeładunku towarów w dzielnicy Deira pracują robotnicy z Azji Południowo-Wschodniej i Półwyspu Indyjskiego.

▶ trzech widoczni na filmie mężczyźni zostali skazani na kary od roku do trzech lat więzienia. Jednak najsurowszy, zaoczny wyrok pięciu lat więzienia zapadł w sprawie braci Bassama i Gassana Nabulsich, którzy ujawnili zwyrodnialstwo księcia. Okazuje się,

kierowane przez jednego z 22 braci Issy, wprawdzie uznało jego rolę w nagraniu, ale stwierdziło, że „zdarzenia oglądane na taśmie nie są w zasadzie przykładem zachowania szejka”. W uzupełnieniu podało, że z raportu resortowego wynika, że „policja

Skąd u szejka tyle zdziczenia? Rejestrować tortury, aby potem rozkoszować się nagraniami w zaciszu swojego pałacu, zastanawiali się niektórzy analitycy Bliskiego Wschodu.

– Kultura przemocy w świecie arabskim sięga czasów koczowniczych, kiedy ludzie żyjący na pustyni musieli wykazać się agresywnością, by zapewnić sobie przetrwanie – zauważa psycholog Agnieszka Skorupa. – Im mniejsza populacja, tym bardziej jest zagrożona wpływami innych kultur, silniej musi walczyć o swoją tożsamość. Małe społeczności, chcąc zaważadnąć innymi obszarami świata, nie mogły liczyć na własną przewagę liczebną, musiały polegać na tzw. terrorze psychicznym. Akty ogromnego okrucieństwa zapewniały respekt u innych ludzi, a co za tym idzie – nie trzeba było podbitych terenów kontrolować siłą

fizyczną. Wystarczył postrach psychologiczny, który przez lata utrwalił wzorzec postępowania, stający się potem nawykiem.

W Emiratach nie toleruje się żadnej formy udziału w życiu politycznym. Nie pozwala na cokolwiek, co mogłoby podważyć autorytet rodziny panującej.

że Afgańczyk cudem przeżył zadane mu tortury i po wielu miesiącach hospitalizacji wrócił do zdrowia.

Sentencję postarano się wykorzystać do celów propagandowych. Adwokat księcia w wypowiedziach dla mediów podkreślił po rozprawie: „Świat wreszcie dowiedział się, że szejka Issa padł ofiarą nikczemnego spisku. Został odurzony lekami przez braci Nabulsich, którzy zamierzali szantażować go później nagraniem. A to, że szejka stanął przed sądem, dowodzi, że w naszym konserwatywnym kraju ponad wszelką wątpliwość wszyscy są równi i sprawiedliwie traktowani”.

Poproszone przez dziennikarza ABC News o komentarz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Abu Zabi,

przestrzegając właściwych procedur zgodnie z obowiązującym prawem”.

Jak taśma znalazła się w rękach Nabulsiego? On sam twierdzi, że jako zaufana osoba szejka, z którym robił interesy, przechowywał taśmę wraz z innymi dokumentami w swoim biurze. W międzyczasie ich stosunki pogorszyły się i kiedy zwrócono się do niego o oddanie tych materiałów, postanowił je ukryć. Został aresztowany pod pretekstem posiadania narkotyków, ale po trzech miesiącach odzyskał wolność. Zbiegł z Emiratów i po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych pozwolił światu zapoznać się z ekstremalnym sadyzmem.



Na podstawie książki Jacka Pałkiewicza *Dubaj. Prawdziwe oblicze*, Wydawnictwo Świat Książki, Ożarów Mazowiecki 2021

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Na czym PiS wisi

Już teraz dwójka moich dzieci na kwarantannie. Czyli zaraza szaleje. A PiS spada poparcie, więc mamy model szwedzki, jak najmniej obostrzeń, by nie narazić się elektoratowi. Oportunizm sondażowy, jak to nazwał Ludwik Dorn, dotyczy już wszystkiego. Nie ma takiej ceny, której PiS nie zapłaci za utrzymanie się przy władzy. Co tam kilka tysięcy zmarłych na covid.

Nowe „Dziady”. Historia się powtarza, ale już jako groteska. Barbara Nowak, małopolska kuratorka oświaty, która nie rozstaje się z różańcem, napisała na Twitterze: „Odradzam organizację wyjść szkolnych na spektakl »Dziady« w Teatrze J. Słowackiego. W mojej ocenie, haniebne jest używanie dzieła wieszczka A. Mickiewicza dla celów politycznej walki współczesnej opozycji antyrządowej z polską racją stanu”. Ciekawa jest teza pani Nowak, rządzący to wcielona „racja stanu”. Czyli opozycja, walcząc z rządem, walczy z racją stanu, a to zdrada. Apel kuratorki oświaty w sprawie przedstawienia w reżyserii Mai Kleczewskiej już przyniósł skutek – wszystkie spektakle są wyprzedane. Głos zabrał nawet minister kultury Piotr Gliński. Inscenizacji nie widział, ale mówi: „Niepokoją wszelkie takie działania, które są kontrowersyjne w sztuce i przekraczają granice tej akceptowalnej kontrowersji”. Oto ministra kultury przeraża w sztuce przekraczanie granic, też ciekawe. Potem Gliński się piekł, że atak na „Dziady” kojarzy się wielu z zakazem wystawiania „Dziadów” w roku 1968. Jak może się nie kojarzyć? W 1968 r. po zdjęciu „Dziadów” ze sceny Gomułka głądził: „Mickiewicz nie był i nie będzie orężem reakcji”. A jaki jest ten spektakl sam w sobie? Już nie istnieje sam w sobie, istnieje w kontekście.

Nie przepadam za gwałtownymi eksperymentami na klasyce, ale nie widziałem tej sztuki, nie wiem. Mój kolega, znany reżyser, został zaproszony na próbę generalną. Po krótkim czasie wyszedł wstrząśnięty, tak to było okropne. Mówi: „Widziałem tylko fragment, może całość jest genialna, ale to mało prawdopodobne”. To część niszycielskiej działalności PiS w kulturze, nawet jeśli ten spektakl jest okropny, co możliwe, nikt z nas po obejrzeniu go nie mógłby napisać niepocholebnej recenzji.

PiS wpadło na pomysł, by rejestrować ciążę. Jak kobieta zajdzie, od razu wpada z płodem do systemu i oko wielkiego brata śledzi, jak w niej ta ciąża się rozwija. A jak kobieta ucieknie do Czech na aborcję, to co? Morderstwo?

O to właśnie chodzi. Od razu pojawiły się memy, choćby ten zabawny – tłok, kolejka do okienka, kobieta mówi do siedzącej tam osoby: „Dzień dobry, właśnie wróciłam z Czech, chcę wyrejestrować ciążę”. Jeszcze chyba nie jest aż tak źle, by ten pomysł wprowadzono w życie, ale kto wie? Na pewno za to wejdzie w życie projekt utrudnienia rozwodów – ma to trwać o wiele dłużej, więcej kosztować, tak by zniechęcić. Nie rozumiem tej połowiczności, a nie można by zupełnie zakazać? To wszystko w każdym razie wskazuje kierunek, w jakim idzie PiS, w jakim pójdzie na pewno, gdy rządzić będzie nową kadencję. Co będziemy warci jako naród, jeśli wybierzemy ich ponownie?

W kinie Luna, w ramach festiwalu kina rosyjskiego, film „Idiota” z roku 1958. Według powieści Dostojewskiego. Potem dyskusja o kobietach pisarza z moim udziałem. Film oczywiście z innej epoki, pokolorowany, bardzo rosyjski, aktorzy grają znakomicie, ale bardzo teatralnie. Co za gęby! Tylko Rosjanie i czasami Polacy potrafili tak grać

rosyjską literaturę. I chociaż to wszystko ocierało się czasami o groteskę, obraz wciągał. I ta muzyka rosyjskiego języka, czułem, jak budzi się we mnie ten już zapomniany język. Potem dyskusja, jest obok mnie

Sylvia Frołow, autorka dobrej książki „Nasz biedny Fiedia”, opowieści o kobietach pisarza. Sylwia to moja bliska koleżanka z dawnych lat. Mówi, że pisze książki biograficzne dzięki mnie, skłoniłem ją dawno temu do napisania tekstu do „Res Publici”. Byli ludzie, którzy, pokazując kierunek palcem, wpłynęli na mój los, tak ja czasami zmieniałem losy ludzi. Każdy z nas ma takie doświadczenia.

Ileż niegodziwości by nam umknęło, gdyby nie wolne media, aż strach pomyśleć. Wirtualna Polska ujawniła, że firma Łukasza Mejszy, wiceministra sportu, namawiała rodziców ciężko chorych dzieci do korzystania z niesprawdzonych form leczenia za granicą, za bardzo duże pieniądze. Koszt wynosił ok. 80 tys. dol. Ale rządowi brakuje postów, więc rząd wisi na Mejszy, czyli polski dobrostan wisi na Mejszy. A Mejsza okazał się gangsterem, ma też odpowiednie oblicze. Teraz PiS się waha. Nie rozumiem, czemu się waha, przecież wszystko, co ujawniają wolne media, to manipulacja i kłamstwo, prawda jest tylko w mediach rządowych. A jednak się waha. Straszny widok.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

SŁODKO nie będzie

Europa
zmaga się
z miodową
posuchą



Chrystian Ślusarczyk

Świadome społeczeństwa Zachodu, nierzadko do przesady dbające o zdrowie, już kilka dekad temu nazwały cukier białą śmiercią. Rugowanie go z diety i poszukiwania przyjaznych dla organizmu zamienników spędzają sen z powiek specjalistom i zwykłym śmiertelnikom.

Miód – obok syropu klonowego czy południowoamerykańskiej byliny stewii – to dziś najważniejszy zastępca cukru. Produkcja miodu od wieków związana jest z czystością i jakością środowiska naturalnego. Do wytworzenia 1 kg miodu wymagane jest zebranie nektaru z 4 mln kwiatów i przemierzenie łącznie przez pszczoły aż 150 tys. km! Liczby te uzmysławiają, jak wiele tych owadów potrzeba, byśmy mogli się cieszyć miodem na sklepowych półkach.

Chiny, a potem długo nic

Europa była i jest wielkim konsumentem najróżniejszych odmian miodu. Nie jest jednak jego największym producentem. Wiele wskazuje na to, że w miodowych rankingach kraje Starego Kontynentu z roku na rok będą spadać. Palmę pierwszeństwa

dzierżą od pewnego czasu Chiny produkujące ok. 550 tys. ton rocznie. Drugie miejsce ma Unia Europejska z 280 tys. ton.

Z kolei produkcja miodu w Polsce stale rośnie, co sprawia, że w UE zajmujemy miejsce w czołówce. Niemal jedna dziesiąta wszystkich uli we Wspólnocie znajduje się u nas. Wyprzedzają nas tylko Hiszpania, Rumunia i Węgry.

Wydawać się mogło, że po ograniczeniach związanych z pandemicznym, choć nie tak słabym rokiem 2020 produkcja miodu w 2021 r. wróci na właściwe tory. Ale wszystko wskazuje, że ten rok będzie dla europejskiego pszczelarstwa najgorszy od dziesięcioleci. Ceny miodu, który już i tak jest drogi, wciąż będą szły w górę. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest sporo.

Smutne dożynki miodowe we Francji

Francja, również ważne miejsce na światowej mapie miodu, alarmuje, że tamtejsza produkcja jeszcze nigdy nie była tak marna. Francuski Krajowy Związek Pszczelarski (UNAF) podał, że wyniesie jedynie 7-10 tys. ton, co odpowiada jednej trzeciej ze sztorocznej! Za słabe zbiory miodu

UNAF wini niskie temperatury, wilgoć, silne wiatry oraz wiosenny mróz w niektórych regionach kraju. Jak informuje EuroNews, na pasieki duży wpływ mają nie tylko zmiany klimatu, ale i obecność drapieżnych gatunków, takich jak szerszeń azjatycki, oraz ogromne użycie pestycydów.

„Późnowiosenne chłody zmroziły i stłumiły kwiaty, przez co pszczoły były głodne. Musieliśmy je karmić, aby utrzymać przy życiu, nie mogły więc produkować miodu”, powiedział w radiu France Bleu Olivier Fernandez, przewodniczący związku pszczelarzy w Okcytanii, południowym regionie Francji.

Zdaniem UNAF ciągle stosowane pestycydy i fungicydy niszczą układ odpornościowy pszczoł.

Choć tegoroczne statystyki będą dramatyczne, należy pamiętać, że produkcja miodu we Francji i tak z roku na rok spada. W 1995 r. wyprodukowano 32 tys. ton, a w pandemicznym 2020 już tylko 20 tys. W tym roku produkcja miodu rzepakowego spadła o kilkanaście procent, akacjowego będzie znacząco mniej. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja z miodem tymiarkowym i rozmarynowym na południu. We francuskich sklepach takiego miodu praktycznie nie widać. Podobnie

wygląda sytuacja z lubianym w Europie miodem kasztanowym.

W Słowenii miodu nie będzie

Niewielka Słowenia szczyci się największą liczbą pszczelarzy na mieszkańca – 11 tys. producentów miodu na 2 mln obywateli). Tymczasem jak podaje portal Politico, ten rok dla Słoweńców utrzymujących się z produkcji miodu może być najgorszy w historii. Peter Kozmus, szef Słoweńskiego Stowarzyszenia Pszczelarzy, nie kryje pesymizmu: „Sucha, a przede wszystkim mroźna wiosna tego roku bardzo nas zaskoczyła. Przymarzło wiele kwitnących w kwietniu i maju drzew owocowych, których kwiaty przyciągały tysiące pszczół. Pogodowe anomalie spowodowały, że prawie 80% krajowych pszczelarzy w tym roku w ogóle nie będzie się cieszyć własnym miodem”.

Słowenia, dla której miód jest towarem niemal strategicznym, znajduje się w ścisłej unijnej czołówce krajów forsujących kontrole dopuszczalnej ilości pestycydów w miodzie. W roku 2011 jako pierwszy kraj UE wprowadziła zakaz stosowania insektycydów neonikotynoidowych – siedem lat przed uchwaleniem przez Unię własnego zakazu ze względu na zagrożenie chemikaliami dla owadów zapylających.

Według rzecznika słoweńskiego rządu Lublana ma przyjąć przepisy rekompensujące pszczelarzom tego- roczne straty w wysokości sięgającej 1,3 mln euro.

Rumunia zagrożona

Ciesząca się umiarkowaniem ciepłym i łagodnym klimatem Rumunia także notuje spadek produkcji. Prezes Stowarzyszenia Pszczelarzy Rumunii (ACA) Ioan Fetea szacuje, że wyniesie ona w tym roku ok. 17-18 tys. ton. „To więcej niż w 2020 r., jednak będzie to rok skromny w porównaniu z latami, w których uzyskiwaliśmy ponad 30 tys. ton miodu”, mówi i dodaje: „Występuje cykliczność dobrych lat pszczelarskich. Udany był rok 2018, kiedy Rumunia znalazła się w gronie największych producentów miodu w Europie. Zdajemy sobie sprawę, że po roku udanym następuje cztery-pięć lat chudych.

Ale zmiany klimatyczne nie omijają naszego kraju. Ich skutkiem może być to, że rok udany nastąpi nie po pięciu, ale po dziesięciu latach posuchy”.

Rumunii niezmiennie trudno konkurować z sąsiednią Ukrainą. „Ukraiński miód, coraz częściej zalewający nasze półki, tak naprawdę pochodzi z Chin. Sprowadzany jest po śmiesznych cenach. Jego jakość i walory zdrowotne pozostawiają wiele do życzenia. Cóż z tego, że produkujemy tyle miodu, skoro cała Europa traci, a może nawet już straciła, kontrolę nad miodowym biznesem”, realistycznie podchodzi do problemu Fetea.

Australia zazdrości Nowej Zelandii

Podczas gdy Europę coraz bardziej dotyka miodowa posucha, całkiem nieźle ma się Nowa Zelandia. Jak donosi portal miodymanuka.pl, w kraju, którego klimat przypomina nieco południe Europy, średnie tempo rozwoju przemysłu pszczelarskiego od roku 2015 to ok. 7% rocznie. W 2019 r. kraj ten zajął drugie miejsce pod względem zysków

wielkości producentem w UE, a nasze miody z powodzeniem konkurują z produktami z zagranicy (w ostatnim czasie z miodem ukraińskim). Niestety, kłopoty pszczelarzy z większości krajów Europy nie omijają też Polski. W 2020 r. wzrosła liczba pszczół, ale zbiory miodu były słabe, co już niedługo może się odbić również na wielkości populacji pszczół.

Europejscy pszczelarze muszą uważać nie tylko na pogodę, choroby pszczół i na rolników, którzy spryskują uprawy środkami owadobójczymi. Od lat zmagają się bowiem ze złodziejami, którzy pod osłoną nocy kradną pszczoły. Proceder nasilił się w ubiegłym roku. Pszczoły kradnie się dla pieniędzy. Z pozoru niezbyt wielkich – jedna pszczoła rodzina kosztuje ok. 200 zł. Te, które po zimowaniu mogą zacząć pracę od razu, są zwykle droższe, ich ceny dochodzą do 500 zł. Skradzioną pszczołę rodzinę można próbować sprzedać, ale najczęściej złodzieje chcą sami wykorzystać ją do produkcji miodu.

Takich problemów jak w krajach europejskich nie mają Rosjanie mimo braku wsparcia państwa. Według

Wszystko wskazuje na to, że ten rok będzie dla europejskiego pszczelarstwa najgorszy od dekad.

z eksportowanego miodu. Wszystko za sprawą miodu manuka, który zdobywa coraz większą popularność na świecie i z którego zyski mogą sięgać nawet 80%. Według Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa Nowa Zelandia jest siódma na świecie, jeśli chodzi o tempo zwiększania liczby rodzin pszczelich w ciągu ostatniej dekady.

Nowej Zelandii zazdrości potężny sąsiad, Australia. Gigantyczne pożary buszu, które wybuchały w wielu miejscach Australii, oznaczają ogromne straty dla przemysłu pszczelarskiego. Pożary zniszczyły lasy słynące wcześniej z nektaru. Szacuje się, że odbudowa zniszczonej przez ogień populacji tamtejszych pszczół może potrwać nawet 20 lat!

Polska miodową potęgą, ale...

Nasz kraj należy do miodowych liderów. Jesteśmy czwartym co do

danych Federalnej Służby Celnej w pierwszej połowie 2021 r. Rosja wyeksportowała 1,5 tys. ton miodu, czyli o 60% więcej niż w analogicznym okresie 2020 r. (938 ton). Polska jest nowym importerm rosyjskiej patoki. W pierwszej połowie tego roku na liście importerów miodu z Rosji nasz kraj zajął drugie miejsce (za kwotę 330 tys. dol.). Sprowadziliśmy więcej rosyjskiego miodu niż... Chiny!

Przyszłość europejskiego pszczelarstwa rysuje się w coraz czarniejszych barwach. Jeżeli sytuacja rynkowa się nie poprawi, europejscy pszczelarze będą rezygnować z dalszej działalności, co zagraża istnieniu ponad 10 mln uli w UE. To olbrzymie zagrożenie również dla rozwoju rolnictwa, ogrodnictwa, sadownictwa i w ogóle środowiska naturalnego w większości krajów naszego kontynentu.

■

Dialog zamiast politycznych sztandarów

Każdy zostanie postawiony w sytuacji, w której będzie musiał przemyśleć swoją postawę, poziom odwagi i empatii

Rozmawia Artur Zaborski

W „Śmierci Zygielbojma” przypominać postać tytułowego bohatera, który walczył o to, by Zachód zainteresował się tematem Holokaustu. Wstyd powiedzieć, ale nie słyszałem o nim w szkole.

– Muszę przyznać, że zanim rozpoczęłam pracę nad filmem, sama wiedziałam niewiele o Zygielbojmie. Gdy przeczytałam scenariusz, też było mi z tego powodu wstyd. Zawsze jest jednak nadzieja, że historie takich ludzi powrócą, że ktoś po nie sięgnie. Ale cieszę się, że powstał scenariusz, nie tylko dlatego, że mogliśmy nim złożyć hołd postaci, o której opowiadamy. To ważny obraz, bo tematyka, której dotyka, jest po prostu bardzo aktualna.

W jaki sposób odnosi się do współczesności?

– Nasze pokolenie w zdecydowanej większości mogło wybrać życie we własnej strefie komfortu – teraz, obserwując wydarzenia na polskiej granicy, jesteśmy zmuszeni do wykonania rachunku sumienia. Powinniśmy zadać sobie pytanie, czy robimy cokolwiek, aby pomóc. Zygielbojm może być dla nas punktem odniesienia, musimy przestać być obojętni na cudze cierpienie.

Tyle że Zygielbojm walczył o „swoich”, sam był Żydem, któremu zależało na nagłośnieniu tragedii jego narodu. Polacy może i zmobilizowaliby się do działania, gdyby na granicy z Białorusią ginęli „nasi”. A że giną „obcy”, mniej nas to zajmuje.

– Jako społeczeństwo mamy skłonność do wypierania tego, co nie dzieje się bezpośrednio u nas, na naszym podwórku. Wolimy żyć w spokoju. Ale okazuje się, że dłużej tak się nie da. Uważam, że w pewnym sensie jest to pozytywne.



KAROLINA GRUSZKA

– aktorka filmowa i teatralna

Dlaczego?

– Bo każdy z nas zostanie postawiony w sytuacji, w której będzie musiał pewne rzeczy przemyśleć – przede wszystkim swoją postawę, poziom odwagi i empatii.

Tylko co jeszcze musi się wydarzyć, żeby nami poruszyć? W końcu ludzie, nie siląc się już nawet na anonimowość, publikują w sieci komentarze pełne nienawiści wobec ginących na granicy. I nie wstydzą się tego.

– To prawda i jest to przerażające. Wciąż jednak mam nadzieję, że większość z nas ma w sobie tę podstawową umiejętność współodczuwania – być może została ona uśpiona, ale może się wybudzić w ekstremalnych momentach. Ludzi w takiej sytuacji, w jakiej znaleźli się migranci na granicy, mogą być za chwilę miliony. Będą to chociażby uchodźcy klimatyczni – nie wiadomo dokładnie kiedy, może za pięć albo za dziesięć lat. W każdym razie na pewno wydarzy się

to jeszcze za naszego życia. Mam nadzieję, że wykażemy się wówczas elementarnym ludzkim współczuciem i dobrocią. Niestety, historia pokazuje, że różnie z tym bywa.

Kierowanie się własnymi emocjami i empatią jest obecnie traktowane przez innych jako pewnego rodzaju deklaracja polityczna. Kiedy mówię głośno o tym, że chciałbym pomóc migrantom, wiele osób traktuje to jako opowiedzenie się po którejś stronie politycznej barykady.

– To pokłosie sposobu, w jaki w Polsce przez ostatnie lata prowadzono polityczny dialog. Nasz kraj drastycznie podzielono na dwie części. Tymczasem powinniśmy próbować docierać się za pomocą jak najbardziej neutralnych politycznie komunikatów – w końcu deklarujemy się jako kraj chrześcijański, wystarczyłoby zatem odwołać się do



Karolina Gruszka w filmie „Śmierć Żygiełbojmy”.

w wielu tematach. A żeby to robić, trzeba stworzyć atmosferę, w której dwie strony będą chciały wzajemnie się wysłuchać.

z własnym sumieniem. Obecnie mamy jednak bardzo dużo tematów tabu, a poprawność polityczna stała się w pewnym sensie niebezpieczna. Trudno podważać lub nawet podawać w wątpliwość pewne kwestie. Żyjemy w czarno-białym świecie, w którym musisz opowiedzieć się po jednej ze stron, bo każdy odcień szarości odbierany jest jako atak.

Albo jako symetryzm.

– Otóż to. To bardzo trudna sytuacja, w której sami ograniczamy sobie wolność słowa.

Udać ci się w tym wszystkim jakoś znaleźć spokój? Potrafisz zadbać sama o siebie i o równowagę wewnętrzną?

– Wierzę, że aby móc zmieniać cokolwiek w świecie wokół nas, trzeba zacząć od siebie i uporządkować

Wolimy żyć w spokoju. Ale okazuje się, że dłużej tak się nie da.

podstawowych wartości tej religii. Mam nadzieję, że będziemy próbowali znaleźć wspólny język i skupić się na pojedynczych ludzkich tragediach, zamiast patrzeć na nie w pojęciu całego systemu. To mężczyźni, kobiety i dzieci, którym trzeba pomóc, a nie ideologia polityczna. Musimy to wreszcie zrozumieć i przestać traktować siebie nawzajem jako ideologię.

Artyści zawsze kojarzyli mi się z ludźmi budującymi mosty, spajającymi społeczeństwo. Kiedy szliśmy do kina lub sięgaliśmy po książkę, tworzyliśmy wspólnotę niezależną od politycznych podziałów. Dziś jest inaczej. Minister Piotr Gliński próbował wykorzystać nawet wasz film w celach propagandowych.

– Niestety, to prawda. Tym trudniejszy był dla mnie moment, kiedy podjęto próby upolitycznienia naszego filmu. Wszystko jednak się wyjaśniło i mam nadzieję, że do kina wybierze się jak najwięcej osób, niezależnie od tego, kto na którą opcję polityczną głosuje. Ja sama zawsze będę proponowała dialog zamiast wznoszenia politycznych sztandarów. Być może jest to naiwne myślenie, ale takie jest moje zdanie. Społeczeństwo należy także edukować

Masz jakiś pomysł, jak można by obecnie do tego doprowadzić?

– Staram się to robić poprzez spektakle i filmy, indywidualne rozmowy z ludźmi, których spotykam. Zapewne potrzebne byłyby również bardziej spektakularne kroki i myślę, że wszyscy w moim środowisku nad nimi się zastanawiają. Bardzo szanuję chociażby ostatnie wystąpienia Macieja Stuhra. To ważne przykłady, ale wciąż niewystarczające.

Staliśmy się niewolnikami poprawności politycznej. Wolimy pewne rzeczy przemilczeć z obawy przed hejtem.

Z drugiej strony wielu wyrzuca osobom publicznym, że się mieszają nie do swoich dziełek. Niektórzy mają problem z tym, że aktorzy mówią o sytuacji na granicy albo o szczepieniu się przeciw koronawirusowi.

– Kiedy wypowiadasz się publicznie, a pewne sprawy bardzo cię boją, pojawia się pokusa, żeby mówić o nich, zamiast skupiać się na błahostkach. Staram się nie angażować po żadnej z politycznych stron – nie zawsze znam się na ich poczynaniach, nie zawsze mam do nich zaufanie. Wypowiadam się w swoim imieniu, w zgodzie

własne wnętrze. Bez tego nie wniesiemy nic dobrego na zewnątrz. Przez lata udało mi się wypracować pewne metody, które pozwalają mi zadbać o swój spokój pomimo okoliczności. Ale naturalnie wybija mnie z niego bardzo wiele zastyszanych informacji – żyję w związku z Rosjaninem, mam wielu przyjaciół na Białorusi, więc sytuacja na granicy jest dla nas podwójnie ważna, mocno do mnie dociera. Bez zbudowania własnej, wewnętrznej niezależności można oszaleć. Wszyscy powinniśmy zadbać teraz o kondycję psychiczno-duchową.

► **Zwłaszcza że coraz częściej obserwuję, jak łamią się pacyfistyczne osoby, które znam od lat. Do niedawna brzydziły się agresją, a teraz z ich ust zdarza mi się usłyszeć stwierdzenie, że gdyby spotkały któregoś z polityków obozu rządzącego, nie zawahałyby się użyć siły. To pokazuje, jak bardzo jesteśmy nabuzowani tym, co dzieje się dookoła nas.**

– W ekstremalnych sytuacjach, które na dodatek nieustannie eskalują, zawsze się radykalizujemy. Nagromadzenie toksycznej energii

po prostu się starać. Ja się tego trzymam.

Skoro dookoła dzieje się tyle negatywnych rzeczy, spróbujmy dla odmiany znaleźć coś dobrego. Może oczyszczenie w środowisku filmowym po interwencji wielu kobiet z branży?

– Z jednej strony, jest to bardzo potrzebny proces, z drugiej – również w nim widzę pewien przesyt. Pewne rzeczy przedstawiane są w zdecydowanie zbyt ciemnych barwach w porównaniu z rzeczywistością. Ale może tak musi być – skoro jakiś problem

a ruch feministyczny dopiero zaczyna tam docierać. Odwołuję się oczywiście do swoich doświadczeń, wśród których trudno mi wskazać jakiegokolwiek drastyczne, bez względu na to, czy miałyby dotyczyć mnie, czy osób w moim otoczeniu. Zgadza się, że wiele incydentów opisywanych w mediach nigdy nie powinno mieć miejsca. W naszym zawodzie wytyczanie granic jest jednak szczególnie trudne, ponieważ pracujemy na bardzo delikatnym materiale – na własnych emocjach. Łatwo zatem kogoś skrzywdzić, nie jest to zawód dla każdego i trzeba mieć w sobie gotowość na emocjonalne zderzenie z drugim człowiekiem. Musimy się nauczyć odróżniać niedopuszczalne nadużycia od tego, co stanowi część naszej pracy.

To skomplikowane, zwłaszcza w czasach nadmiernego ekspozowania poprawności politycznej, o której rozmawialiśmy wcześniej.

– Staliśmy się jej niewolnikami. Wolimy pewne rzeczy przemilczeć z obawy przed hejtem, często ze strony środowiska, którego czujemy się częścią lub z którym sympatyzujemy. Dlatego namawiałabym do większej czułości i szacunku wobec siebie. Zbyt łatwo wydajemy oceny i zamykamy siebie nawzajem w szufladach. Pozwólmy sobie i innym na wątpliwości i odwagę rozmyślania w różnych kierunkach. A czasem również na błędy.

Artur Zaborski

Warto dbać o kulturę dialogu, nie odpowiadać agresją na agresję i żyć według własnych zasad.

ma na nas ogromny wpływ. Warto jednak być ostrożnym i dbać o kulturę naszego dialogu, nie odpowiadać agresją na agresję i żyć według własnych zasad, ideałów. Nawet jeżeli to trudne. Inaczej przechodzimy w kierunku skrajności. Jest mi przykro, kiedy czytam naznaczone nienawiścią komentarze osób, które walczą o to samo, co ja, ale zupełnie innymi metodami.

Podziwu godne jest twoje trzymanie się zasad i ideałów, bo obecnie niezwykle łatwo poddajemy się emocjom, zwłaszcza negatywnym.

– Nie zawsze mi się udaje. Miewam gorsze dni, kiedy dopada mnie czarnowidztwo. Powinniśmy

przez tyle lat pozostawać niezauważony, to kiedy wybucha, dzieje się to z olbrzymią mocą, na czym cierpią też osoby niewinne. Miejmy nadzieję, że sytuacja się unormuje – żeby tak się stało, musimy przestać postrzegać świat wyłącznie jako czarno-biały. Do zrozumienia pewnych zachowań potrzebujemy szerszego kontekstu.

Ty mieszkając poza Polską, choćby w Rosji. Widziałaś, jak to wygląda gdzieś indziej. Z taką wiedzą pewnie o wiele łatwiej o dystans, bo można zbudować porównania.

– Z pewnością, chociaż akurat Rosji nie brałabym za przykład, bo jest to kraj, który ma wiele problemów,

NAJPIĘKNIEJSZA KSIĄŻKA LEMA

Polskie Towarzystwo Wydawców Książek z okazji setnej rocznicy urodzin Stanisława Lema zorganizowało konkurs na najpiękniej wydaną książkę tego autora. Konkurs ten to także uczczenie setnej rocznicy powstania Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.

Do konkursu zgłoszono ok. 150 książek z sześciu wydawnictw (Agora, Czytelnik, Iskry, MON, Wydawnictwo Literackie, Znak). Warto odnotować, że debiutem Stanisława Lema była opublikowana w 1951 r. przez wydawnictwo Czytelnik powieść „Astronaucci” (drukowana równoległe w odcinkach w „Sztandarze Młodych”).

Komisarzem konkursu został wybitny typograf Andrzej Tomaszewski, od lat komisarz corocznego konkursu PTWK na Najpiękniejszą Książkę Roku. Partnerem konkursu była Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie. Jurorzy, przygotowując werdykt, oprócz koncepcji

wydawniczej, opracowania graficznego i typograficznego oraz sztuki ilustracji brali pod uwagę jakość wykonania technicznego książki.



Sąd Konkursowy, pod przewodnictwem dr. Ryszarda Kajzera z warszawskiej ASP, tajnie i jednogłośnie uznał za najpiękniejszą „Cyberiadę” w opracowaniu graficznym Daniela Mroza, wydaną w 1965 r. przez Wydawnictwo Literackie. Ponadto Sąd Konkursowy przyznał Specjalną Nagrodę Honorową Wydawnictwu Literackiemu za dwie serie: jedną – w opracowaniu graficznym Daniela Mroza, ukazującą się w latach 1959-1974, i drugą, która jest dostępna od roku 2012 w opracowaniu graficznym Przemka Dębowskiego.

Sąd Konkursowy wyłonił 30 okładek książek Stanisława Lema wyróżniających się poziomem artystycznym. Spośród nich internauci mogą do 8 grudnia wybrać tę, którą sami uważają za najładniejszą, pod adresem: lubimyczytac.pl/konkurs/okladka-lem.

KURTYNA W GÓRĘ

Marzyciel nie ustępuje

Spektakl Igora Gorzkowskiego w Teatrze Soho, najmłodsze dziecko Studia Teatralnego Koło, z wdziękiem, bez pretensjonalnej górnolotności ukazuje wiarę w lepszy świat, którą nieci pogodnie natchniony Don Kichot (Bartosz Mazur). Gorzkowski posługuje się chwytami zapożyczonymi z komedii dell'arte, wprowadza stylizacje flamenco, bawi się konwencjami, nadając zwyczajnym przedmiotom poetycki wymiar. Powstało pełne uroku przedstawienie z ducha Cervantesa, ciepłe w wymowie i cierpkie w szczegółach losu, z jakim boryka się główny bohater. Ale i tak Błędny



Miguel de Cervantes,
„Don Kichot”, tłumaczenie
Wojciech Charchalis,
reżyseria Igor Gorzkowski,
Teatr Soho w Warszawie
(Studio Teatralne Koło),
premiera 15 października 2021



Rycerz wymknie się z pułapek zastawianych na niego przez praktycznych a domniemyanych życzliwców. Młodzi aktorzy, ale i ci nieco starsi, związani od lat ze Studium Koło, czują się w tej inscenizacji jak ryby w wodzie. Wszystko to składa się na niemal dwugodzinną zabawę w marzenia. Stąd psychiczna bliskość ze światem tego spektaklu pełnego wigoru i radości życia.

Tomasz Miłkowski

NA POWAŻNIE

Gdy brat bliźniak ginie

Opera opowiada historię z greckiej mitologii o miłości braterskiej. Gdy Castor ginie, Pollux postanawia wskrzesić brata. Interweniuje u najwyższych czynników, udaje się do Hadesu jak Orfeusz w poszukiwaniu Eurydyki. Co z tego wyniknie, można się dowiedzieć w Warszawskiej Operze Kameralnej. Przedstawienie zachwyci przepychem i barokiem muzycznym granym na dawnych instrumentach.

Bronisław Tumiłowicz

Jean-Philippe Rameau, „Castor et Pollux”, reżyseria i choreografia
Deda Cristina Colonna, kierownictwo muzyczne Benjamin Bayl,
Warszawska Opera Kameralna, premiera 27 listopada 2021



MIĘDZY OKŁADKAMI

Daphne du Maurier
Moja kuzynka Rachela

tlum. Zofia Uhrynowska-Hanasz
Albatros, Warszawa 2021

Winna czy niewinna? Trudno nie zadawać sobie tego pytania. Czy kuzynka XIX-wiecznego właściciela ziemskiego z Kornwalii to manipulantka, która postanowiła zdobyć majątek przez małżeństwo, a gdy po usunięciu dodatku w postaci męża okazało się, że nic z tego, zagięła parol na spadkobiercę swojej ofiary? Głos ma tu tylko jedna strona – Filip Ashley, wychowanek ekscentrycznego, zabarykadowanego w kawalerstwie Ambrożego, kawał mizogina swoją drogą, choć może głównie z chęci przerośnięcia mistrza. Popadający ze skrajności w skrajności w uczuciach wobec Racheli 25-latek nie jest siłą rzeczy najbardziej wiarygodny w jej ocenie, lecz autorka uczyniła go niezwykle sugestywnym. Sławę zyskało pierwsze zdanie z „Rebeki”, najpopularniejszej powieści Daphne du Maurier, tu natomiast angielska pisarka dała dwuzdaniową mistrzowską klamrę.

Aleksandra Pańko



Wojciech Sobina
Sercem i rozumem

Novae Res, Gdynia 2021

Autor miał to szczęście, że jako pracownik dużej fabryki opon został ekspertem ONZ od przemysłu gumowego i dzięki temu odwiedził kawałek świata. Ale czy tylko szczęście? Nie stały za nim znajomości, na jego rzecz przemawiały doświadczenie zawodowe i rzetelne przygotowanie. Któryś z przyjaciół nazwał go praktycznym idealistą, który uważa, że człowiek może osiągnąć wszystko – sercem i rozumem. W książce opisuje zwłaszcza przeżycia w ojczyźnie i rodzinnym mieście. Czytelnik z Olsztyna odgadnie, że chodzi o dawny Stomil, choć Sobina nie wymienia nazwy firmy. Bo ważniejszy jest jego przekaz: do osiągnięcia sukcesu potrzebne są motywacja wewnętrzna, umiejętności oraz skuteczność działania. I – co chyba najistotniejsze – optymizm oraz szacunek dla drugiego człowieka.

Marek Książek



Odbieram Krzysia z przedszkola. Podrzucam go, podmuch rozwiewa mu włosy, łapię go i przytulam.

– Tata, udusisz mnie! – Trzymam jego małą łapkę w swojej dłoni, mieści się w niej cała, promieniuje z niej ciepło, które sięga mojego serca. Wsiadamy do auta. Liczy, ile samochodów jedzie z naprzeciwka. Wszystko liczy, kiedyś zabrał się do liczenia gwiazd i popłakał się, że nie da rady.

Jesteśmy w domu.

– Tata, nudzi mi się – mówi. Jestem gotowy się z nim bawić, tylko w co? On też nie ma pomysłu, uważa, że to ja powinienem wiedzieć, jestem dorosły, wszystko wiem i umiem. Siedzimy bezradni naprzeciw siebie, zaczyna liczyć plamki na ścianie. A potem wykląda, ile ości ma karp, bardzo interesuje się rybami. Zna setki gatunków, ich budowę i obyczaje, chce, abym dzielił jego entuzjazm do ryb, a ja ryb nie znozę. Ich smaku, oślizgłego wyglądu i niemoty. Mam dosyć, idę znowu do komputera. Powtarza:

– Nudzi mi się, nudzi mi się... Tata, daj tablet! – Mam dosyć, daję, żona schowała, daje, że nasze dziecko jest już uzależnione. Synek pochyla się nad tabletem i mam spokój.

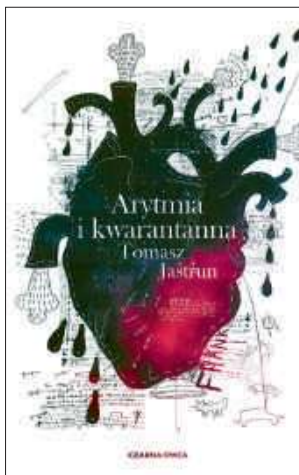
Wraca Kryśka, chowamy w popłochu tablet. Cieszę się, że jest już w domu. Mam piękną żonę, oszołomiła mnie jej uroda, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, nadal oszałamia, jestem estetą, sprzedałbym duszę za piękno. Jest miła i łagodna. Nigdy się nie kłócimy. Anioł. Czasami sam sobie jej zazdroszczę. Niebieskie oczy, jasne

Każdy boi się instynktownie, że zostanie zostawiony na pastwę nicości, która przyczajona, cierpliwie na nas czeka.

pszenne włosy, nie ma jednak w jej urodzie nic banalnego, skrzyżowanie urody polskiej ze skandynawską. Nos zadarty, nieznacznie, na tyle jednak, że stanowi wyzwanie w jej twarzy. Usta nie za wąskie, nie za grube, ładnie zarysowane, jakby z serduszkami w środku. Doteczek w brodzie. Tak, ma coś dziecinnego w twarzy, jest zgrabna i szczupła. Jedno i drugie dla mnie ważne. Szczupłość kobiety mnie podnieca, obfite mnie nie pociągają. Odzyskała szybko płaski brzuch po

Arytmia

**Szczęście to dla
pisarza nieszczęście
– mówi bohater
opowiadania
Tomasza Jastruna**



urodzeniu Krzysia. Za to ja złapałem mały brzusek, oczywiście do likwidacji, likwiduję go od roku, bezskutecznie, lubię słodycze. „A mi to nie przeszkadza” – śmieje się żona. „Ale mi przeszkadza” – mówię. Jak większość próbujących schudnąć, odchudzam się codziennie od jutra. Więc jeszcze dzisiaj zjem na deser ulubiony sernik z rodzynkami. Kupiłem go, wracając z siłowni, są różne serniki, dla mnie musi być gęsty ser, nieco wilgotny

i oczywiście rodzynki. Jak jem słodycze, zawsze myślę o seksie, jakby te dwie przyjemności były ze sobą połączone. Kryśka zdaje się zatroskana, nie chce powiedzieć dlaczego, mówi, że to tylko zmęczenie, ale ja wiem, że coś ją gryzie. Na pewno nie nasz związek, jest idealny. A tyle wokół katastrof małżeńskich, aż szumi od rozwodów, latają rondle, patelnie, krzyczą tłuczone talerze, dochodzi do fizycznej przemocy, dotyczy to czasami ludzi, którzy do tej pory nie

potrafili skrzywdzić muchy. U naszych dalszych sąsiadów ona podbiła mu oko, a on jej przydzwonił pięścią, upadła i rozcięła sobie głowę, była policja. Tacy sympatyczni, kulturalni ludzie, z bliźniakami.

Wiadomość od Marzeny, ma ochotę na seks, chce się spotkać. Kiedy? Natychmiast. Mąż nagle wyjechał. Jak się wyrwać z domu? Nie znoszę kłamać. Od kłamstwa od razu boli mnie głowa. Żona nie jest zazdrosna, nie jest podejrzliwa, to jedna z jej licznych zalet. Ja też nie jestem o nią zazdrosny, to łatwe, jest urodzoną monogamistką. Myśl, że mogłaby mnie zdradzać, nawet ekscytuje. To byłby erotyczny cud. Nie wierzę w cuda. Mój kolega tak zadręczał cnotliwą żonę zazdrością, że zaczęła go zdradzać, z rozpacz, zdawało jej się, że nie ma już nic do stracenia, a miała, bo skończyło się rozwodem. Zdrada to straszna rzecz, jakby matka zostawiała małe dziecko na pastwę nicości. Zdrada mówi: „Jesteś nikim. Zginiesz”. Zostawiła mnie pierwsza dziewczyna, nie kochałem jej, a i tak krążyłem wtedy po mieszkaniu i zastanawiałem się, gdzie się powiesić. Nie powiesiłem się, nie znalazłem odpowiedniego miejsca. Każdy boi się instynktownie, że zostanie zostawiony na pastwę nicości, która przyczajona, cierpliwie na nas czeka. Nie mam osobistych dramatów, więc szukam metafizycznych, a te małe są przecież niezbędne pisarzowi. Pewnie stąd moje przygody z kobietami. Masaż płciowego wzrostka jest masażem mózgu. Nie ma artysty bez masażu mózgu. Sztuka jest przepustką do niewierności.

Wymyśliłem, że wieczorem mam spotkanie z kolegami z klasy, czasami się spotykamy, żeby popatrzeć, jakie zmiany poczynił w nas czas.

– Takie spotkania inspirują mnie metafizycznie – mówię.

– Gdzie macie spotkanie? – pyta Krystyna.

Nie byłem przygotowany na takie pytanie, kręcę, w końcu wymyślam:

– W kawiarni Nowy Świat. – Kiwa głową, jakby spodziewała się, że właśnie tam.

Marzena mieszka w centrum, trzeba mieć szczęście, by znaleźć miejsce na parking. Mam jak zwykle szczęście. Portier mi się kłania, mam wrażenie, że patrzy na mnie

z zazdrością. Nie jadę windą, wbiegam na szóste piętro. Uspokajam oddech, zanim zapukam. Domyśla się, że już jestem, i ostrożnie uchyla drzwi jak poły szlafroka.

Oszałamia mnie jej młodość, jej uroda, zwiewność i przytulność. Oddycham nią. Ona też jest luksusowa jak ta kamienica i apartament.

– Ładnie pachniesz – mówi. – Co to za perfumy?

Nie mam osobistych dramatów, więc szukam metafizycznych, a te małe są przecież niezbędne pisarzowi.

– Takie tam, nowe... – Jestem speszony, bo to perfumy od żony.

Kilka par męskich butów stoi w korytarzu, jedno jasnobrązowe mają wywalony jęzor, odebrałem to osobiście. Łażę i obwąchuję mieszkanie jak drapieżnik, wszędzie ślady jej samca. W salonie idealny porządek, on ma manię czystości. Tacy ludzie nie wybaczą innym najmniejszej plamki. A ja zbrukam ten dom i mam z tego jakąś obrzydliwą satysfakcję. Podniosę nogę i naznaczę go sobą. Obrazy na ścianach to też jego wybór, zna się na malarstwie. Ona za to prawie na niczym się nie zna, ale jest mistrzynią seksu oralnego. Facet, który obdarza ją swoim nasieniem, może się czuć jak danie w pięciogwiazdkowej restauracji. Moja żona, nigdy w życiu. To jej jedyna wada.

Łóżko w pokoju gościnnym czeka, Marzena nie chce pokalać małżeńskiego. Jakieś szczątki skrupułów. Ale to jest za wąskie, wymaga, by się do niego dostosować, a ja nie toleruję takich ograniczeń. Nasz seks ma jak anioł rozłożyste skrzydła. Dlatego zwykle zaczynamy od łóżka, a potem przenosimy się na dywan.

– Jak spotkanie klasowe? – pyta żona.

– Czas robi swoje, powoli, ale robi... – mówię prawdę i kłamię.

– Kogo nadgryzł najbardziej?

Mogłaby mi dać spokój, zwykle mam bujną wyobraźnię, ale teraz głowa pełna Marzeny.

– Kogo? Czy ja wiem, wszystkich po trochu, może Kasia najbardziej ucierpiała?

– A mówisz, że to spotkanie z kolegami.

– Dziewczyny też były. – Płacę się, od razu boli mnie głowa od

kłamstw, a puls bije szybciej, wykrywacz kłamstw zdekonspirowałby mnie od razu, albo podejrzliwe oko kobiety, ale Krysia ufa mi bezgranicznie. Pisarz, który nie potrafi kłamać, jest jak złodziej, który nie umie kraść. Poczułem, że jestem łajdakiem. Nie takim wielkim, małym. Wielkie łajdactwa są zawsze cudze, nasze są małe, bo własne i oswojone, niemal serdeczne. Nie brzydzimy się nimi

i nic dziwnego, skoro nie brzydzimy się nawet własnych wydzielin, chociaż cudze napętniają nas taką odrazą.

Na szczęście dzwoni Stefan, kolega, malarz. Byłem niedawno na jego wystawie. Nie rozumiem tego, co maluje, ale jest ceniony, więc przez naśladownictwo też go cenię. Czy wiele karier to nie owczy pęd opinii? Przypomniał sobie, że były moje urodziny. Składa życzenia, miło z jego strony, mówi grobowym głosem: „Jestem od ciebie starszy o kilka lat i musisz wiedzieć, że to nie jest bezkarne mijać czterdziestkę, zaczyna się zahaczać kołem o poboczne, w każdej chwili można wpadnąć do rowu, zaraz sypnie ci się zdrowie, różne nieszczęścia lepić się

Sztuka jest przepustką do niewierności.

będą jak muchy do miodu” – więc robi mi się grobowo. Żegnamy się. On serdecznie, ja z myślą: czy on na pewno dobrze mi życzy?

Czas spać. Kładę się obok żony, przysypia, musi wcześniej wstać. Całe szczęście, seks tej nocy byłby niemoralny. Jej tydka wystaje spod kołdry, na niej mały tatuaż, kwiatek w secesyjnym stylu. Zaskoczyła mnie rok temu, kiedy przyszła z nim do domu. Trochę się wstydziła swojej odwagi. Wstydzi się z wdziękiem. Ma coś z kota, wszystko robi z wdziękiem. Nie mogę zasnąć. Wstaję, wkładam dres i siadam do komputera.

Przyszedł kwadrans wcześniej, zajął stolik w głębi, zawsze tak siadał, by mieć przed sobą całą salę i wejście. Tak czuł się bezpieczniej. Był z natury podglądaczem, obserwował ludzi, pożerał ich wzrokiem. Ludzie czasami

dostrzegali jego żartoczność i odczuwali niepokój, czy im czegoś nie zje. Gdyby go spytali, odpowiedziałby szczerze: „Chcę wiedzieć o was wszystko. Potrzebne mi to do książki”. „Ale my sami o sobie nie wiemy zbyt wiele” – obruszyliby się. Odpartby: „To prawda, jesteśmy za blisko siebie, by wiele zrozumieć, dlatego ktoś z boku może zobaczyć więcej. Ja wiem o was więcej od was”.

Nie mam jednak melodii, by dalej pisać. Tak, do pisania potrzebna jest wewnętrzna muzyka i jej fale. Wertuję internet, jest recenzja z mojej nowej książki. Przeczytam jutro. Lubię odkładać przyjemność na później. Kładę się, Krysia śpi głęboko, po jej czole płyną sny jak chmury. Tydka nadal wystaje spod kołdry, naga i bezbronna jak niemowlę.

Budzę się. Dzisiaj nie ma słońca. Żona w pracy, Krzys w przedszkolu. Mój laptop śpi na stole. Sąsiad krząta się w ogródku. U młodych, tych z domu po lewej, nagły ruch, ona wychodzi do ogrodu w białym szlafroku, mokre włosy w strąkach oplatają jej ramiona, brała pewnie przed chwilą prysznic, mam wrażenie, że czuję zapach szamponu i jej urody. Szkoda, że nie mogę się do niej przytulić na dzień dobry. Zbieram piżamkę synka rozrzuconą na dywanie. Prysznic. Mam czterdzieści

lat i dwa dni. Siadam do komputera. Piszę listy, wchodzę w nową prozę, zaplątuję się we własne słowa, wycofuję się ze zwieszoną głową. Mojemu bohaterowi powinno się zdarzyć jakieś nieszczęście. Jak nudne i jałowe jest szczęście. Szczęście to dla pisarza nieszczęście.

Fragment książki Tomasza Jastruna *Arytmia i kwarantanna*, Czarna Owca, Warszawa 2021

Polecamy też najnowszy zbiór wierszy Tomasza Jastruna *Przed zmierzchem*, z wyborem 130 utworów, który ukazał się nakładem wydawnictwa Literackie M2.





✉ Z dużych piekarni też dobry chleb

Jako prezes Stowarzyszenia Producentów Pieczywa, które powstało przede wszystkim z myślą o popularyzowaniu spożycia pieczywa dobrej jakości, ale też dyrektor zarządzający jednej z największych piekarni w Polsce, jestem dumny z naszych

produktów, dlatego chciałbym odnieść się do konkretnych wypowiedzi zawartych w artykule „Nie z każdej mąki dobry chleb” (PRZEGLĄD nr 43), które dotyczą standardów obowiązujących w dużych piekarniach, oraz jakości pieczywa, które wypiekamy.

Duże piekarnie MUSZĄ kupować – ze względu na jakość swoich produktów, proces technologiczny oraz oczekiwania klientów mąkę – TYLKO mąkę wysokiej jakości, z polskiego zboża. Użycie mąki o słabych parametrach, bez pełnej transparentności co do jej jakości czy pochodzenia, byłoby nie tylko nieuzasadnione ekonomicznie ze względu na jakość produktów, poziom strat, ale i niezgodne z kontraktami wymagającymi np. identyfikowalności surowców, szczególnie mąki. Oznacza to, że młyn jest zobowiązany do podania pełnej informacji, z jakiej partii ziarna, od jakiego rolnika powstała dostarczona mąka. Każda partia podlega także regularnym kontrolom wewnątrz i w niezależnych laboratoriach, zarówno po stronie młyna, jak i w piekarni.

Dzięki nowoczesnym młynom i systemowi niezależnych audytów krajowa mąka nie odbiega w niczym od mąk zagranicznych. Potwierdza to także prawie dwukrotnie większy eksport mąki niż import. A cena polskiej mąki eksportowanej jest o prawie 50% większa niż tej pochodzącej z importu.

Trudno nawet odnosić się do podanych w artykule, nierealnych od dziesięcioleci, rzekomych cen mąki dla dużych piekarni. Ich poziom jest ponad trzy-cztery razy wyższy.

Kolejna kwestia to sugerowanie, że nasze pieczywo zawiera spulchniacze i konserwanty. Pieczywo do wypieku nie zawiera żadnych spulchniaczy ani konserwantów, bo proces produkcji nie wymaga ich stosowania (spulchnienie uzyskiwane jest z zakwasu i drożdży), a mrożenie zapewnia odpowiedni poziom bezpieczeństwa mikrobiologicznego, czyli m.in. ochronę przed pleśniami, grzybami i bakteriami. Zgodnie z obowiązującym prawem w procesie produkcji pieczywa nie mogą być wykorzystywane żadne barwniki.

Cytowany w artykule pan piekarz twierdzi, że „w dużych piekarniach chleb powstaje w cztery-sześć godzin”. To kolejny mit. Pieczywo z dużego zakładu wytwarza się tak samo jak pieczywo rzemieślnicze. Różnica polega na tym, że część pracy ludzkich rąk została zastąpiona przez maszyny. Jakość naszego pieczywa potwierdziły badania Instytutu Żywności i Żywienia. Tak więc nie skala produkcji, ale jakość pieczywa jest kluczowa. (...)

Naszą intencją nie było i nigdy nie będzie dzielenie piekarzy na lepszych i gorszych, małych czy dużych. Celem jest promocja dobrego pieczywa o przejrzystym składzie i przywrócenie jego miejsca jako niezbędnego elementu naszej diety. Takie pieczywo wypiekane jest w naszych zakładach, powstałych w większości z polskich, rodzinnych piekarni, których potomkowie i tysiące pracowników z dumą kultuwują dawne tradycje. Dlatego tak zależy nam, aby Państwa czytelnicy mieli wybór i dostęp do pełnej informacji, tak jak mają możliwość wyboru ulubionego pieczywa ze sklepu czy piekarni.

Waldemar Topolski,
prezes Stowarzyszenia Producentów Pieczywa

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Zmęczone słowa

Jakieś 15 lat temu, kiedy jeszcze byłem pisarzem używanym, choć już czułem się zużyty, powiedziałem w jednym z wywiadów, że „słowa mi się zmęczyły”. Chodziło nie tylko o kryzys twórczy, ale i o coś w rodzaju depresji języka, bezradnego wobec naporu tromtadrackiej nowomowy państwa PiS. Pierwsza fala kaczyzmu przetrwała u władzy ledwie dwa lata, obecna trwa już sześć i końca nie widać. Czytam tytuł wywiadu z reżyserką Barbarą Wysocką przy okazji premiery „Cyganerii” i mam *déjà vu* – „Słowa mi się wyczerpały”, mówi, a chwilę później dopowiada: „Straciłam zdolność nazywania świata”. Co prawda, na tę bezmowność artystki wpłynęły nade wszystko osobiste tragedie (jej bliscy umarli na covid), ale dławi ją też obecna strategia rządu wobec pandemii, a także sytuacja na granicy polsko-białoruskiej.

No właśnie, tu język zaczyna drętwieć: jaka to „sytuacja”? Albo inaczej – jakie jest usytuowanie nieszczęśników, którzy swoją ucieczkę do lepszego świata zakończyli na splachetku ziemi pomiędzy szeregami uzbrojonych służb? Otóż są to istoty poza światem, tak upchane na linii mapy, żeby były nigdzieś, wyjęte spod prawa człowieka, do życia, ale i godnej śmierci; oni się nie znaleźli w żadnej sytuacji, bo nie mają wyjścia, są zgubieni. Stają mi w gardle ich kości – te, które pozostaną w lesie po umarłych, zjedzonych przez dziką zwierzynę do piszczeli, a potem doczyszczonych przez mrówki. To nie zwłoki (takie w naszej cywilizacji domagają się pochówku), to ludzka padlina, wobec niej biedni Polacy patrzący na Usnarz mogą zachować zimną krew. A zatem sytuacja *nomen omen* graniczna rozwiąże się sama – najpierw zima zrobi swoje, a potem przyroda zagospodaruje szczątki, nie ma się czym przejmować, wszak w niej nic nie ginie.

Ulegając chorobliwej wierności kibicowskiej, wybrałem się na mecz ukochanej drużyny pomimo ziąbu śnieżycy. W niecałe dwie godziny przemarzłem do szpiku, ale teraz nie mogę już marznąć ot tak sobie, teraz każdy dreszcz wyziębionego organizmu przywołuje na myśl tych ludzi tam, w śmiertelnym potrzasku, którym kazano umierać z zimna. Do Niemiec udało się dotrzeć 10 tys. uciekinierów, wszyscy zapamiętają Polskę jako piekło, przez które przedarli się cudem, narażeni

na szmalcowników, kibolskie patrole i – w najgorszym przypadku – na żarliwych katolików. Wedle policji 90% zatrzymań to efekt donosów naszych rodaków. Tak, słów brakuje, język jest zbyt wyczerpany, aby nazwać to, co wypęzło z Polaków. Zamiast fraz układają mi się parafrazy: Polska jest koszmarem, z którego próbuję się obudzić.

Krytycy filmowi zaczynają właśnie ogłaszać swoje listy najlepszych tegorocznych premier; dla mnie film roku właśnie się pojawił w sieci. To króciutka, ledwie półtoraminutowa reklama społeczna w ramach kampanii „Współczucie nie może mieć granic” autorstwa Łukasza Korczaka i Jakuba Burakiewicza. Tu nie ma czego streszczać, to trzeba zobaczyć. To także bardzo prosty i darmowy test na człowieczeństwo: zostawia widza sam na sam z jego emocjami, nawet najbardziej zaczadzonego psychopata go zrozumie i zaskoczony puentą będzie człowiekiem, choć przez chwilę, zanim przypomni sobie, że nade wszystko jest Polakiem.

Do Niemiec udało się dotrzeć 10 tys. uciekinierów, wszyscy zapamiętają Polskę jako piekło, przez które przedarli się cudem.

Nie żebym się wykiwał od pełnometrażowych zachwyty, proszę bardzo: w mojej dziesiątce roku na pewno wysokie miejsce zajmie „Berlin Alexanderplatz”, nowa, swobodna adaptacja słynnej powieści Alfreda Döblina. Wyreżyserował ją Burhan Qurbani, potomek afgańskich imigrantów, a w jego wersji Franz Biberkopf jest Francisem, czarnoskórym uchodźcą z Gwinei Bissau, który już w prologu filmu traci w morskiej topieli kobietę życia. Dotąd jeszcze filmowcy opowiadający o tragicznych losach uciekinierów z Trzeciego Świata kojarzyli ich śmiertelne zagrożenia z żywiołem wody; pozwolę sobie mniemać, że niebawem usiane trupami plaże śródziemnomorskiej Europy zastąpią nasze ojczyste puszcze. Gdzie w kniejach i dąbrowach uchodźca wciąż się chowa. My go znajdziemy sami, my, chłopcy z dziewczętami. A wtedy, daję słowo, że będzie kolorowo.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

OLEJ PALMOWY: CZY BOJKOT MA SENS?

Jeżeli zrezygnujemy z oleju palmowego, to będziemy musieli wielokrotnie zwiększyć obszar upraw innych roślin oleistych

Rozmawia Paula Leśniewska

Jak powstaje olej palmowy?

– Źródłem oleju palmowego jest palma olejowa, którą botanicy fachowo nazywają olejowcem gwinejskim. Ta roślina pochodzi z Afryki Środkowej, gdzie jest uprawiana od kilku tysięcy lat. Palma olejowa ma nieduże owoce, mniej więcej wielkości śliwki, z pestką w środku i miąższem na zewnątrz. Do wytwarzania oleju palmowego wykorzystuje się jedno i drugie. Miąższ jest pomarańczowy, więc dopóki olej z niego nie zostanie poddany rafinacji, również jest pomarańczowy i zawiera karotenoidy. Natomiast olej tłoczony z pestki jest żółtawy. W większości olejów roślinnych poziom kwasów tłuszczowych nasyconych wynosi maksymalnie kilkanaście procent, natomiast olej tłoczony z pestek palmy olejowej w ok. 80% składa się z tych kwasów, a olej z miąższu w ok. 50%.

Czym to skutkuje?

– Przede wszystkim wpływa na właściwości fizyczne i chemiczne oleju palmowego. Przez to trudno go zastąpić. Żeby inne oleje roślinne miały podobne właściwości, trzeba je w jakiś sposób przetworzyć.

To dlatego olej palmowy jest tak popularny?

– Między innymi. Jest tani i dobrze miesza się z innymi olejami roślinnymi. Jest prawie wszędzie – w słodyczach, wypiekach, słonych przekąskach, wszystkich daniach typu *fast food*. W produktach spożywczych odgrywa rolę naturalnego konserwantu. Oprócz tego, właśnie ze względu na dużą ilość

kwasów tłuszczowych nasyconych, podwyższa temperaturę topnienia lodów. Ale to niejedyna przyczyna popularności oleju palmowego. Mniej więcej od lat 70. XX w. jego produkcja rośnie.



DR MONIKA MĘTRAK

– Instytut Biologii Środowiskowej,
Wydział Biologii UW

Dlaczego?

– W latach 90. XX w. pojawiły się pierwsze badania naukowe, które mówiły, że nienasycone kwasy tłuszczowe typu trans, które powstają przede wszystkim w procesie utwardzania płynnych olejów roślinnych, mają negatywny wpływ na zdrowie. Pod presją społeczną firmy zaczęły usuwać tłuszcze trans ze swoich produktów. W odróżnieniu od innych olejów roślinnych oleju palmowego na ogół nie trzeba poddawać procesowi utwardzania. Ma on tak dużo nasyconych kwasów tłuszczowych,

że nawet nieutwardzony ma konsystencję właściwą do większości zastosowań kulinarnych. Nawet jeżeli trzeba go dodatkowo utwardzić, łatwo można szkodliwe tłuszcze usunąć, nie zmieniając właściwości produktu. Między innymi dlatego stał się tak popularny. Warto jednak dodać, że nadmierne spożywanie tłuszczów nasyconych może mieć negatywny wpływ na zdrowie.

Olej palmowy znajduje się nie tylko w żywności, lecz także w wielu kosmetykach.

– Stało się to m.in. za sprawą choroby szalonych krów, która zaatakowała zwierzęta w Wielkiej Brytanii w latach 90. XX w. Od tego momentu zaczęto szybko odchodzić od składników odzwierzęcych w kosmetykach. Kiedyś dodawano do nich tój zwierzęcy, a żeby go zastąpić, zaczęto używać oleju palmowego, który ma podobne właściwości. To sprawiło, że olej palmowy zdominował rynek i spożywczy, i kosmetyczny. W tej chwili globalnie zużywamy ok. 70 mln ton oleju palmowego rocznie, co daje średnio 8 kg oleju palmowego rocznie na osobę. Przy czym dla Unii Europejskiej średnia jest trochę wyższa – ok. 10 kg rocznie na osobę.

Od kilku lat mówi się o tym, jak uprawy palmy olejowej niszczą środowisko. Wiele osób nie kupuje produktów z olejem palmowym.

– Palma olejowa może być uprawiana na stosunkowo niewielkim obszarze – 10 st. geograficznych na północ i 10 st. na południe od równika. Dokładnie w tym pasie rosną tropikalne lasy deszczowe. To miejsca, które charakteryzują się wielką różnorodnością biologiczną. Szacuje się, że połowa wszystkich

organizmów żywych występujących na Ziemi żyje właśnie tam.

Jednak olej palmowy jest potrzebny.

– Tak. I tu mamy problem: na tym samym terenie z jednej strony mamy fantastyczny, bardzo różnorodny ekosystem, a z drugiej prowadzone są tam uprawy palmy olejowej, soi, powstają pastwiska, pozyskuje się cenne drewno z drzew tropikalnych.

zmagazynowany w osadach organicznych na tysiące lat.

Lasy deszczowe ciągle stoją w ogniu – mówi się, że to wina rozrastających się plantacji roślin i pastwisk.

– Często są to celowe podpalenia, ponieważ ogień jest najtańszą metodą wylesiania. Jeżeli przesuszeniu ulegnie las, który rośnie na torfach, i wybuchnie tam pożar, ogień nie

– W momencie kiedy zaczynają ginąć poszczególne gatunki, dochodzi do zagrożenia integralności danego ekosystemu. Organizmy tworzące ekosystem łączy sieć różnicowanych powiązań, dotyczących np. zdobywania pokarmu, ale nie tylko. Jeżeli z ekosystemu zaczną znikać gatunki, zwłaszcza takie, które mają dużo powiązań z innymi, równowaga się załamie. Wymieranie jednego gatunku pociągnie za sobą wymieranie kolejnych.

Co pani myśli o bojkocie oleju palmowego?

– Jak mówiłam, ekosystem jest siecią bardzo różnicowanych powiązań, z których często nie zdajemy sobie w pełni sprawy. Podobnie jest na styku społeczeństwa, ekonomii i przyrody. Takie nieoczywiste powiązania sprawiają, że bojkot oleju palmowego, którego potrzebę czujemy sercem, patrząc na zniszczenia powodowane przez uprawy

Olej palmowy jest w słodyczach, wypiekach, słonych przekąskach, daniach typu fast food. Odgrywa rolę naturalnego konserwantu.

Palma olejowa nie jest jedyną przyczyną wylesiania lasów deszczowych, ale niestety jedną z głównych. **Co się dzieje, gdy wycinamy lasy deszczowe?**

– Zaburzone zostają lokalne stosunki temperaturowe i wodne. Wylesiony teren zaczyna dużo mocniej się nagrzewać, intensywniej paruje, więc się przesusza i wzrasta ryzyko pożaru. Oprócz tego wycinanie lasów deszczowych na dużą skalę wiąże się ze zmianami globalnych stosunków wodnych, ponieważ wszystkie lasy, a tropikalne w szczególności, wciągają i odprowadzają wodę z głębszych pokładów gleby. Dzięki temu w atmosferze tworzą się „strumienie” pary wodnej, które z prądami powietrza są transportowane w bardzo odległe miejsca, gdzie spadają w postaci deszczu. Jeżeli przekroczymy punkt graniczny i wytniemy za duży obszar lasów deszczowych, zaburzymy cały globalny obieg wody. I wtedy stanemy przed problemem suszy, a więc kryzysem w rolnictwie.

A co z wychwytywaniem dwutlenku węgla przez lasy deszczowe?

– Drzewa, tak jak wszystkie rośliny fotosyntetyzujące, wiążą

tylko strawi korony drzew, ale gdzie też w głąb osadów. Torf pali się znakomicie, więc takiego pożaru praktycznie nie da się ugasić. Powstają przy tym gigantyczne ilości dymu, który ma skład podobny do smogu. W tym dymie znajdują się m.in. pyły zwieszone, metale ciężkie i wielopierścieniowe węglowodory

Rocznie globalnie zużywamy 70 mln ton oleju palmowego.

aromatyczne, np. rakotwórczy benzopiren. Tu warto przypomnieć, że część obszarów tropikalnych jest gęsto zaludniona. W sezonie wzmożonych pożarów miejscowi często mówią, że czują się, jakby oddychali oparami z grilla.

Co ze zwierzętami? Jaki wpływ mają uprawy palmy olejowej na lokalną faunę?

– W lasach tropikalnych mieszka wiele gatunków rzadkich, których zasięgi występowania ograniczone są do tego właśnie ekosystemu. Wycinanie lasu powoduje, że te gatunki tracą siedliska i stopniowo wymierają. Nawet jeśli nie zniszczymy

palmy olejowej, może się okazać przeciwnie.

Dlaczego?

– Jak mówiłam, globalnie zużywamy ok. 70 mln ton oleju palmowego. Jeśli powiemy stop uprawie palmy olejowej, te 70 mln ton oleju roślinnego skądś będziemy musieli wziąć. Potencjalne zastępniki to przede wszystkim olej sojowy, rzepakowy, słonecznikowy i kokosowy. Ale jest haczyk – palma olejowa to najbardziej wydajna roślina oleista, jaką znamy. Z jednego hektara uprawy w ciągu roku dostajemy prawie 4 tony oleju. Dla porównania soja, palma kokosowa i słonecznik dają poniżej 1 tony oleju z hektara rocznie. Jeżeli zrezygnujemy z uprawy palmy olejowej, będziemy musieli wielokrotnie zwiększyć obszar upraw innych roślin olejowych. Już ta prosta kalkulacja zmusza do zastanowienia się nad skutkami bojkotu oleju palmowego.

Nie mówiąc o ludziach, którzy pracują przy produkcji oleju palmowego. Zostaliby bez środków do życia.

– W tym momencie przy produkcji oleju palmowego pracuje ok. 6 mln osób, z czego 2 mln to ludzie, dla których ta praca jest jedynym źródłem dochodu. Trzeba zapewnić tym

Palma olejowa jest najbardziej wydajną rośliną oleistą, jaką znamy.

go z powietrza i przetwarzają na związki organiczne, które budują ich biomasę. Dzięki temu rośliny są żywymi magazynami dwutlenku węgla. Po śmierci rośliny jej biomasę stopniowo się rozkłada, uwalniając dwutlenek węgla. Natomiast w przypadku lasów tropikalnych, które rosną na torfach, węgiel związany w biomasie roślin może zostać

miejsca występowania jakiegoś gatunku całkowicie, ale podzielimy teren na zbyt małe, niepołączone ze sobą fragmenty, również może się okazać, że gatunek nie będzie mógł przetrwać. Chociażby dlatego, że osobniki nie znajdą partnera do rozrodu lub nie zdobędą pokarmu.

Czym grozi utrata bioróżnorodności?

► osobom jakieś źródło utrzymania, możliwość przekwalifikowania się. W państwach, które produkują olej palmowy, pieniądze z jego sprzedaży stanowią ważny element PKB. Finansuje się z nich drogi, szpitale, szkoły, nawet ochronę przyrody, co dobrze pokazuje nieoczywiste powiązania.

Lepiej więc pozwolić uprawom palmy olejowej rozrastać się?

– Nie. Wyobrażam sobie, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zmniejszenie konsumpcji olejów roślinnych. W naszym świecie konsumpcja jest niezwykle rozbuchana – produkujemy znacznie więcej, niż jesteśmy w stanie przetworzyć. System zmusza nas do szybkiej wymiany rzeczy, które posiadamy. Ten konsumpcjonizm trzeba ograniczyć w każdej dziedzinie. Zmagamy się z tym problemem co najmniej od lat 70. XX w., kiedy ukazał się raport Klubu Rzymskiego „Granice wzrostu” o limitach środowiskowych. Zasoby planety nie są niewyczerpane, mimo to konsumpcja rośnie.

Czy da się jakoś ograniczyć straty spowodowane przez uprawy palmy olejowej?

– Częściowym rozwiązaniem jest certyfikacja upraw, a nawet całego łańcucha dostaw oleju palmowego. Takich systemów certyfikacji istnieje już kilka – niektóre są państwowe, inne tworzone przez organizacje pozarządowe. Z inicjatywy WWF

powstał system RSPO (Roundtable on Sustainable Palm Oil). Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody uznaje certyfikat RSPO za najkorzystniejszy ze wszystkich dostępnych, jeżeli chodzi o ochronę różnorodności biologicznej. Sama należę do rady naukowej Polskiej Koalicji na rzecz Zrównoważonego Oleju Palmowego (PKZOP), która wspiera i monitoruje wprowadzanie na polski rynek oleju palmowego certyfikowanego przez RSPO.

Przy produkcji oleju palmowego pracuje ok. 6 mln osób, z czego dla 2 mln ta praca jest jedynym źródłem dochodu.

Jak działa certyfikacja?

– Producent, który chce uzyskać ten certyfikat, musi spełnić wiele wymagań. Po pierwsze, certyfikacja RSPO mówi, że trzeba jak najbardziej ograniczyć wycinanie pierwotnej puszczy tropikalnej. Natomiast na już istniejących plantacjach należy zmaksymalizować uprawy, ale tak, by nie doprowadzić do zanieczyszczenia wody i gleby oraz żeby ograniczyć erozję gleby. Ewentualne decyzje o wylesieniu podejmuje się na podstawie konsultacji z naukowcami i lokalnymi mieszkańcami. Zabronione jest wylesianie metodą wypalania i na torfowiskach. RSPO dba także o godne warunki pracy na plantacjach palmy olejowej.

Mimo to ma pani obiekcje.

– Żadna certyfikacja nie jest idealna. W krajach, w których palma olejowa jest uprawiana, stała się ona w dużej mierze sprawą polityki, bo tak jak mówiłam, z plantacji płyną pieniądze. W związku z tym zdarza się, że audytorzy, którzy przyznają certyfikaty, są poddawani silnej presji ze strony polityków czy dużych korporacji, co może rzutować na decyzje o przyznaniu stosownych zaświadczeń. Niestety, certyfikacja

jest trochę jak plasterki naklejane na głęboką ranę, ale jest to rzecz, którą można zrobić realnie, i moim zdaniem to najlepsze z dostępnych obecnie rozwiązań.

Rzadko widuje się certyfikaty zrównoważonego oleju palmowego na opakowaniach.

– Tłumaczenie tak złożonej sytuacji klientom to trudna sprawa, wobec tego wiele firm rezygnuje ze stosowania oleju palmowego. Niezależnie od tego, jak podaje WWF, w tej chwili na rynku polskim 81% oleju palmowego używanego w żywności to olej certyfikowany. Jeżeli chodzi o kosmetyki, 59% oleju palmowego ma certyfikat, a w kategorii „inne zastosowania” (czyli np. pasza dla zwierząt) 27% oleju jest certyfikowane.

Czy kampanie związane z bojkotowaniem oleju palmowego wpływają na jego sprzedaż?

– Wydaje się, że tak. W 2020 r. import oleju palmowego do Polski nieco się zmniejszył w stosunku do poprzednich lat. Można to tłumaczyć pandemią, ale import pozostałych olejów roślinnych w tym czasie nieco wzrósł. Być może ten spadek to efekt wycofywania się firm ze stosowania oleju palmowego za sprawą presji konsumentów. Jeżeli tak, to sygnał, że presja konsumencka rzeczywiście może coś zmienić. Pytanie, czy to dobry kierunek. Zachęcam do zastanowienia się nad kwestią bojkotu oleju palmowego. Mamy do czynienia z wieloaspektowym zagadnieniem, a sprawa jest bardziej zwiła, niż się wydaje.

Paula Leśniewska

p.leśniewska@tygodnikprzeglad.pl



Dominika Tworek

Młodzież strajkuje, politycy kombinują

Młodzieżowy Strajk Klimatyczny to ruch zainspirowany działalnością Greta Thunberg. Jest częścią globalnej inicjatywy Fridays for Future. Obejmuje kilkadziesiąt polskich miast, ma w nich od kilku do kilkunastu aktywistów. Grupa skupia się na organizacji dużych wydarzeń – strajków klimatycznych. Jej cel jest ogólny – sygnalizacja sprzeciwu wobec bierności polityków w obliczu katastrofy klimatycznej, choć każda z mobilizacji kieruje uwagę na odrębny aspekt walki ze zmianami środowiskowymi spowodowanymi działalnością człowieka.

Pierwszy strajk MSK we Wrocławiu odbył się w marcu 2019 r. W przemarszu przez miasto wzięło udział 1,5 tys. uczniów. Dwa miesiące później zorganizowano następny tak duży protest z hasłem: „Dostyc słów, teraz czynić”. Slogan odnosił się do ówczesnych wyborów parlamentarnych i miał przypomnieć politykom, że w sprawie klimatu potrzebne jest zdecydowane działanie. Kolejne zgromadzenie, które odniosło frekwencyjny sukces – tym razem pod hasłem „Wrocław dla sprawiedliwości klimatycznej” – miało miejsce we wrześniu 2020 r. i dotyczyło transformacji gospodarki, jednego z postulatów MSK. Młodzi krzykali do polityków, że ci muszą już teraz podjąć kroki prowadzące do redukcji emisji gazów cieplarnianych. Należy tego dokonać, respektując prawa i potrzeby wszystkich, których dotkną skutki zmian, szczególnie osób zatrudnionych w sektorach energetyki, rolnictwa, przemysłu i transportu.

W tym roku ogólnopolskie protesty odbyły się w trakcie szczytu klimatycznego COP26 w Glasgow. Młodzież pytała polityków: „Ile jeszcze COP-ów przed nami?”.

– Mamy za sobą 26 spotkań przywódców państw, a do tej pory nie podjęto właściwie żadnego konstruktywnego działania. Widać, że zachodzą jakieś zmiany, ale to bardzo mało w porównaniu z tym, co musi się zdarzyć, aby ochronić planetę przed wzrostem temperatury o 1,5 st. względem okresu przedprzemysłowego.

Pokojowo lub radykalnie dla planety

Młodzi ludzie w obliczu katastrofy klimatycznej sięgają po różne sposoby walki o przyszłość świata



Mariusz Mastosz z MSK Wrocław interesuje się środowiskiem, odkąd pamięta.



Mikołaj Płóciniczak zastąpił samotną blokadą jezdni w Lesznie.

Na poprzednich COP-ach dochodziło już do słusznych ustaleń, które później nie były wdrażane. Politycy mydlą nam oczy ładnymi słowami, za którymi kryje się nierzetelność. Przykładem jest tegoroczny szczyt w Glasgow, gdzie Polska usytuowała się jako państwo wciąż rozwijające się, a nie rozwinięte, po to by wydłużyć proces odejścia od węgla o 10 lat. I to w obliczu narracji rządu, że nasza gospodarka ma się świetnie! To pokazuje, jak traktowana jest polityka klimatyczna – mówi Mariusz Mastosz z MSK Wrocław.

Aktywista krytykuje działania partii rządzącej, ale nie tylko. Twierdzi, że kwestia ignorowania zmian klimatu dotyczy wszystkich graczy sceny politycznej: – Poczynania rządu są

niewystarczające, nieadekwatne do wagi problemu. Górnicy nadal są przekonywani przez władze, że będą mogli do końca świata kopać węgiel. Wiele elektrowni opartych na tym surowcu nadal nie ma daty zakończenia działania. Ale na poziomie lokalnym sprawa również nie wygląda dobrze. We Wrocławiu betonowane są olbrzymie powierzchnie, miasto likwiduje wiele terenów zielonych pod budowę kolejnych dróg. To absurd. W świecie kryzysu klimatycznego nie możemy sobie pozwolić na to, żeby miejsca naturalnej retencji wody, łagodzenia temperatur czy pochłaniania dwutlenku węgla z atmosfery były przerabiane na betonowe pustynie, które przyczyniają się do efektu miejskiej wyspy ciepła.



Młodzieżowy Strajk Klimatyczny to ruch zainspirowany działalnością Greta Thunberg.

Aktywiści Extinction Rebellion stawiają na radykalizm.

▶ Nie wystarczy gasić światło!

Dla maturzysty, który od dwóch i pół roku identyfikuje się jako aktywista klimatyczny, szczególnie ważna jest organizacja na szczeblu lokalnym. Dlatego na swoim osiedlu Mariusz utworzył inicjatywę Zielone Sołtysowice, która ma służyć ochronie przyrody przed dewastującymi ją inwestycjami miejskimi. Jest też radnym Młodzieżowej Rady Wrocławia oraz członkiem koalicji Wrocławskie Ochrona Klimatu, ale założył także ruch Akcja Wentylacja, skupiający się na działaniach przeciwko nadmiernej stężeniu gazów cieplarnianych w powietrzu.

Środowiskiem interesuje się, odkąd pamięta. Pochodzi z Helu, a we wczesnym dzieciństwie całymi dniami włóczył się po okolicznych plażach i lasach. Przeprowadzka do miasta nie osłabiła jego zamiłowania do dzikiej przyrody. Dziś prowadzi spacerów przyrodnicze po terenach zielonych. Przy okazji stara się uświadamiać wrocławian, że dbanie o tę dzikość jest jednym z warunków przeciwdziałania katastrofie klimatycznej.

O zmianach klimatu dowiedział się w szkole, choć długo nie miał pomysłu, co zrobić z tą wiedzą. Nauczyciele przekonywali, że wystarczy gasić światło i zakręcać wodę w kranie, ale czuł, że to nieprawda. Przełomem okazał się pierwszy wrocławski protest klimatyczny MSK. Wtedy zrozumiał, że jedynym skutecznym sposobem jest zmiana systemowa, a żeby do niej doszło, potrzebny jest udział społeczeństwa. 18-latek nie przekonuje mnie więc, że powinniśmy ograniczyć użycie plastiku,



razdziej robić pranie czy jeść więcej lokalnych warzyw. Zdaje sobie sprawę, że indywidualne postawy – nawet najbardziej chlubne – niewiele zmienia. Stawia więc na wywieranie presji na rządzących.

– Żeby to robić, nie trzeba należeć do ruchów aktywistycznych. Można przyjść na protest, podpisać petycję czy obywatelską inicjatywę uchwałodawczą. Ponieważ katastrofa klimatyczna ma wiele imion, potrzebujemy działania na różnych polach. To np. starania o bardziej przyjazny transport czy walka, aby planowanie przestrzenne było przyjazne i mieszkańcom, i środowisku. A także wsparcie psychologiczne dla osób, które doświadczają zespołu lęków klimatycznych – wylicza.

Mariusz przestrzega, że w świecie katastrofy klimatycznej będzie tylko gorzej. Ludzkość będzie się mierzyc z walką o podstawowe zasoby, choćby dostęp do wody. – Przez działania rządów znajdujemy się w tej chwili na kursie kolizyjnym z prawami fizyki. Niektórzy twierdzą, że nie można odejść od węgla, bo to się nie opłaca. Z tym że prawa ekonomii rozmiągają

się z prawami fizyki. Bo jeśli ta mówi, że niemożliwe jest dalsze czerpanie wody z rzeki, ponieważ tej wody tam fizycznie nie ma, to choćby było to nie wiadomo jak opłacalne, ta woda nie będzie czerpana. A politycy, którzy patrzą krótkowzrocznie, na długość swojej kadencji, bardzo często o tym zapominają. Nie zastanawiają się, co będzie za 20 lat, w jakim świecie przyjdzie żyć ich dzieciom – podsumowuje nastolatek.

Nieposłuszeństwo i radykalizm

Z kolei aktywiści Extinction Rebellion uważają, że tradycyjne podejście (składanie petycji, lobbing, głosowanie czy organizowanie protestów) nie skutkuje, stawiają na radykalizm. XR działa we Wrocławiu od ponad dwóch lat, a od miesiąca zaś jego młodzieżowy odłam – Extinction Rebellion Youth. Z 20-letnim Mikołajem Płóciniczakiem, aktywistą ruchu, nieprzypadkowo spotykam się przy ulicy Świdnickiej. To tutaj, w sercu miasta, dziewięć miesięcy temu miał miejsce jeden z najważniejszych protestów „rebeliantów”.

Grupa zablokowała ulicę. Dwójka aktywistów przypięła się do sygnalizacji świetlnej, a reszta złączyła się między sobą specjalnymi rurami, tak by nie dało się ich rozdzielić.

– Wydarzenie było związane ze strajkami kobiet. Aktywistka Extinction Rebellion postawiła wtedy rządzącym ultimatum: jeśli Polska już teraz nie wdroży działań dążących do neutralności klimatycznej, czyli redukcji gazów cieplarnianych do zera, nadejdzie rebelia. Ponieważ politycy zignorowali te żądania, w całym kraju odbyły się protesty pod hasłem „Czas na bunt”. Nasze akcje kierowane są w stronę działaczy sceny politycznej. Wymagamy od nich trzech rzeczy: mówcie prawdę, działajcie teraz i ponad polityką – tłumaczy Mikołaj.

W czerwcu aktywiści zorganizowali pod wrocławską elektrociepłownią happening, który odnosił się do biznesmenów lokujących kapitał w paliwa kopalne. „Kapitaliści” w garniturach oblewali krwią półnagie osoby, na których ciałach widniały hasła: „Prawda jest krwawa”, „Inwestycja w węgiel to ekobójstwo” czy „Zabijacie nas”.

Extinction Rebellion jest niesformalizowanym, niehierarchicznym ruchem, który działa „za pomocą pokojowych aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa”. Ich pierwsza akcja została przeprowadzona w 2018 r. w Wielkiej Brytanii i – trzeba przyznać – była spektakularna. Aktywiści zebraли się na londyńskim Parliament Square, gdzie wygłosili „deklarację rebelii” przeciwko brytyjskiemu rządowi. W następnych tygodniach tysiące buntowników zjechało do Londynu i zablokowało pięć głównych mostów na Tamizie. Na środku Parliament Square posadzono drzewa i wykopano dół, do którego złożono trumnę symbolizującą naszą przyszłość. Czytając list do królowej, działacze przykleili się do bram pałacu Buckingham. Odwaga Brytyjczyków zainspirowała obywateli 84 krajów.

– Jako aktywista czuję się zobligowany do tego, by powiedzieć rządzącym, żeby słuchali naukowców, co do których – jako społeczeństwo – uzgodniliśmy, że wiedzą lepiej. W tylu innych kwestiach opieramy się przecież na ich wiedzy. Bo nauka to najlepsze źródło poznania, które wynaleźliśmy jako ludzkość. A badania naukowe pokazują, że powinniśmy tu

i teraz walczyć z kryzysem klimatycznym – opowiada działacz.

Podkreśla też, że ze zmian przyrodniczych bezpośrednio wynikają zmiany polityczne: – Będą do nas napływać fale uchodźców klimatycznych. Ostatnia sytuacja na granicy polsko-białoruskiej to kropla w morzu w porównaniu z tym, co nadchodzi. Szczególnie zagrożone, ze względów klimatycznych i politycznych, są terytoria krajów globalnego Południa.

Indywidualne postawy, nawet najbardziej chlubne, niewiele zmienia. Trzeba wywierać presję na rządzących.

Mówimy o setkach milionów osób, które będą przybywały do miejsc mniej poszkodowanych, takich jak Europa.

Samotna blokada – strach i niedosyt

Mikołaj studiuje matematykę. Jego niezgoda na postępującą degradację środowiska zaczęła się od książki „Nauka o klimacie”. – To ciężka pozycja, przede wszystkim z powodu jej przekazu. Po lekturze postanowiłem coś zrobić. Instynktownie skupiłem się na sobie. Przeszedłem na weganizm, ograniczyłem używanie plastiku. Ale zdawałem sobie sprawę, że to niewiele zmienia. I pojawił się aktywizm, który też ewoluował. Do pewnego momentu myślałem, że chcę zrobić wszystko, co mogę, żeby potem nie narzekać, że już za późno. Ale im więcej dowiaduję się o zmianach klimatu, tym bardziej przekonuję się, że nie tylko chcę, ale muszę coś zrobić. I to nie wszystko, ale więcej niż wszystko. Jestem zmobilizowany – zapewnia.

Najważniejszym wydarzeniem w dwuletniej aktywistycznej historii Mikołaja była samotna blokada drogi w rodzinnym Lesznie. – Wybrałem pasy na drodze na ogromny wiadukt, obok którego mieszkałem. Kiedy skończyło się zielone światło, zablokowałem jeden pas szosy, w rękach trzymając transparent: „Przeraża mnie, że nie dożyję starości przez katastrofę klimatyczną”.auta zaczęły trąbić, padały wulgarne hasła. Jeden jadący z bardzo dużą prędkością samochód zahaczył lusterkiem o baner. Niesamowicie się bałem. Nie tylko uszczerbku na zdrowiu. Towarzyszył mi też strach

społeczny, co ludzie pomyślą. Zdaję sobie sprawę, że taka forma protestu jest utrudnieniem życia dla osób prowadzących auta. Ale nie widzę innego równie skutecznego sposobu manifestowania. W takich akcjach chodzi o rozgłos. Mają one sens wtedy, kiedy stają się medialne. Bo nie robię tego dla tych stu osób, które zobaczą mnie na ulicy. Zależy mi, żeby mój przekaz – poprzez media – dotarł do polityków – tłumaczy Mikołaj.

Mimo że blokada odniosła medialny sukces, 20-latek czuł niedosyt: – Po każdej akcji myślę, że można było zrobić coś więcej. Aktywizm jest uzależniający, czasami w negatywnym sensie, bo część osób ma przeświadczenie, że im odważniejszy będzie pomysł, tym bardziej medialny i szybciej uda nam się uratować świat. Ale tak nie jest i trzeba dbać o siebie, również o swoje zdrowie psychiczne, odpoczywać. Ostatnio głośno było o Australijczyku, który został skazany na rok więzienia za aktywizm klimatyczny. Podziwiam to, że niektórzy poświęcają się do tego stopnia. My staramy się jednak poznać prawo, żeby wiedzieć, gdzie jest różnica między wykroczeniem a paragrafem karnym.

Dominika Tworek

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

Jerzy J. Wiatr
 Longin Pastusiak
 Tadeusz Iwiński
 Danuta Waniek
 Bogusław Liberadzki
 Krzysztof Janik
 Tadeusz Wojciechowski
 Tadeusz Klementewicz
 Andrzej Wilk
 Piotr Gadzinowski

www.trybuna.info



Mózg jest przereklamowany

Asif A. Ghazanfar

Kiedys sądziliśmy, że dzięki poznaniu naszego genomu dowiemy się większości tego, co powinniśmy o sobie wiedzieć. (...) W ostatnich czasach skłaniamy się jednak ku innej koncepcji – jesteśmy swoimi konektomami. Innymi słowy, to, kim jesteśmy jako jednostki, zależy od ogólnych i specyficznych połączeń nerwowych oraz innych właściwości wszystkich neuronów naszego układu nerwowego. Ta teoria wyrasta z przekonania, że mózg stanowi centrum kontroli naszych zachowań. Planuje przyszłe działania w oparciu o informacje otrzymywane ze środowiska i w oparciu o te plany wydaje polecenia ruchów. Gdybyśmy potrafili stworzyć mapę ok. 100 bln połączeń tworzonych przez ok. 100 mld naszych neuronów i wszystkie je pomierzyć, czy zrozumielibyśmy swój umysł i jednostkowe różnice? Czy moglibyśmy żyć wiecznie po załadowaniu tej wiedzy do komputera, który wtedy sterowałby oprogramowaniem naszych mózgów? A może nieśmiertelność byłaby możliwa dzięki ożywieniu przechowywanego dzięki krioprezervacji mózgu i umieszczeniu go w nowym, młodszym ciele? Czy mózg naprawdę zawiera wszystko, co ważne dla zachowania i tego, kim jesteśmy jako jednostki? Otóż nie.

Dla naszych zachowań ciało jest równie ważne jak mózg

Nasze zachowanie niewątpliwie zależy od indywidualnych obwodów nerwowych, ale też od naszego indywidualnego ciała. Różne części ciała pełnią funkcje filtrów sygnałów przychodzących i wychodzących. Na przykład uszy odgrywają ważną rolę w ustalaniu, skąd dochodzi dźwięk. To oczywiste. Ale już mniej oczywisty jest fakt, że zdolność lokalizowania, czy dźwięk dochodzi z góry czy z dołu, zależy od kształtu uszu. Wypukłości i zagłębienia ucha zewnętrznego filtrują dźwięki – sprawiając, że niektóre ich części stają się cichsze, a inne głośniejsze – zanim te dotrą do błony bębenkowej. Co ważne, zgłosnienie lub ściszenie części konkretnego dźwięku zależy od tego, czy uderza on w małżowinę uszną od dołu, czy od góry, i w ten sposób uczymy się kojarzyć te różnice akustyczne z umiejscowieniem źródła dźwięku.

Być może zauważyłeś, że uszy w pewnym sensie przypominają odciski palców – każdy z nas ma ich unikalny zestaw (w badaniach biometrycznych zaczyna się traktować

uszy jako specyficzny identyfikator). Sposób lokalizowania dźwięku zależy zatem od kształtu twoich konkretnych uszu. W rezultacie mózg uczy się kształtu twoich uszu na podstawie doświadczeń. Innymi słowy, gdybyś zmienił kształt swoich uszu, np. przymocowując do nich kawałki masy *silly putty*, pogorszyłbyś swoją umiejętność lokalizowania dźwięku.

Ciało filtruje też sygnały wychodzące pobudzające mięśnie do wykonywania ruchów. Dobrym przykładem jest głos. Twój głos jest charakterystyczny dla ciebie i jedyny w swoim rodzaju. Dobrzy znajomi potrafią bez trudu cię rozpoznać po samym głosie. Częściowo może to wynikać z typowego dla ciebie doboru słów lub sposobu mówienia, ale wynika również z wyjątkowego kształtu jam ustnej i nosowej. W emisji głosu bierze udział źródło dźwięku, czyli fałdy głosowe, które opływa powietrze z naszego oddechu, oraz filtry w postaci jam ustnej i nosowej znajdujące się nad fałdami. Fałdy głosowe generują dźwięk przypominający nieco buczenie, którego wysokość zależy od szybkości, z jaką się poruszają. Ten buczący dźwięk przechodzi następnie przez trakt głosowy, który go filtruje i moduluje. Podobnie do tego, co uszy zewnętrzne robią z dźwiękiem przychodzącym, kształty aparatu głosowego powodują, że niektóre części wychodzącego dźwięku stają się cichsze, a inne głośniejsze.

Emitujemy różne samogłoski, zmieniając kształt traktu głosowego dzięki zmianom wyrazu twarzy (na przykład przy dźwiękach „a” oraz „i”). Jednak niektóre części aparatu mowy są stałe i charakterystyczne dla danej osoby, zależnie od tego, jak rozwinęły się u niej jamy ustna i nosowa. Te specyficzne cechy filtrują głos w sposób, który nadaje mu identyfikujące cię brzmienie. Zarówno nasz sposób słyszenia, jak i mówienia są związane z kształtem ciała.

Błędem jest przypisywanie cech zachowania częściom organizmu, skoro można je sensownie przypisać tylko zwierzęciu jako całości.

Znaczenie ciała dla zachowania i doświadczenia jest widoczne choćby w tym, jak jego zmiany w okresie rozwoju wpływają na układ nerwowy. Potrafimy np. całkiem dobrze ustalić źródło dźwięku już w bardzo młodym wieku, ale nasze ciało jeszcze rośnie, a uszy zmieniają kształt. W miarę jak właściwości filtrujące uszu się zmieniają, mózg nieustannie przestrasza się, tak żeby uwzględnić te zmiany. Prawdę mówiąc, kształt uszu odgrywa tak ważną rolę w kierowaniu funkcjami układu słuchowego, że ten musi poczekać na ciało, aż go dogoni, żeby prawidłowo działać. Jeśli zarejestruje się aktywność neuronów słuchowych bardzo młodego zwierzęcia słuchającego dźwięku, można się przekonać, że jego neurony nie najlepiej sobie radzą z określaniem, skąd dochodzi dźwięk. Zazwyczaj zakłada się, że ma to związek z niedojrzałością układu nerwowego. Tymczasem jeśli to samo zwierzę wyposaży się sztucznie w uszy dorosłego osobnika (można to zrobić za pomocą wirtualnej rzeczywistości, dostarczając dźwięk prosto do przewodów słuchowych zewnętrznych po przefiltrowaniu go przez symulację dorosłego ucha), to nagle te neurony zaczynają działać doskonale i precyzyjnie kodować lokalizację dźwięku. Zatem to ciało kieruje funkcją układu nerwowego, a nie odwrotnie.

Ciało nie tylko filtruje sygnały przychodzące i wychodzące oraz kształtuje rozwijający się układ nerwowy, ale też dzięki swoim właściwościom fizycznym może ułatwiać pracę mózgu. Zwierzęta

często komunikują się za pomocą rozmaitych dźwięków. Typowo naukowcy zakładają, że do emisji każdego z tych dźwięków niezbędny jest specyficzny wzorzec aktywności neuronów. Okazuje się jednak, że części aparatu głosowego (fałdy głosowe i trakt głosowy) współdziałają ze sobą w sposób nieliniowy (innymi słowami, chaotyczny), w zależności od tego, z jaką siłą wydychane jest powietrze lub jaki nacisk działa na fałdy głosowe. Dzięki tej nieliniowości

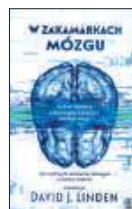
różne dźwięki są generowane bez udziału skomplikowanych wzorców aktywności neuronów. Jeśli próbowałś kiedyś zaśpiewać zbyt wysoki na swoje możliwości dźwięk, miałeś do czynienia z przynajmniej jednym rodzajem nieliniowości wokalnej – załamaniem się głosu.

Inny przykład znajdziemy w rozwoju wokalizacji. U niektórych gatunków małe młode gaworzą podobnie jak ludzkie dzieci i emitują długie ciągi rozmaitego typu dźwięków. Różne rodzaje wokalizacji nie są w tym wypadku produktem specyficznych dla każdej z ich aktywności nerwowej.

Zdolność lokalizowania, czy dźwięk dochodzi z góry czy z dołu, zależna jest od kształtu uszu.

Odpowiada im jeden wzorzec pobudzenia neuronów, które po prostu nasila się lub zmniejsza. Te cykliczne zmiany aktywności neuronów odpowiednio zwiększają i zmniejszają siłę wydechu, a wówczas nieliniowość działania aparatu głosowego sprawia, że powstają różne dźwięki. Konkretnie zachowania nie muszą być skutkiem specyficznych wzorców aktywności układu nerwowego, fizyczne właściwości ciała bowiem też pomagają generować różnorodne zachowania.

Nie jesteś sobą bez mózgu i bez ciała oraz ich wspólnych doświadczeń. Dla naszych zachowań ciało jest równie ważne jak mózg. Działa jako filtr dla doświadczeń i pomaga określić tożsamość.



Zmieniający się kształt ciała kieruje rozwojem układu nerwowego, a jego fizyczne właściwości upraszczają działania tego układu (generowanie różnych dźwięków). Pod wieloma ważnymi względami zatem funkcje mózgu nie przystają do tego, co można zaobserwować w jego połączeniach lub wzorcach aktywności. Jak pisał w 1891 r. filozof George H. Lewes: „To człowiek myśli, a nie mózg. To organizm jako całość, a nie jeden jego narząd, czuje i działa”.

I miał rację, nie tylko jeśli chodzi o ducha jego wypowiedzi, ale też o logikę. Błędem jest (a mówiąc ściślej, błędem me-reologicznym) przypisywanie cech zachowania częściom organizmu, skoro można je sensownie przypisać tylko zwierzęciu jako całości.

Powiedzmy zatem, że wysupałbyś ok. 80 tys. dol., stał się „członkiem” fundacji przedłużającej życie i twój mózg poddano by krioprezewacji. Jeśli w przyszłości znaleźliby młodsze ciało i umieścili w nim twój mózg, nie mógłby on prawidłowo podłączyć się do tego ciała, bo twoje obwody mózgowe wytworzyły się w rezultacie rozwoju i doświadczeń twojego pierwotnego ciała. Na dodatek wyglądałbyś inaczej, brzmiał inaczej i odczuwał inaczej niż wcześniej,

co byłoby widoczne dla ciebie oraz wszystkich, którzy cię znali. Ale zrobimy jeszcze dwa dodatkowe założenia. Po pierwsze, nie przeszkadza ci, że zewnętrznie jesteś inny, a po drugie, technologia regeneracyjna zrobiłaby takie postępy, że twój mózg mógłby wytworzyć sprawne połączenia z nowym ciałem. W takim wypadku, gdyby mózg następnie zmienił się zgodnie z kształtem nowego ciała i generowanymi przez nie doświadczeniami, twoja historia – ściśle związana z twoim ciałem – zostałaby wymazana. I wtedy stałbyś się kim innym.

Fragment książki *W zakamarkach mózgu*, pod redakcją Davida J. Lindena, przeł. Bożena Jóźwiak, Rebis, Poznań 2021

Kocie ruchy

Dzięki przeciąganiu się koty mogą się pozbyć z organizmu zbędnych związków chemicznych



Andrzej G. Kruszewicz,
Agnieszka Czujkowska

Ciało przeciętnego kota nie jest tak masywne jak u psowatych (na pewno bliższą grupą porównawczą będą tutaj fasicowate). Wiąże się to z techniką polowania. Przednie łapy kotów są zdolne do rotacji – ruchu od stawu łokciowego w dół polegającego na obracaniu kończyny. Pronacja i supinacja to ruchy przedramienia możliwe dzięki budowie stawu łokciowego oraz zwiększonej przestrzeni pomiędzy kośćmi przedramienia, czyli kością łokciową oraz promieniową. Tak naprawdę kot porusza się na paluszkach. Bo w miejscu, w którym kocia łapka się podwija, znajduje się nadgarstek, a nad nim naprawdę długie kości: ramieniowa i łokciowa. Łokieć u kota jest w pewnym sensie tuż nad jego pachą. Kość ramieniowa, łącząca łokieć z barkiem, jest krótsza niż łokciowa, możemy ją namacać, przesuwając palcami od łokcia ku pasze. Dzięki możliwości rotacji dłoń człowieka (ale też łapka kota) obraca się wzdłuż osi długiej. Większej ruchomości kończyn przednich koty zawdzięczają możliwość przytrzymania zdobyczy, wspinania się po drzewach, skakania po nierównych powierzchniach lub po prostu bawienia się piłką.

A propos bawienia się i przytrzymywania: kocury są podobno zazwyczaj lewopłapkowe, a kocice

prawopłapkowe. Warto się przyjrzeć własnemu pupilowi podczas zabawy.

Ceną za bardziej ruchliwy staw łokciowy jest jego większe narażenie na uszkodzenia. Dlatego koty zawsze liczą siły na zamiary. Długie, ruchliwe łapy to bardzo delikatny oręż, o który trzeba dbać.

Prawdziwą maestrią wykazała się jednak natura, tworząc kocią kończynę tylną. Zobaczcie, jak wydłużona jest kocia stopa! Pięta to, obrazowo mówiąc, miejsce na tylnej łapie najbardziej wysunięte i skierowane ku tyłowi. Staw kolanowy znajduje się zatem tuż pod brzuchem. I to cała tajemnica „odwróconych stawów” u kota – tak naprawdę nic w budowie jego łapy nie jest odwrócone, choć zdecydowanie inaczej wygląda.

Gibkość kota jest związana z tym, że połączenia kości są luźne.

Chodzenie na palcach i miękkie opuszki (choć nie u każdego kota) to gwarancja bezszelestnego poruszania się, niezbędnego przy skradaniu się. A skoro już mowa o kocich łapkach, to nie można nie wspomnieć o pazurkach, które niszczą meble w domu i którymi tygrys w Indiach przytrzymuje jelenia w śmiertelnym uchwycie. Pazury u kotów są

wyjątkowe pod dwoma względami: są wysuwane i przytrzymują zdobycz przed zabójczym ugryzieniem. Nie dotykają ziemi podczas chodzenia, dzięki czemu pozostają ostre. Ich chowanie jest odruchowe, podobnie jak wysuwanie, i odpowiada za nie po prostu skurcz określonych grup mięśni. Pazur przyczepiony jest do ostatniego paliczka (czyli części palca), który podczas normalnej aktywności jest zgięty. Dopiero kiedy dochodzi do napięcia mięśni i skracają się ścięgna, paliczek się prostuje i pazur wysuwa się z kieszonki. Dzięki temu mechanizmowi kot podczas polowania nie musi się skupiać na wysuwaniu pazurów (to zupełnie inna struktura niż nasze paznokcie), tylko na celnym ataku.

W wielu publikacjach się wspomina, że gepardy, serwale i kotek kusy to gatunki niepotrafiące chować pazurów. W rzeczywistości występuje u nich ten sam mechanizm wysuwania i chowania pazurów co u pozostałych kotów, ale w ich przypadku pazury pozostają widoczne, ponieważ wyrastają poza sierść, u geparda zaś (niektórzy określają jego pazury jako częściowo chowane) brakuje ponadto kieszonki, w którą chowa się pazur. U tego kota pazury stanowią dodatkową pomoc przy bieganiu, coś na wzór kołców w butach.

Choroba (lub gorączka) kociego pazura to nazwa choroby odzwierzęcej powodowanej przez bakterię

Bartonella henselae, której kot może być nosicielem (za rozprzestrzenianie się jej wśród kotów odpowiedzialne są pchły lub bezpośrednie walki pomiędzy zwierzętami). Zadrapanie lub ugryzienie przez kota (szczególnie młode są pod tym względem niebezpieczne) może się skończyć bolesnym miejscowym stanem zapalnym, gorączką oraz powiększeniem węzłów chłonnych (objawiającym się dopiero po pewnym czasie). U osób z prawidłową odpornością choroba trwa około 10 dni. Zranione kocim pazurami ptaki rzadko jednak przeżywają.

Patrząc na głowę kota, zauważymy potężne mięśnie poruszające żuchwą, co w połączeniu z redukcją jej długości (w porównaniu do psów) daje większy nacisk kłów. Zdecydowanie ugryzienie kota różni się od ugryzienia psa. A wielki kot, np. jaguar, potrafi kłami przebić czaszkę sporego kajmana lub podczas ataku oderwać część czaszki tapira.

Oczywiście sama siła nacisku szczęk i sposób jej pomiaru to temat na długie debaty. Ale jeśli podstawimy do wzoru odpowiednie wartości, możemy chociaż spróbować policzyć i porównać pod tym względem różne gatunki kotów.

Jak widać, siła nacisku szczęk kotów w tym rankingu wypada wręcz imponująco. Ale to jeszcze nie wszystko. Długie i ostre kocie kły wbijają się w zdobycz, podczas gdy kły psie bardziej miażdżą i szarpią. Każdy, kto został ugryziony przez psa, pamięta siniaki i szarpany charakter ran. Ugryzienie kota zwykle jest głębokie, sama rana niewielka, ale z racji głębokiej penetracji intensywnie puchnie i powoduje ogromny ból.

Skrócone pyszczki kotów mieszczą oczywiście mniej zębów, jest ich zwykle tylko 28–30. W porównaniu z 42 zębami u psów i niedźwiedzi to mało. Ale zęby u kotów pełnią inne funkcje. Siekacze służą do przytrzymywania zdobyczy, a dalsze zęby do precyzyjnego odcinania kawałków jej ciała. Kły to narzędzie do śmiertelnego ugryzienia. Koty w zależności od rozmiarów ofiary mogą jednym ugryzieniem zabić zdobycz i potem ją połknąć lub wgrzyzać się w szyję (naciśkając na nerw błędny lub kręgosłup) i przytrzymywać potężnymi łapami – jak czynią to wielkie koty. Te polujące na większe zwierzęta mają szersze paszcze, głębsze zębodoły, a co za

tym idzie – ich kły są od siebie oddalone i mocno osadzone w czaszce. Dlatego też operacje usuwania zębów u wielkich kotów, np. lwów czy jaguarów, to spore wyzwanie dla lekarza weterynarii pracującego w zoo.

Koci aparat gębowy nie jest układem idealnym: żuchwa nie porusza się na boki, dlatego nie są one w stanie przeżuć dużych kawałków pokarmu, muszą je rozdrobnić, rozgryzając. Ostre są jednak wszystkie kocie zęby, nawet trzonowe.

Podobnie jak człowiekowi, kotu najpierw wyrzynają się zęby mleczne. Dzieje się to około czwartego tygodnia życia. Wówczas pojawiają się siekacze i kły mleczne, a tydzień lub dwa później przedtrzonowce. Koty tracą zęby mleczne, gdy mają około pół roku.

Bardzo niebezpieczne jest podnoszenie kota za przednie łapy.

Szerokie kocie pyszczki pomagają w polowaniu, ale zarazem utrudniają swobodne picie wody. Odpowiednio zwinięty i błyskawicznie się poruszający język (cztery razy na sekundę!) sprawia, że woda trafia prosto do pyszczki. Zapewne właściciele kotów i psów zauważyli, że w przeciwieństwie do tych drugich, koty nie zachlapują podłogi!

Koty mają długie ogony (wyjątek stanowią ryś, kot z wyspy Man i jeszcze kilka ras). Ogon to zdecydowanie koci atrybut, pełniący wiele bardzo ważnych funkcji. Służy nie tylko do okazywania nastroju, ale także do balansowania podczas skoków czy też w trakcie pogoni – jak u geparda i irbisa śnieżnego. Zatem ogon dla kota jest zarówno tym, czym tyczka dla linoskoczka, jak i sterem ułatwiającym nagłe skręty. Szacuje się, że średnio ma długość równą długości ciała kota. Tu też są wyjątki: ocelot nadrzeczny, pantera mglista czy lampart marmurkowy, którym dłuższe ogony pomagają w zachowaniu równowagi podczas akrobatycznych skoków. Z kolei gepard, puma czy irbis używają ogona właśnie jako steru podczas pogoni, zmniejszając w ten sposób promień skrętu i robiąc dzięki temu szybsze i ostrzejsze zwroty.

Taki elastyczny!

Ośrodek badawczy Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy Weterynarii (American Veterinary Medical Association) przeprowadził badania, z których wynika, że w 90% przypadków koty wracają do zdrowia po upadku z wysokości nawet kilku pięter. Podobno zawsze zrastają im się kości po urazach. Przedstawiciele większych ras kotów domowych o wiele rzadziej niż psy zmagają się z powikłaniami pooperacyjnymi lub zdrowotnymi.

Kotów raczej nie dotyczą zmiany reumatyczne, zwłaszcza w porównaniu z psami, które często cierpią na dysplazję. Bardzo rzadko zdarza się im zwichnięcie stawu ramiennego.

Nawet osobniki w podeszłym wieku zachowują niesamowitą sprawność. Koty czterokrotnie rzadziej niż psy chorują też na raka płuc. Ogólnie rzadko padają ofiarą nowotworów. Znacznie lepiej i szybciej goją się im różne uszkodzenia skóry. Zwierzę niemal idealne, prawda?

Koci szkielet składa się z 244 kości – to o 40 więcej niż w szkielecie człowieka. Większość tych „dodatkowych” kości znajduje się w kręgosłupie i ogonie. Prawie 10% mieści się właśnie w ogonie. Nic więc dziwnego, że bezogoniasty człowiek ma mniej kości niż kot!

Koci grzbiet jest bardzo elastyczny, bo składa się aż z 53 luźno ze sobą połączonych kręgów. Nasz kręgosłup ma tylko 32–34 kręgi, na dodatek nie zawsze pozostają elastyczne.

Gibkość kota jest związana z tym, że połączenia kości – kręgów i innych – są luźne, co umożliwia „rozciąganie”, wyginanie ciała w „koci grzbiet” czy zwijanie się w tak lubiany przez nas kłębuszek. Kocie kręgi mają zaokrąglone trzony i krótkie wyrostki kolczyste, dzięki czemu łatwo się względem siebie obracają. Przyczepy mięśni i ścięgien pozwalają na dużo większy zakres ruchów niż u innych zwierząt.

Obojczyk kota jest zredukowany i niezrośnięty z obręczą barkową. Nie jest to jednak wada, ale zaleta – dzięki temu koty mogą się wciskać w rozmaite szczeliny, przez które przejdzie ich głowa. Pozwala im to również na znaczne wydłużenie kroku. W domu rodzi to jednak pewne

► ograniczenia: nie ma wzmocnienia, jakie normalnie daje obojczyk zrosnięty z obręczą barkową. Dlatego bardzo niebezpieczne jest podnoszenie kota za przednie łapy, zwłaszcza gdy jest on otyły.

Ach, i to niewiarygodnie częste przeciąganie się... Główny powód tego kociego zwyczaju jest bardzo prozaiczny: chodzi o pobudzenie krążeń. Skoro tyle czasu spędzają na spaniu, przeciągają się, żeby rozgrzać mięśnie po długim lenistwie. Podczas snu w organizmie kota znacznemu spowolnieniu ulegają funkcje życiowe i spada ciśnienie tętnicze. Żeby się rozruszać, konieczna jest rozgrzewka, a wraz z pobudzeniem krążeń lepiej pracują nie tylko mięśnie, ale i mózg. To z kolei jest niezbędne podczas polowania, które wymaga doskonałego refleksu.

Dzięki przeciąganiu się koty mogą się pozbyć z organizmu niepotrzebnych związków chemicznych, zbędnych produktów przemiany materii, w tym dwutlenku węgla i kwasu mlekowego.

Rozprawmy się z mitem

Według obiegowej opinii koty spadają na cztery łapy. Niestety, nie oznacza to, że ich przy tym nie łamią. Skupmy się więc przez chwilę na tzw. syndromie dużej wysokości (z ang. nazywa się to *high-rise syndrome*). Ważną obserwacją poczynioną przez lekarzy jest silny związek pomiędzy rozległością obrażeń a wysokością, z której spadł kot. Według statystyki opublikowanej pod koniec XX w. w „Journal of the American Veterinary Medical Association” magicznym poziomem było siódme piętro (czyli ok. 24 m!). Liczba obrażeń u kotów spadających z większej wysokości gwałtownie malała! Z badanych kotów przeżyło 90%. Proszę jednak nie przeprowadzać takich eksperymentów. Jeśli mamy kota, konieczne zabezpieczamy balkon i nie ryzykujemy, że zwierzę wypadnie.

Autorzy artykułu założyli, że koty, spadając z wysokości większej niż 7 pięter, lecą dostatecznie długo, by

osiągnąć prędkość graniczną, tzn. taką, przy której grawitację równoważy tarcie powietrza i kot przestaje przyspieszać. U kotów wynosi ona 100 km/godz., u ludzi 200 km/godz. Gdy kot osiąga taką prędkość, udaje mu się (co zadziwiające!) zrelaksować i dzięki temu jego ciało zaczyna się zachowywać trochę jak spadochron. Na podobnej zasadzie poruszają się polatuchy, czyli latające wiewiórki. Choć to znaczne uproszczenie, można powiedzieć, że kot szybuje (mimo że prędkość spadania to 100 km/godz.!). Nie wychodzi z upadku bez szwanku, ale udaje mu się obrócić łapami do ziemi i znacznie zamortyzować siłę uderzenia.



Fragmenty książki
Andrzeja G. Kruszwicza
i Agnieszki Czujkowskiej
Sekretne życie kotów,
Rebis, Warszawa 2021



Mamę Kluskę spotkaliśmy tamtego listopadowego wieczoru w handlarzkiej oborze, we wsi gdzie gazety i telewizja nie docierają, by nieść pomoc. Zimny, porywisty wiatr doprowadził nas pod same wrota, nonszalancko rzucając w naszym kierunku ostatnimi, jesiennymi liśćmi. Minęliśmy betonowy próg, za którym, ukryta w ciemnościach, czekała nas tragedia większa niż inne. Bo tragedia matki i jej synka. Jak pewnie się domyślacie, takie rzeczy lubią czeluście i ciemności. Ludzie chętnie je tam chowają przed światłem. Bo mogą. Prawo na to zezwala.

Błagane spojrzenie matki, w którą wuiła się łapczywie jej dziecko, dopadło nas od samego wejścia. I nie chciało puścić. Te wielkie, czarne oczy, które wbrew Twojej woli zaglądają Ci głęboko w duszę. To cierpienie, które wypełnia wzrok Kluski rozrywa Ci serce. Prawie słyszysz w tej ciszy tysiące nieopowiedzianych historii małych kucyków, które wiernie służyły, aż do końca, aż opadł rzeźnicki nóż. Stoisz tam i nie wiesz co powiedzieć. A nawet gdybyś wiedział, Twoje słowa na nic tutaj. Tutaj potrzebne są pieniądze. Bo tu za pieniądze kupuje się życie. Albo je traci.

Kluska przyjechała tu zaledwie kilka dni przed nami. Urodziła Kajetana w innej

oborze i wraz z jego narodzinami nagle zabrakło dla niej miejsca. Gospodarz uznał, że na wiosnę kupi sobie nowego kucyka jako ozdobę. Bo wraz z nadejściem zimy i świat ceny koniny szły w górę. To dobry powód, by sprzedać. Zresztą, każdy tu jest dobry. Pomijając, że nikt nikomu nic nie tłumaczy. Każdy dobija swoje kilkadziesiąt złotych, a pewnego dnia kucyk osiąga swoją najlepszą cenę – wtedy wreszcie odpinają mu grubą linę i zakładają sznurkowy kantar na kucykową głowę, w której klebi się największy kucykowy strach, ten że śmierć boli. Wtedy wreszcie widzi ten kucyk niewidziane dawno słońce, i wtedy też raz ostatni wiatr targa mu grzywę. I wdrapuje się tego dnia po stromym trapię, na sam szczyt. Potem idzie na trzęsących się, krótkich nóżkach wąskim korytarzem, w swoim sznurkowym kantarze, z głową pełną strachu. A potem jeden cios odbiera mu wszystko, i nastaje cisza. Z gęstej kucykowej grzywy ulatują resztki zapłatanego tam wiatru, ulatuje cały strach i ból. I choć mówią, że za Tęczowym Mostem są bezkresne, zielone pastwiska, nikt z nas tam nigdy nie był. A co, jeśli dalej nie ma już nic? Kluska świdruje nas spojrzeniem i cofa się w tył widząc handlarza z batem w dłoniach. Batem, który stawia tu wszystkich zawsze do pionu. A dziś postawił tylko Kluskę, bo inni już dawno wyjechali zasilić szeregi tych, co nie nigdy wracają. Prostuje się jak struna, a jej oczy zalewa fala grozy. Handlarz kilka uderzeń bata wymierza w stronę tuż obok niej. Ale to wystarczy. Kluska pozuje. Pozuje do zdjęcia, które może uratować jej życie. Chciałaby prosić choć o życie dla Kajetana. Ale nie może nawet tyle. Konie derją w milczeniu. Ale chyba nie to milczenie miedzy mieli na myśl, nazywając je złotem...

Prawo pozwala ubijać matki z dziećmi. Tak, ja wiem, że to są konie. Ale tak naprawdę jaka to różnica? To tylko różnica w gatunku. Poziom cierpienia i rozumienia niczym się nie różni. Konie idące na ubój czują niewyobrażalny strach gonione wąskimi korytarzami, na śmierć. W rzeźniach, za grubymi murami, dzieją się dantejskie sceny, które nigdy nie ujrzą światła dziennego. To o tych ścianach mówi Paul McCartney, że gdyby rzeźnie miały je szklane, wszyscy byłobyśmy wegetarianami. I tak, wiem, że nie pomożemy wszystkim. Dziś w moim obiektywie jest Kluska i Kajetana. Dziś tylko je możemy razem ochronić przed tym, co nieuniknione dla milionów koni na całym świecie. I to nawet nie o samą śmierć w sobie chodzi, bo śmierć pewnego dnia zatańczy z każdym z nas, ona na gatunki nie dzieli. Ale chodzi o brutalność w jej zadawaniu. I o ogrom cierpienia, jaki dotyka te zwierzęta nim zostaną ubite. Bo zazwyczaj od początku traktowane są jak kawałek mięsa. A nie jak żywe, czujące istoty.

Odgarniam gestą grzywę z czoła mamy Kluski. Patrzę raz jeszcze w te jej wielkie, ciemne jak węgle oczy. Kajetana niezmiennie wtulony w mamę, schował tu cały swój lęk i cały dziecięcy świat. Gdyby tylko mogła choć jego ocalić. Gdyby mogła oddać życie za niego... ale nie może. Nic nie może. Może tylko iść z nim, kiedy nadejdzie ich dzień. Rytmicznie, kopytko w kopytko, popychać go chrapami. I wziąć na siebie ból patrzenia, jak go zabijają. Aby on nie został ani na sekundę sam, gdyby jej pierwszej wymierzili ostatni cios.

Nim to nastanie, mamy szansę je ocalić. Dostaliśmy termin do 8 grudnia, aby zebrać 5200 zł i wykupić Kluskę i Kajetana oraz opłacić ich transport do nas do ośrodka, gdzie czekają na nich setki uratowanych koni. Bez Ciebie ta szansa przepadnie na zawsze. A drugiej nie będzie. Bo ich nie będzie. Będzie 6 grudnia wieczorem, w Mikołajki, wdrapuje się po trapię, kopytko w kopytko, matka i synek. I wszystkie potoczą się jak wtedy, gdy ratunek dla koni nie nadchodził na czas. Grudniowy wiatr ostatni raz poszarpie im grzywę i domknie za nimi trapię. Nie będzie dla nich Mikołajka.

Tylko Twój gest może zmienić ich los. Liczy się każde 5 zł. Czyli tyle, co batonik albo kawa na stacji. Pomnożone przez ilość, że kwoty ratują życie. A potem? A potem możesz przyjechać do nas i pogłaskać je po wilgotnych chrapach i zobaczyć w ich oczach niezmierną wdzięczność. Bo to jedyne, czym mogą Ci się odwdzielić. Pomogiesz, mimo to?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem KLUSKA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści KLUSKA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, [www.centaurus.org.pl](http://centaurus.org.pl)

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/kkam>



Autobusy jakieś popodstawiali czy co?

Tak zastanawiał się w „Kilerze” Juliusza Machulskiego dyrektor więzienia nad sposobem ucieczki kilkuset więźniów z innego zakładu karnego...

Mamy na granicy z Białorusią kilkanaście tysięcy funkcjonariuszy Straży Granicznej, policji i wojska. Rzecznicy tych instytucji przedstawiają ich bohaterskie starcia z uchodźcami i służbami białoruskimi. Informują, że codziennie udaremniają kilkaset prób nielegalnego przekraczania granicy. Równocześnie rzecznik federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Niemiec przekazał, że w październiku codziennie do ośrodków dla uchodźców po niemieckiej stronie granicy z Polską zgłaszało się ok. 170 nowych ubiegających się o status azylanta. Prasa niemiecka informuje, że w listopadzie było to ok. 100 osób dziennie. Czyli w październiku przez naszą wschodnią granicę, pilnie strzeżoną przez tysiące funkcjonariuszy, przenikało tysiąc osób tygodniowo, a w listopadzie siedemset. To przemyt ludzi na wielką skalę. Pytanie, kto w nim uczestniczy i kto go organizuje. Bo chyba nie służby Putina i Łukaszenki w Polsce?

Gdyby tych uchodźców było po niemieckiej stronie granicy kilku czy kilkunastu dziennie, moglibyśmy wierzyć, że transport organizuje na własną rękę kilku czy kilkunastu prywatnych posiadaczy busów. Ale busiki akurat są na Podlasiu pod szczególnym nadzorem, jak informują rzecznicy mundurowych, dwa lub trzy razy tygodniowo zatrzymywane są samochody, jeden lub dwa, transportujące Kurdów, Irakijczyków lub Syryjczyków.

Czyli co, kilkadziesiąt innych przejeżdża bez kłopotów? Może to jakiś „układ”? Nie możemy oczywiście wykluczyć, że niektórzy z tych uchodźców mają kilkudniowy przystanek np. w Starych Kiejkutach i w przyszłości będą

informatorami AW czy ABW. To jednak w dalszym ciągu nie ta skala.

W ambasadzie w Berlinie jest rezydent Agencji Wywiadu, są przedstawiciele ABW, SG, SKW czy SWW. To oni powinni w Niemczech przepytywać azylantów, jak przekraczali granice. A czy przepytują? Czy to ich interesuje?

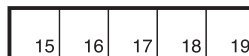
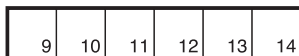
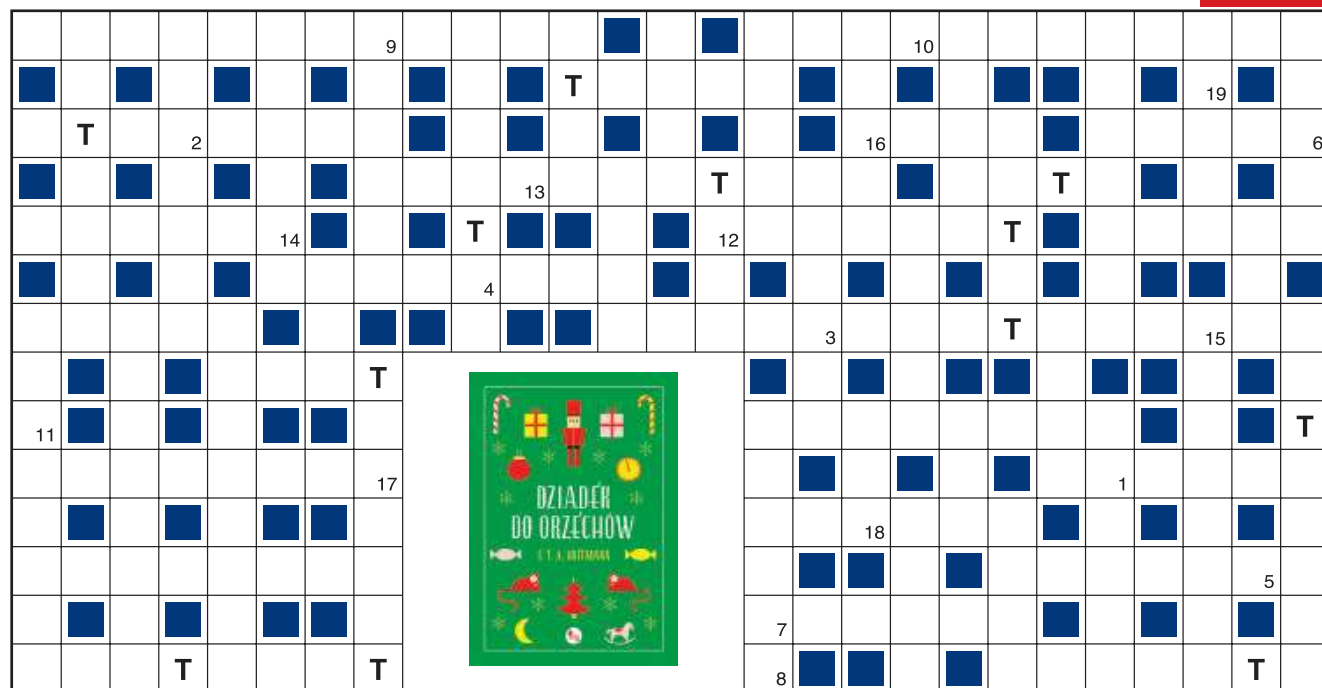
Faktem jest, co podawał także Onet, że MSZ nie było zadowolone z funkcjonowania ambasady RP w Berlinie i ambasadora Przyłębskiego. Powody? Ambasador nie wykonywał zadań zleczanych przez centralę i nie informował, nawet ministra spraw zagranicznych, o swoich posunięciach. Jednym z zarzutów był też brak działań ambasadora na rzecz kontaktów na najwyższych szczeblach, konkretnie – wspólnych obrad rządów, które miały się odbyć w tym roku. Ech... Nowogrodzka, Duży i Mały Pałac natychmiast zdementowały te informacje i stwierdziły, że „Wolfgang” jest debeściak.

Więc co teraz? Następcą Przyłębskiego bardzo chciałby zostać wiceminister Szymon Szynkowski vel Sęk. I znajduje się na tzw. krótkiej liście. Kłopot w tym, że to on jest w MSZ odpowiedzialny za stosunki Polski z Niemcami. Jaką zatem ocenę placówki za rok 2021 powinien dać? Dobrą czy krytyczną? Bo jeżeli dobrze się nie wstrzeli, może mu to znacznie utrudnić wyjazd do Berlina. Dodajmy, że faworytką jest pewna pani profesor, ale jeszcze się waha. I jeszcze jedno: przyszły ambasador będzie czekał na *agrément* strony niemieckiej co do dnia tyle, ile obecny ambasador Niemiec w Polsce. Dr Arndt Freytag von Loringhoven czekał kilka miesięcy. A jak już pisaliśmy latem, „duże państwa mają w sprawach protokołu pamięć słońca”. O czym nie powinni zapominać nasi rządzący ani obecni i przyszli ambasadorzy.

Attaché



Orla cień w stepie szerokim. Kazachstan, przygotowania do tradycyjnego konkursu łowieckiego ze specjalnie szkolonymi orłami przednimi.



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 tworzą końcowe hasło.

- z pieca spadło, o ziemię się hukło
 - „...Grodzkie i Ziemskie” wydawane we Lwowie
 - szarłat inaczej
 - pierwotniak o zmiennym kształcie
 - zespół i tango Grechuty
 - bliźniak Artemidy
 - składa się z ośmiu bitów
 - „starsza” niż jagnięcina
 - strach, a boża to pobożność
 - Przemienienia Pańskiego na górze Grabarce
 - uczestnik I triumwiratu
 - bardzo gęste, dzikie krzaki
 - prenatalna, laboratoryjna lub obrazowa
 - ...honorowy UJ dla Olgi Tokarczuk
 - już szaleje, bo inflacja
 - rzeka w tytule walca Straussa
 - ...międzywojenne (1918-1939)
 - kochanka don Juana z komedii Moliera
 - staropolska Glogera lub Brücknera
 - ptalina albo pepsyna
 - pomost, wiadukt
 - tę męską szkołę ukończył Boris Johnson
 - mierniczy, a dawniej geometra
 - Dyscyplinarna zakwestionowana przez TSUE
 - to zakończyć coś
 - obrotnik albo dźwignacz
 - nie ny, nie... od razu omikron
 - słodka wódeczka
 - odwrotność pozytywu
 - tygodnik Jerzego Urbana
 - zamyka je domownik lub internauta
 - między septetem a nonetem
 - uciskowa to krępulec
 - mrówka, jętką lub osą
 - niewdzięczna według pasterza w bajce Krasicckiego
 - plażowy daje cień
 - hetka...
 - „...utracony” Milтона
 - zakończona gargulcem
 - cecha charakterystyczna i pobiężny opis
 - jednoczesny wystrzał z karabinów, armat
 - robotniczy w PRL lub uczniowski
 - „ptasi” szturchaniec
 - przechadzanie się po parku
 - nietykalna świętość
 - auto z NRD
 - miasto Fiata i Juventusu
 - sprzeczka, zwada
 - zimnej wody wylewane na głowę
 - ciężkie przestępstwo
 - ...waste – styl życia, by nie zaśmiecać
 - młode u boku klaczy

KUPON JOLKI „Przeglądu”

haslo:

.....

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jakiejś „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowoli podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1042”. Do rozlosowania książki „Dziadek do orzechów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 grudnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1039” z nr. 47: *Biedny płaci za wszystkich.*
Nagrody otrzymują: Lucjan Ciastek z Wrocławia, Barbara Kursa z Chełma. Marek Michno z Krakowa.

PENETRACJE



**PROF. JANUSZ
REYKOWSKI,
PSYCHOLOG**

Jest tendencja do „zamykania się” w tradycyjnych wspólnotach, tworzenia silniejszych granic między tymi wspólnotami a resztą świata. Hasło koncentracji na własnym grupowym interesie upowszechnia się, a ważny impuls do tego upowszechnienia dał Trump, głosząc hasło „America First”. Podobny sposób myślenia pojawił się w Europie, czego wyrazami i groźnymi przejawami stały się brexit i „odśrodkowe ruchy” w różnych krajach UE. Te procesy mają wyraźnie reakcyjny charakter. Nastawiają obywateli na odtworzenie tradycyjnych form myślenia i tradycyjnych stosunków. Dość skrajnym przejawem tej tendencji są próby reform edukacji i polityki naukowej w Polsce. Szczególnie groźną potencjalną konsekwencją tego reakcyjnego kierunku zmian jest legitymizacja przemocy.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**PROF. WŁODZIMIERZ
WRÓBEL,
SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO**

Trudno znaleźć głębszy sens w tym po-myśle. Nasze władze najpierw radykalnie ograniczyły udział ławników w rozprawach, choć są oni przecież formą uspołecznienia sądownictwa, a teraz twierdzą, że właśnie po to, by społeczeństwo poczuło swoją podmiotowość, zorganizuje mu się sądy pokoju z własną infrastrukturą,

administracją, asystentami. Miliardy złotych pójdą na przedsięwzięcie, które nie odblokuje przeciążonych sądów, a raczej spowoduje wzrost odwołań od niekompetentnych wyroków. Dlaczego, zamiast karmić elektorat złudzeniami i brnąć w mit ludowej sprawiedliwości, nie wzmocnić i nie dofinansować referendum? Mówimy o ludziach doświadczonych, którzy lepiej sprawdziliby się na sali rozpraw niż sędziowie pokoju. Ta „reforma” oznacza kolejny wielomiesięczny chaos dla całego systemu, który nie przyczyni się do skrócenia procesów.



**DR ANDRZEJ DEPKO,
SEKSUOLOG**

Jedna z moich najstarszych pacjentek miała 83 lata, kiedyś była piękną kobietą, wciąż było widać na jej twarzy ślady dawnej urody. Notabene pochowała trzech mężów, bo my jednak jako gatunek jesteście słabsi. Przyszła z prośbą, żebym dał jej coś, co pomoże spacyfikować jej seksualność. Tak to tłumaczyła: „Polski mężczyzna młodszy ode mnie o 10 lat to zazwyczaj niedbający o siebie dziadunio, który praktycznie zapomniał, do czego jego sprzęt służy. Młodszy ode mnie o lat 20, czyli 60-latek, ogląda się za 40- i 30-latkami. A 50-latek szuka sobie kobiet 30- i 20-letnich, nie pójdzie z 80-letnią babą do łóżka, choć ofiarowałabym mu więcej niż niejedna dwudziestka, za którą szaleje”.

Aby język giętki...

**WANDA TRACZYK-STAWSKA
O ANDRZEJU DUDZIE**

Jest to człowiek, który powinien chodzić w krótkich majtkach. To ku-kielka. Robi wszystko, co mu każą.

MAREK SAWICKI O DONALDZIE TUSKU

Kiedy wszyscy ekscytowali się jego powrotem do polityki krajowej, mówiłem, że jego upadek polityczny będzie równie spektakularny jak jego powrót.

**GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI
O KULTURZE MARIUSZA BŁASZCZAKA**

Jeżeli jego emocje sięgają zenitu i musi używać obraźliwych słów, to trzeba ubolewać, że taki człowiek jest ministrem.

LECH WAŁĘSA O BIEDZIE

Nie wyrzucam chleba, schowam nawet stary. Z tego się nie wyrasta.

**BARBARA KURDEJ-SZATAN
O WPISIE NA INSTAGRAMIE**

Moje słowa dotyczyły konkretnej sytuacji przedstawionej na nagraniu (trzyminutowy film na stronie Ogólnopolskiego Strajku Kobiet).

EWA BEM O SZCZĘŚCIU

Warto zmienić rozumienie szczęścia. Mnie wystarczy, że teraz nie dzieje się nic złego.

**SZCZEPAN TWARDOCH
O RODZINIE**

Osiem pokoleń mojej rodziny przez ostatnie 350 lat żyło w promieniu 30 km.

**MAŁGORZATA SZEJNERT
O LISTACH**

Moi bliscy nie wyrzucali listów i jak ktoś wybierał się na tamten świat, pozostawiał mi paczuszkę albo i pudło.

**KATARZYNA BŁĄŻEJEWSKA-STUHR
O SYNU STASIU**

Powiedział, że bardzo się cieszy, że coś konkretnego robię, a nie siedzę przed telewizorem na kanapie i mówię, że mamy głupi rząd.

TAMARA ARCIUCH O ODPUSZCZANIU

Umiłowanie porządku nie minęło, minęła tylko histeryczna potrzeba życia w uporządkowanym świecie i poczucie winy, że temu nie sprostam.



Niezwykła wizytacja podstawówki miała miejsce w Springfield w stanie Tennessee. Wizytatorem okazał się młody jeleni.

Strzykawką w awatara

W Brazylii Pfizer zaszczepił przeciw COVID-19... postacie z popularnej gry komputerowej Grand Theft Auto. Użytkownicy jednej z jej wersji, w większości młode osoby, otrzymali możliwość skorzystania z wirtualnych punktów szczepień, prowadzonych przez internetowych celebrytów. Gracze, którzy zamieścili zdjęcia swoich zaszczepionych awatarów na Twitterze lub Instagramie wraz z informacją, że sami również przyjęli szczepionki, otrzymali bonus, m.in. bandaż dodający ich postaciom odporności. Koncern liczy, że nietypowa akcja przyczyni się do popularyzacji profilaktyki antycovidowej. Nieźle rozegrane!

MEMY BEZ ŚCIEMY**Nietanie e-pływanie**

Na platformach sieciowej rozrywki można nie tylko zadbać o zdrowie, ale także wydać realnie istniejący majątek na nieistniejący luksusowy jacht. W The Sandbox, czyli „wirtualnym świecie, gdzie gracze mogą budować, posiadać i monetizować swoje doświadczenie”, ktoś właśnie zapłacił równowartość 2,7 mln zł za łódź wyposażoną m.in. w lądowisko dla helikopterów. To część szerszego trendu, bo działka w świecie Decentraland poszła za prawie 9,9 mln zł, a kolejna, istniejąca w uniwersum Axie Infinity – za 9,3 mln zł. Kiedy się opływa w dostatki, łatwo popłynąć...

O, tato, ale pato

Niewesoło dla części uczestników i uczestniczek zakończył się udział w zawodach AlkoMaster, polegających na piciu alkoholu i wykonywaniu różnych zadań. Niejaka Mia Nesti Baka trafiła do szpitala z silnymi wymiotami, gorączką i podejrzeniem uszkodzenia wątroby. Na swoim profilu na Instagramie patoinfluencerka zakomunikowała, że ktoś dosypał jej czegoś do spożywanych trunków, a podobne oskarżenia wysuwa także inny alko-sportowiec, Kolar. Brzmi mało prawdopodobnie, ale może jest w tym promil prawdy?

Siadaj i gadaj

„Jeśli masz ochotę na rozmowę, usiądź na tej ławce i poczekaj, aż ktoś się dołączy” – takie hasło po polsku, angielsku i hebrajsku umieszczono na ławce, która stanęła na krakowskim Kazimierzu. Stworzenie Gaduławki, mającej wesprzeć walkę z epidemią samotności, zainspirowała inicjatywa rodem z Walii, Happy to Chat Benches. Za jej polskim odpowiednikiem stoi Krzysiek Sabuda z produkującej meble zewnętrzne firmy Fulco System, która jest sponsorem projektu. Na gaduławka.pl każdy może się włączyć w akcję, m.in. zaproponować wsparcie finansowe lub zgłosić miejsce, w którym taka ławka by się przydała. Co tu dużo mówić, ławą na wspomnianą stronę!

Dać im palec, to wezmą całą... kasę

Hakowanie czytników linii papilarnych jest łatwe i bardzo tanie – ostrzegają specjaliści od cyberbezpieczeństwa z Kraken Security Labs. Na swoim blogu firma pokazuje, jak można złamać takie zabezpieczenia, wykorzystywane m.in. przez smartfonowe aplikacje bankowe, mając do dyspozycji zdjęcie odcisku palca ofiary, a ponadto klej do drewna, drukarkę laserową i arkusz folii octanowej. Ciężkie jest życie rentiera – jak nie inflacja, to hakerzy...

Ciasne, ale cudze

Deweloper z Koszalina zamierza zaoferować za interesowanym najemcom siedem lokali w centrum miasta, z których najmniejszy będzie miał... zaledwie 2,5 m kw., a największy – 13 m kw. Najskromniejsze z planowanych mikromieszkań to pomieszczenie z antresolą, w którym w górnej części przewidziano miejsce do spania, a w dolnej „kuch-



Na Rynku Głównym w Krakowie pod pomnikiem Adama Mickiewicza znów za-
gościły szopki. Tradycja ich budowy i prezentowania trwa w Krakowie od XIX w.

nię" i „łazienkę”. Prezes firmy „100-SIO” Synergia, Krzysztof Stosio, broni swojej inwestycji. Podkreśla, że koncepcja budynku stanowi odpowiedź na potrzeby rynku, a poza tym nikt nikogo nie zmusza do wynajmu. Czekamy, aż odpowiednie instytucje powiedzą takim praktykom: a sio!

Do zapalenia jeden klik

W kanadyjskim Ontario aplikacja Uber Eats wzbogaci się o usługę sprzedaży rekreacyjnej marihuany, która nie jest tam zakazana. Zamówiony towar na razie nie będzie jednak dowożony pod drzwi. Odebrać go będzie można osobiście w jednym z 50 sklepów sieci Tokyo Smoke, po zweryfikowaniu przez personel wieku klienta. Przedstawiciele Ubera twierdzą, że jego pośrednictwo w dostępie do bezpiecznej marihuany zmniejszy rynek narkotyków. Rzecznik firmy już zapowiedział, że będzie ona badać możliwości rozpoczęcia sprzedaży w innych miejscach, które zalegalizowały używkę. A co z polskimi użytkownikami aplikacji? Jeszcze długo będzie musiała im wystarczyć usługa podwózki do sklepu monopolowego.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogowski,
Jan Ordynski, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupieczowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest
zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Montefeltro



Gambit

Anna Güntner

Zafascynowana dawnymi mistrzami, nie ukrywała źródeł inspiracji; technika stosowana przez nią wymagała precyzji i świetnego warsztatu. Prawie w ogóle nie szkicowała, czasem robiła notatki. Zawsze pracowała tylko nad jednym obrazem. Urodziła się w Poznaniu, ale dorosłe życie spędziła w Krakowie, gdzie studiowała na Wydziale Malarstwa ASP, dyplom uzyskała w 1958 r. w pracowni prof. Zbigniewa Pronaszki. W jej twórczości są dwa wyraźne nurty: piękne, najczęściej nagie dziewczęta lub para

młodych ludzi we wnętrzu czy na tle renesansowego krajobrazu oraz przeskalowane obiekty codziennego użytku, jedynie z pozoru „oswojone”. Na wystawie udało się zgromadzić 46 dzieł, pochodzących ze zbiorów rodzinnych i z kolekcji prywatnych.

**Biała Galeria Centrum, Nowohuckie Centrum Kultury
Kraków, al. Jana Pawła II 232, budynek B
od 9 grudnia do 16 stycznia**

MALARSTWO



Zwiastowanie

Afry Kamera



**#BLACK
FILMS
MATTER**

10-19.12.2021

WARSZAWA, KINOTEKA

17-19.12.2021

WROCŁAW, DCF
DOLNOŚLĄSKIE CENTRUM FILMOWE

22.12.2021-1.01.2022

ONLINE / www.mojeekino.pl

STYCZEŃ 2022
INNE MIASTA W POLSCE

16 DNI
PRZECIW
PRZEMOCY
WOBEC
Kobiet

10 LAT KONWENCJI STAMBULSKIEJ

TO PATOLOGIA, ŻE W XXI WIEKU KOBIETY
NADAL NIE MOGĄ BYĆ BEZPIECZNE WE WŁASNYM DOMU
SYLWIA SPUREK



**Pobierz
bezpłatnego
E-BOOKA**



**MEZCZYŹNI
PRZECIW
PRZEMOCY**

